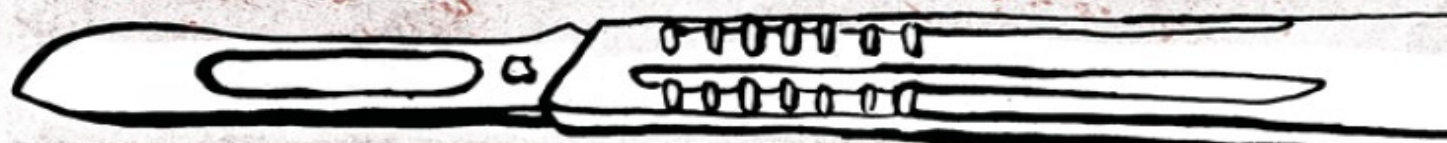


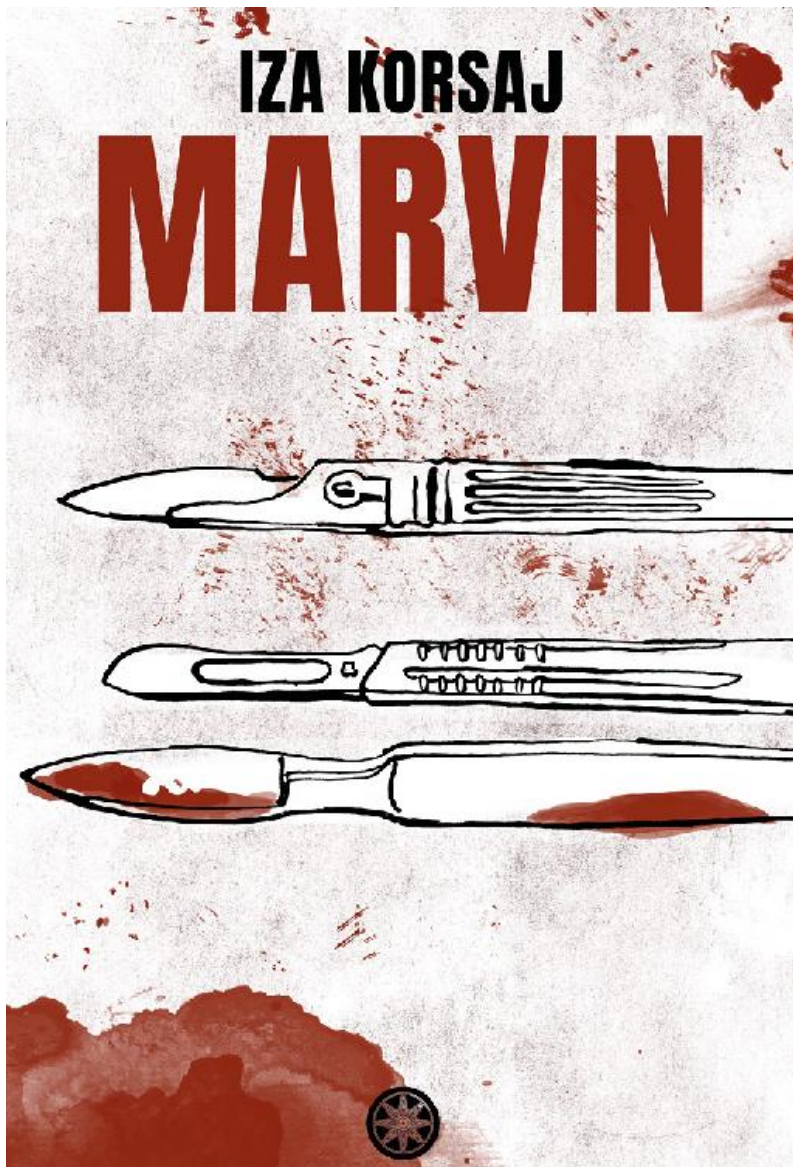
**IZA KORSAJ**

# MARVIN



**IZA KORSAJ**

# MARVIN



**IZA KORSAJ**

**MARVIN**



# Spis treści

I

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12
- 13
- 14

II

- 15
- 16
- 17
- 18
- 19
- 20

III

- 21
- 22
- 23
- 24

25

26

27

28

*Tym, którzy nie boją się myśleć odważnie*

*Najlepsi lekarze są przeznaczeni piekłu*  
Talmud

*If this belief from Heaven be sent,  
If such be Nature's holy plan,  
Have I not reason to lament  
What man has made of man?*

W. Wordsworth  
CCLXXII. „Written in Early Spring”



1

# 1

1983

Lubię czuć w dłoni ciężar skalpela. Chirurgia to precyzyjna i wyjątkowa profesja. Tylko ona jest w stanie zaspokoić mój zachłanny umysł. Ludzkie ciała zużywają się. Jak wszystkie maszyny - ulegają awariom. Wymagają pomocy zręcznego fachowca, takiego jak ja - Inżynier Naprawy.

Jako transplantolog cieszę się w środowisku renomą i zaufaniem. Moimi klientami bywają naprawdę grube ryby. Każdy, kto ma środki i liczy się z czasem, stawiając na jakość usług i dyskrecję, jest u mnie pożądanym pacjentem. Nie umawiam się na miłe pogawędki - prowadzę zza biurka twarde negocjacje. Dbam o bezpieczną, choć nie zawsze zgodną z prawem dostawę biologicznych części zamiennych. Stosowni ludzie osłaniają mnie, a ja w zamian chronię ich zdrowie i życie. Pieprzyć etos. Świat nie sprzyja dobrym ludziom.

Od lat dzień za dniem obserwuję, jak ludzie wegetują, są pozbawieni woli życia. Powielają własne błędy, skazując się na piekło wiecznych, bezrozumnych powtórzeń.

Niezaspokojony, żarłoczny umysł coraz częściej domaga się przesunięcia granicy - przejścia z wymiany narządów do naprawy umysłów.

\*\*\*

Jest chłodne, listopadowe popołudnie. Czuć nadchodzącą zimę. Czerwone słońce, przyćmione szarymi chmurami, chowa się ospale za horyzont. Zza

szyby chryslera obserwuję tętniący życiem Boston. To miasto wytwarzania, przetwarzania i nieustannej utylizacji. Tu nie można sprzedać się zbyt tanio.

Jadę na lotnisko odebrać syna, który przylatuje do mnie w odwiedziny z Denver. Kilka chwil później z uwagą przyglądam się podróżnym, opierając się o przeszkloną ścianę terminalu. Jako wprawny obserwator pamiętam o należnym dystansie i o kilku żelaznych zasadach. Przypatrywać się innym w milczeniu; reagować tylko w sytuacji zagrożenia; po zakończonym zwiadzie dyskretnie się oddalić. I nigdy nie rozmawiać z nikim o tym, czego było się świadkiem. Przytykam czoło do chłodnej szyby. Dostrzegam Danny'ego. Ośmiolatek maszeruje dziarsko w asyście stewardessy, w puchowej czerwonej kurtce i z niebieskim plecakiem przerzuconym przez ramię. Syn szybko zauważa mnie w tłumie i entuzjastycznie macha na powitanie. Uśmiecham się, unosząc kciuk.

Po wylegitymowaniu się przejmuję opiekę nad chłopcem.

Rozkładałam ręce i unoszę Danny'ego, a on wtula się we mnie. Czuję nerwowe bicie jego serca. Pachnący gumą do żucia oddech syna omiata mi twarz.

Gładzę go po sztywnych, świeżo przyciętych włosach. Stwierdzam, że robi się przystojny, jak ja. Oby odziedziczył po mnie także intelekt.

- Tęskniłem za tobą, tato. - Chłopiec patrzy na mnie z zachwytem. Ścisną mi rękę tak mocno, że jej powierzchnia zaczyna się pocić.

- Ja za tobą też, Danny - odpowiadam, nie chcąc odbierać mu złudzeń, choć bardziej tęsknię za Naprawami Umysłu. Przez nadmiar pracy muszę odkładać tę przyjemność w czasie. Już same przygotowania do następnej terapii staną się żmudnym przedsięwzięciem. Pacjent nie może cierpieć na przewlekłą chorobę. Kolejna sprawa to infiltracja otoczenia. Im obiekt posiada mniej relacji z innymi ludźmi, tym lepiej. Jeżeli przegra życie, niewielu po nim zapłacze, nikt nie zada też niewygodnych pytań, mogących naprowadzić ciekawskich na mój trop.

Mój chrysler dołącza do niekończącego się sznura samochodów. Włączam radio. Chłodne dźwięki Two Minute Warning Depeche Mode współgrają z moimi myślami. Myślę o tępej suce Vivian, matce Danny'ego i mojej byłej żonie. Syn jest pamiątką felernego związku. Jeżeli będzie kiedyś wymagał mojej terapii, podejmę się jej bez wahania.

Chłopiec bawi się przypinką Kermita przyczepioną do bagażu. Euforia opadła i teraz peszy go rozmowa z ojcem. Świetnie. Nie mam ochoty wpraszać się do jego świata, wolę zanurzyć się we własny, przedestylowany ze skaz, uporządkowany i czysty, z Biblioteką Umysłu zawierającą dziesiątki półek wypełnionych woluminami z danymi o ludziach, z którymi się stykam: współpracownikach, pacjentach czy kochankach.

Rozciągam usta na myśl o wczorajszej nocy z Zoe Rosenberg. Z powodu odwiedzin Danny'ego nie znajdę teraz czasu na kolejną schadzke, wspomnienia ostatniej są jednak intensywne i świeże.

Cenię towarzystwo Zoe z wielu względów. Prócz intelektu i walorów fizycznych imponuje mi odporność tej trzydziestodwulatki na degradujące psychikę stany, jak zakochiwanie się oraz pokrewne mu uczucia.

Z zamyślenia wyrывa mnie wstrząs. Niespodziewanie uderzamy w coś na drodze. Uderzenie nie jest mocne, jednak zatrzymuję się, wiedziony ciekawością, czy wyrządziłem jakiemuś stworzeniu krzywdę.

Wyskakuję z auta, Danny wybiega za mną. Stoimy na poboczu leśnej drogi. Prawdopodobnie potrąciłem zająca albo szopa. Agonia nie jest wdzięcznym obrazem, ale nie oszczędzę synowi widoku trzewi rozwleczonych po asfalcie.

Obchodzę samochód dookoła. Rozglądam się za ofiarą.

Siła uderzenia odrzuciła zwierzę na skraj drogi. Leży nieruchomo na warstwie zgniłych liści. Widać, że jest przytomne. Nie krwawi, choć jego wnętrzności prawdopodobnie są zmiążdżone.

Przypatruję się Danny'emu. Na rozjaśnionej od światła twarzy chłopca nie dostrzegam oznak wstrętu.

Wyjmuję z bagażnika dwie pary czarnych rękawiczek. Wraz z workami na wymioty stanowią pozostałość po Naprawie Umysłu Obiektu Numer Jeden, którą przeprowadzałem przed rokiem.

- Nałóż je - mówię do syna.

Danny ochoczo wypełnia polecenie. Z fascynacją naciąga lateks na drobne dłonie. Kuca nad zwierzęciem bez strachu. Chce je zbadać. Stworzenie źle reaguje na dotyk. Z sykiem obnaża kły, ale jest za słabe, by ugryźć. Tylko końcówka ogona drga niespokojnie.

- Tato. - Danny szarpie mnie za rękaw. - Czy on umrze?

- Nie wiem - mówię prawdę. - Zobaczę, co da się zrobić. Wsiadaj do auta.

- Owijam kocura wyjętym z bagażnika kocem. Wożę ze sobą zestaw ratunkowy najwyższej klasy, ale nie zamierzam go eksploatować dla sierściucha.

- Nie ściągaj rękawiczek - pouczam syna. - Możesz się czymś zarazić. - Ja również nie zdejmuję swoich. Wścieklizna, nosówka, infekcje odkleszczowe. Kot może być biologiczną bombą, której nie jestem w stanie rozbroić. Zrobię z nim, co będzie konieczne, ale z pewnością nie na oczach Danny'ego. Powielanie błędów własnych rodziców jest zbrodnią.

Syn nerwowo przyciska do brzucha zawiniątko z kocurem, bezrasowym i niekastrowanym, o rudej sierści. Czuje się odpowiedzialny za zwierzę i za wszelką cenę pragnie je chronić. Zupełnie jak ja w jego wieku.

Kocur dostaje drgawek i wymiotuje Danny'emu na spodnie.

- Wytrzymaj, jeszcze trochę! - Chłopiec zaklina go. - Nie umieraj! Tato! - Patrzy na mnie z rozpaczą.

Staram się go uspokoić.

Parkujemy przed najbliższą dyżurną lecznicą. Pokażny neon z napisem „Lecznica weterynaryjna Amicus. Dr Darren S. Weston” barwi elewację budynku na zielono.

Wzdycham. Za chwilę i tak będzie po sprawie. Kocur jest w agonii. Weterynarz na miejscu zutylizuje ciało, wybawiając mnie od kłopotu.

Chłopiec, nie czekając na mnie, wbiega z ofiarą do lecznicy. Ciężkim krokiem wchodzę za nim do środka.

Przemierzam opustoszałą poczekalnię i otwieram znajdujące się na jej końcu drzwi do gabinetu. Jego wnętrze imponuje wyposażeniem. Jest chłodziarka na leki, aparat USG i rentgen, a także solidny stół, na którym Weston przeprowadza badania podopiecznych. W głębi pomieszczenia zauważam masywne drzwi, za którymi pewnie znajduje się sala operacyjna.

Nieznacznie unoszę kącki ust. Moją uwagę przykuwa właśnie ten weterynarz, niejaki Darren Weston.

## 2

Zdejmuję rękawiczki i podaję mu dłoń. Mężczyzna wita mnie ze źle skrywaną niechęcią. Mój mózg niczym skaner rejestruje detale weterynarza. Na jego uniform składają się ciemnoniebieskie spodnie oraz obcisła koszulka, która przywiera do ciała jak druga skóra. Strój podkreśla wzrost i atletyczną sylwetkę Westona. Ciemne, nastroszone włosy dodają mu niesforności. Wiek określam na trzydzieści kilka lat.

Wyczuwam u niego nerwowość spowodowaną naszą wizytą. Facet, jak każdy, może mieć gorszy dzień, ale dalsza obserwacja nasila złe wrażenie. Darren Weston jest antypatyczny. Nie potrafi odegrać emocji, które wzbudziłyby ufność. To wada u praktyka medycyny, również specjalisty od zwierząt. W dodatku słabo panuje nad ciałem.

Dolna część owalnej, pokrytej gęstym zarostem twarzy zdaje się żyć własnym życiem, niezależnie od woli mężczyzny. Darren przygryza wargi, jakby obawiał się trwonić słowa. To zachowanie zmienia się, kiedy bada pacjenta. Rysy łagodnieją, a zuchwa zastyga. Weterynarz przeczesuje palcami sierść kocura w autentycznej pieśczoce. Zwierzę mimo to próbuje go pokąsać i w stresie opróżnia jelita. Darren bez słowa czyści stół, po czym wraca do przerwanych zabiegów.

Danny kurczowo chwyta moją dłoń. Ścisła ją, poruszony cierpieniem kota.

- Każdego czeka śmierć - mówię, nie odrywając od niego wzroku.
- Jeszcze nie teraz, proszę pana. - Weterynarz zabiera głos. Brzmi wyraźnie i czysto, oddycha przeponą, kiedy mówi. Musiał spędzić wiele godzin nad nauką tak perfekcyjnej artykulacji.

Darren zaciska palce na kciukach, gdy zwraca się do mnie, omawiając stan zwierzęcia. Gest pomaga mu w kontrolowaniu emocji, choć facet z pewnością wstydzi się tiku. Jego wzrok niespokojnie przeskakuje ze mnie na kocura i otaczające nas sprzęty. Zauważam, że w mojej obecności kompletnie ignoruje Danny'ego. Interesujące. Mój umysł wchodzi na wyższe obroty.

- Obrażenia nie są śmiertelne. Wystarczy dobra opieka i spokój - objaśnia.  
- Wykonam USG, aby zyskać pewność, że kot przeżyje. - Odwraca się do nas plecami. Słysząc warkot maszynki, kiedy goli brzuch zwierzęcia. Badanie trochę potrwa. Poobserwuję zatem Darrena w jego środowisku. Otoczenie pracy powie mi o tym człowieku więcej niż wyuczona gestykulacja czy strój.

Omiatam wzrokiem gabinet. Jasnozielone kafle na podłodze i ścianach przypominają mi te z Laboratorium Naprawy. Nad białym, półokrągłym biurkiem wisi skromny dyplom. Weston ukończył studia w wieku dwudziestu pięciu lat. Obecnie ma trzydzieści sześć. Specjalizuje się w chirurgii małych domowych zwierząt, takich jak koty i psy.

Na jego biurku piętrzy się stos dokumentów. Podchodzę bliżej, by zerknąć na ich treść. To notatki dotyczące różnych schorzeń. Agresja zaborcza, syndrom wściekłości. Uboga socjalizacja. Atypowe neurodermatitis...

Odrywam oczy od niedbale skreślonych liter. Diagnostyka kocura wciąż trwa. Mój syn stoi dziarsko przy lekarzu. Obaj patrzą w monitor, na którym widać drobne trzewia zwierzaka.

Unoszę plik kartek i dyskretnie sprawdzam, co się pod nim kryje.

Osobisty terminarz Westona. Oprawiony w żółtą skórę kalendarz jest otwarty.

W umyśle zapalają się czerwone kontrolki, kiedy zerkam w notatki. Niesamowite. Facet nieopatrznie podaje mi na tacy swoje tajemnice. Ja trzymam własne w najbezpieczniejszym ze schronów - pod czaszką, w Bibliotece Umysłu.



Kataloguję w niej treść zapisków. Bez problemu odtworzę ją później w dogodnym momencie. Takich informacji nie da się łatwo zapomnieć.

Darren kończy oględziny pacjenta. Krótka nakreśla plan jego rekonwalescencji. Aprobuję wszystko, co mówi.

- Ma wysoką zawartość białka z soi, dobrze się trawi i redukuje alergię na pokarm. - Wskazuje na karmę w agresywnie czerwonym pudełku. - Dodatek pulpy z buraków wspiera zdrowie śluzówki jelita - wylicza zalety.

Unoszę brwi. Bawi mnie sposób, w jaki Darren popisuje się wiedzą.

Przy końcu wizyty wymieniamy się grzecznościami. Nawet Danny rozpogadza się, kiedy nadaję kotu imię - Szczęściarz. Dziś chyba wszyscy nimi jesteśmy, choć nie każdy z nas zdaje sobie z tego sprawę.

Weterynarz zegna nas wymuszonym uśmiechem. Odpowiadam mu miłszym grymasem. Spotkamy się za kilka dni. Do tego czasu uporam się z zebraniem podstawowych informacji o mężczyźnie. Rewelacje z kalendarza intrygują mnie na tyle, że zaczynam rozmyślać o ich autorze jako o potencjalnym kandydacie do kolejnej Naprawy. Treść zapisków Darrena sugeruje, że facet może być zaangażowany w sprawy, o istnieniu których większość ludzi wolałaby nie wiedzieć.

Tej nocy bez żalu porzucam odpoczynek. Moje biologiczne potrzeby ustają. Zanika głód, pragnienie, potrzeba snu. Wypełniają mnie myśli, chłodne i ciemne, o poznanym dziś Westonie.

Leżę na łóżku wpatrzony w cień rzucany przez nocną lampę. Plama układa się w zarys ludzkiej miednicy lub trupiej główki - gatunku motyla.

Biblioteka Umysłu jest otwarta. Pieczołowicie odtwarzam z niej zawartość kalendarza mężczyzny z datami szóstego i siódmego listopada.

Strony były pokryte szkicami wykonanymi czarnym tuszem. Lewą wypełniał rysunek nagiego rozczłonkowanego ciała mężczyzny w średnim wieku. W miejscach cięć sterczały odłamki kości i coś, co uznałem za nitki ścięgien.

Na prawej widniał portret dekapitowanego osobnika. Jego lewe oko było zapadnięte w oczodole. Prawe, z gwiaździstym pęknięciem na gałce, spoglądało wprost na patrzącego. W rozcięte wargi ofiary rysownik wtłoczył obfitą męskość.

To ekspresja gniewu i zacierzewienia autora, nie anatomiczna wprawka po godzinach. Weston rysował tak ostro, że w kilku miejscach rozdarł papier.

Przewracam się na brzuch, zbierając myśli. Pod rysunkami widniał krótki tekst. To właśnie jego treść przesądziła o założeniu Darrenowi woluminu w mojej Bibliotece. Ludzie skrywają sekrety, często wstrętne. Kłopoty zaczynają się, gdy te sekrety zawłaszczają osobowość i transformują ją na mroczną modłę.

Z Biblioteki wyrywa mnie krzyk Danny'ego. Wbiegam do salonu, gdzie śpi, i włączam oświetlenie. Pomieszczenie zalewa gorące światło halogenów.

Danny siedzi nienaturalnie wyprostowany na sofie i nieruchomo wpatruje się w białą ścianę przed sobą, jakby była ekranem w czasie rzeczywistym wyświetlającym jego sny.

Pobieleła wargi chłopca silnie drżą.

- To tylko sen, Danny - uspokajam go. - Jesteś bezpieczny - dodaję. - Ze mną.

- Nie. - Danny patrzy na mnie pustym wzrokiem, nie mogąc wyrwać się z koszmaru. - Nie! - Trzęsie się i tuli poduszkę.

Jego oddech jest za szybki. Muszę pomóc mu go spowolnić. Siadam za plecami chłopca i splatam palce na jego przeponie.

- Oddychaj, Danny. Już dobrze. - Przyciskam twarz do policzka syna. Czuję zgrzytanie drobnych szczęk. - Oddychaj, jak ja. - Siedzimy spleceni, dopóki jego mięśnie nie zaczynają się rozluźniać.

- Potwór miał błyszczące niebieskie oczy... - Danny nie wypuszcza moich rąk z uścisku. - Patrzył na mnie i ciągle przeżuwał.

Zastanawia mnie, czy obaj myślimy o tym samym.

- Kiedy się boisz, przywołaj dobre myśli - radzę mu. - Jak Piotruś Pan wzniesiesz się ponad strach. Co jest twoją szczęśliwą myślą, Danny? - pytam.

- Ty, tato - odpowiada. - Tęsknię za tobą. - Chłopiec niespodziewanie smutnieje. - Przez cały czas.

Za swoimi wyobrażeniami o mnie, Danny - myślę, przeczesując mu zmierzwione włosy. Wyłącznie za nimi. Fasada relacji, którą utrzymuję z potomkiem, musi mu wystarczać.

Po odprawieniu syna na lotnisko zatrzymuję się przy jednej z budek telefonicznych rozrzuconych przy autostradzie. Wertuję książkę adresową, wyrywam z niej ostatnią, usmarowaną klejem kartkę i zapisuję na niej konkretne dane. Sprawdzam je na mapie i bez zwłoki ruszam w dalszą podróż.

Widok machającej do mnie dziwki, wbitej w ciasny kombinezon, przypomina mi o tekście z kalendarza Westona:

*Jesteś daleko od domu i swojej rodziny,  
Zaraz się razem miło zabawimy!*

Wyobrażam sobie weterynarza pieprzącego się z tym, z kim z pewnością robić tego nie powinien. Ja korzystam z okazji. Kto wie, czy w natłoku przygotowań do Naprawy znajdę jeszcze czas na te uciechy.

Zapraszam panienkę na tyły chryslera. Ma około dwudziestu lat, zdrowe zęby i - co najważniejsze - jest czysta, a jej ciało nie wygląda na zużyte.

Nie silę się na uprzejmość. Zakleszczam ją między sobą a drzwiami. Szarpnięciem odchylam kurwie głowę, ciągnąc ją za długie włosy. Zaskoczona, miota się i przeklina.

- Spokojnie - szepczę jej do ucha. - Jak masz na imię?

- Lachociąg - stęka.

- Ach tak! - Uderzam jej twarzą o szybę. Zostawiam na szkle kleks jej krwi, równie czerwony jak włosy dziwki.

Wśród żalostnego chlipania niedelikatnie zadowolam się jej ciałem. Uda kobiety wciąż drżą, kiedy wysuwam spomiędzy nich członek oblepiony gęstym śluzem. Ocieram go chusteczką. Drugą podaję dziewczynie.

- Jeszcze z tobą nie skończyłem - mówię cicho. - Płaczę i wymagam. Bądź grzeczna.

Po kwadransie wypuszczam ją z samochodu. Dziewczyna, chwiejąc się, wbiega między pobliskie drzewa. Upada dwa razy, nim niknie mi z oczu.

Ścieram wilgoć ze skórzaney kanapy, wciąż rozmyślając o Darrenie.

*Szarpie się z płaczem ludzka dzidzia mała,*

*Bo w łapy sprytnego Zwierzęcia się dostała!*

*Jesteś daleko od domu i swojej rodziny,*

*Zaraz się razem miło zabawimy!*

*Bądź bardzo grzeczna, nie próbuj uciekać,*

*Bo Zwierzę się wścieknie, wtedy krzywda cię czeka!*

Tak właśnie brzmiał początek tekstu Westona. Całkiem możliwe, że skurwiel krzywdzi dzieciaki. To dlatego w lecznicy ignorował Danny'ego. Bał się własnych odruchów. Naprawa takiej bestii byłaby trudna. Tresura nie wchodzi w grę. Tresura jest poddaniem się, nie zmianą. A mi zależy wyłącznie na Naprawie.

Wracam do siebie okrężną trasą, mijając przy tym uznaną restaurację Biały Chart, w której często jadam kolację z Zoe. Pięćdziesięcioletni szef kuchni, Rick Bowman, wie, jak zadowolić kubki smakowe. Sam jednak posiada czerwony wolumin w mojej Bibliotece. Tym kolorem oznaczam tomy dotyczące osób, które kwalifikują się do Naprawy.

Po każdym posiłku proszę go na pogawędkę dotyczącą kulinariów. Obserwuję wtedy Ricka dla sprawdzenia, czy robi coś w kierunku zneutralizowania swojego defektu.

Z miesiąca na miesiąc z mężczyzną jest gorzej. Cierpi psychicznie i fizycznie, ale nie walczy z rujnąjącą go przypadłością. Zbyt kocha to, co go

niszczy. Jego Naprawa byłaby dość prosta, ale obecnie mój priorytet to Darren.

Docieram pod jego lecznicę. Nie wysiadam jednak z samochodu. Obserwuję mijające mnie wozy oraz nieliczne auta zaparkowane przy budynku. Przypatruję się też logo Amicusa.

W ciemnozielonym krzyżu widnieją białe zarysy sylwetek psa, kota i papugi. Kot pręży ogon, a papuga zawisa nad jego grzbietem. Zwierzęta to pełne hartu osobniki, zaś kuracja u Westona ma obiecywać właścicielom ich powrót do utraconej witalności.

Uśmiecham się, patrząc na kopułę śniegowych chmur zalegających nad miastem. Rok temu intensywnie polowałem na obiekt, który przeznaczyłem do terapii. Tym razem nie wyruszę na łowy. Ofiara sama wpadnie w zasadzkę, którą dla niej przygotuję.

### 3

Kolejne tygodnie mijają szybko. Mój wewnętrzny zegar, odliczający czas do Naprawy, przyspiesza. W rozjazdach między kliniką, domem i miejscami, w których zdobywam informacje o pacjencie, planuję scenariusze dotyczące jego kuracji: precyzyjne, dotykające chorego aż do skażonego rdzenia jego istnienia.

Wciąż regularnie spotykam się z Zoe. Pieprzymy się w hotelach. Wolę, by nie wiedziała, że posiadam w domu kocura, którego trzymam w klatce o gabarytach dla gryzoni.

Wykorzystam przeciw Darrenowi jego słabość, którą jest miłość. Bezwarunkowa miłość do zwierząt.

Posiadam już konkretne informacje o obiekcie. Po numerze zawodowej licencji Westona docieram do jego dokumentów, tych szkolnych i reszty oficjalnego życiorysu.

Matka, Sue, zmarła przy porodzie. Ojciec, Simon, pracował jako aptekarz. Mieszkał z jedynakiem na peryferiach Cleveland. Darren Sean Weston był zdolnym uczniem.

Nic nadzwyczajnego. Fakty, które można dopasować do setek, jeśli nie tysięcy dzieciaków.

Ciekawie zaczyna robić się później. Okres między trzynastym rokiem życia a pełnoletniością Westona jest luką w jego biogramie. Nazwisko Darrena pojawia się dopiero w wykazie studentów weterynarii - daleko od domu, na Florydzie.

Co działo się z nim w tym czasie? Gdzie przebywał, co robił? Czy spotkało go coś, przez co przyjął taką, a nie inną tożsamość? To dane, które

muszę prędko zdobyć i robię to, jak zwykle, niejawnie.

Mieszkanie, w którym żyje Weston, najmuje od dwóch lat. Tyle samo czasu prowadzi tu własną lecznicę. Ludzie twierdzą, że mieszka sam, choć często słyszą wrzaski i niedające się zidentyfikować hałasy dochodzące spod lokalu numer trzy. Kilka razy interweniuje policja, ale nikt nie zostaje zatrzymany.

Sąsiedzi nie znają bliżej Westona. Facet wychodzi do pracy o świcie i wraca z niej niemal nocą. Często przez kilka dni jego mieszkanie stoi puste. Zwierzę najwyraźniej poluje...

Siedzę w poczekalni Amicusa obwieszanej planszami ze szkicami psiej i kociej anatomii. Mój kocur obija się o transporter, który trzymam na kolanach.

- Nie jest wściekły - mówię do wydekoltowanej paniusi, która czeka ze swoim pudlem na wizytę. - Po prostu czuje ból.

- Rozumiem - kobieta wzdycha. - Przyjechałam uśpić Lizzy.

- Tak bywa. - Ucinam dialog, gdy do lecznicy wpadają dwaj zakrwawieni osobnicy. Taszczą w kocu cielsko sporego psa.

Roślejszy z nich wściekle kopie w drzwi.

- Weston, otwieraj! To ja, Trier! Skurwysyny pogryzły Ajaxa! - wrzeszczy.

Natychmiast otwieram Bibliotekę. Każda informacja o weterynarzu jest cenna, szczególnie ta podszyta emocjami.

- Weston, do kurwy nędzy! - Mężczyzna w rozchełstanej garniturze napiera jak taran na drzwi. Pod jego marynarką dostrzegam szelki kabury. Drugi pochyła się nad amstaffem ułożonym na posadzce. Zwierzę silnie broczy z rany w prawym boku, prawdopodobnie zadanej szczękami innego psa.

Darren wreszcie otwiera. Nie wydaje się zaskoczony ich agresją.

Natręci znikają w gabinecie. Poprzedni klient zostaje nieelegancko wyproszony. Słyszę przekleństwa, piski i warczenie. Kobieta w popłochu opuszcza lecznicę. Ja zamierzam zostać.

Pierwszy z mężczyzn po chwili opuszcza gabinet. Rozwścieczony, trzyma się za zabandażowaną dłoń. Wychodzi z lecznicy, trzaskając drzwiami. Drugi, Trier, zalega w poczekalni.

Postawny, około czterdziestoletni szatyn prostuje nogi i w zmęczeniu pochyla na piersi głowę obstrzyżoną do skóry. Jego popielaty garnitur, prócz krwi - najpewniej pochodzącej od amstaffa - jest upaprany świeżym błotem. Dłonie mężczyzny, pokryte wypukłymi fioletowymi bliznami oraz licznymi tatuażami, drżą. Każdy palec Triera jest ozdobiony rysunkiem. Na prawej dłoni widnieje napis „Cerber”. Na przeciwnej sylwetka trzygłowej bestii.

Przymykam powieki. Zastanawiająca myśl rozbłyskuje mi w głowie, ale natychmiast przygasa.

Kocur usnął, wycieńczony szalem. Siedzę z przymusowym kompanem w ciszy.

Trier odchyła głowę i opiera ją o ścianę. Przymyka powieki. Kątem oka zerkam na jego profil. Zarośnięty policzek przecina szeroka różowa szrama, która ciągnie się aż po szyję mężczyzny. Ją również pokrywają tatuaże, o kształcie cyfr. Porzucona przed chwilą myśl powraca.

Osobnik czuje na sobie mój wzrok. Powoli odwraca głowę. Marszczy brwi, ale nie z powodu rozdrażnienia. Jest równie zaskoczony jak ja.

- Co za spotkanie - mówię kąpiąco. - Minęło chyba z pięć lat.

Trier spogląda na dłonie. Bezskutecznie usiłuje powstrzymać ich drżenie.

- Trzy - uściśla. - Już nie działam w tej branży... - Milknie, kiedy Weston otwiera drzwi.

Weterynarz spogląda na Triera, potem na mnie i na transporter z kocurem. Nie słyszał naszej rozmowy.

- Zrobiłem, co mogłem, Davidzie. - Zdejmuje zabrudzone rękawiczki. - Zapraszam.

Trier znika w gabinecie, z widoczną ulgą, że nie musi dłużej siedzieć obok mnie.



David Trier. Tak, to on. Jestem tego pewien. Mam pamięć do nazwisk i rysopisów, szczególnie Pacjentów Specjalnych, którzy poprawnie przeszli test z miłości i poświęcenia.

Muszę jak najszybciej dowiedzieć się, co łączy Triera z Westonem. Bagno, w którym tapła się weterynarz może być głębsze, niż pierwotnie przypuszczałem.

Po kwadransie Darren zaprasza mnie na wizytę. Bada kocura, ale nie ma dobrych wieści. Zwierzak leży otępiały na stole. Nie ma siły walczyć; możliwe, że czeka na śmierć.

- Co się dzieje, proszę pana? - Weston zaciska palce na kciukach. Każdy z nich porasta ciemna kępka włosów.

- Nie mam pojęcia. - Rozkładałam ręce.

- Dziwne. Miał robiony posiew, morfologię. Parametry medyczne są w normie. - Uważnie wertuje kartotekę pacjenta. - Długo przebywa pan poza domem w ciągu dnia?

- Pracuję, osiem, dziewięć godzin, jak większość ludzi. - Nie zdradzam o sobie niczego więcej.

- Może to lęk separacyjny? - zastanawia się. - Wie pan, tęsknota za opiekunem. - Nieprzyjemnie oblizuje usta. - Zaobserwował pan jakieś objawy?

- Całkiem sporo - odpowiadam. - Wylizuje się po bokach. Atakuje własny ogon. Załatwia się pod siebie. Wymiotuje - wyliczam, zgodnie z prawdą.

- To zachowania obsesyjno-kompulsywne. - Darren pewnie stawia diagnozę. - Zalecam leki psychotropowe. Zwierzętom też się je podaje, wystarczy dodawać do karmy. Zaraz je przyniosę. - Podchodzi do chłodziarki na leki.

- Dobrze, poczekam. - Rozglądam się po gabinecie.

Tym razem na biurku weterynarz ma porządek.

- Proszę. Dawkowanie. - Podaje mi pojemnik wraz z kartką wypełnioną znanym pismem. - Po kilku dniach kocur powinien mieć się lepiej. - Patrzy

na mnie, zaciskając szczękę. - Proszę przyjść za trzy tygodnie do kontroli. Będzie dobrze.

- Na to liczę. - Kiwam głową. Rozstajemy się, nie podając sobie rąk.

Na parkingu przed lecznicą zastaję Triera mocującego się z przymarzniętymi drzwiami samochodu. Fakt, jest zimno. Powietrze aż kłuje w nieosłonięte części twarzy.

Jego pies leży nieruchomo obok auta. Gwałtowne wychłodzenie po narkozie i operacji może zabić zwierzę. Kalkuluję, czy warto pomóc Davidowi. Zna się z Darrenem, więc pewnie posiada informacje, które mogą mi się przydać.

Odstawiam transporter do bagażnika. Wyjmuję z torby strzykawkę, igłę oraz koc.

- Pomóc ci? - wołam do Triera.

David prostuje się i czujnie unosi głowę. Stoję daleko, więc nie od razu rozpoznaje mnie w mroku. Parking jest kiepsko oświetlony, zaledwie jedną latarnią.

Nerwowo szarpie kłamkę.

- Kurestwo! - Uderza pięścią o drzwi.

Nie możesz się denerwować, Davidzie. Twoje serce źle reaguje na stres. Nie przeżyłbyś kolejnej operacji. A ja nie lubię, kiedy pacjenci umierają na stole - chyba że ich ciała są przeznaczone na biologiczne części zamienne.

- Otul nim psa. - Podchodzę do mężczyzny i podaję mu koc. - Ja otworzę auto.

Zaciągam strzykawką płyn hamulcowy ze zbiornika. Wsuwam igłę do zamka i wstrzykuję w szparę płyn. Olej hydrauliczny nie zamarza i ma właściwości smarne. Jego składniki rozpuszczą kryształki lodu.

- Gotowe. - Otwieram wóz.

Układamy amstaffa na kanapie. Ma szaro-brązową sierść i niebieskie oczy. David tłumaczy, że takie umaszczenie w hodowli rejestruje się jako błękitne.

- Jak twoje serce? - pytam, kierując uwagę Triera na siebie.

- Wciąż bije - odpowiada z niechęcią, krzywiąc się na wspomnienie operacji sprzed trzech lat. - Mogę? - Wyjmuje skręta. - Pomaga mi. - Zaciąga się.

Jego ręce drgają z przyczyn neurologicznych, nie z nerwów. Najemnik, a zwłaszcza snajper musi perfekcyjnie panować nad ciałem. Ten fach u Trier jest przeszłością. Pokonała go choroba Parkinsona.

Dopytuję Davida o wypadek Ajaxa. Tylko tak mogę przejść do sedna rozmowy o Westonie.

Okazuje się, że mój były pacjent prowadzi hodowlę bojowych psów, poza tym urządza ich walki. Weston opiekuje się zwierzętami Trier.

No proszę. Robi się coraz ciekawiej. Prędko analizuję dane, jakie już posiadam o Westonie.

Cleveland. To tam ukrywa się kluczowa dla mnie informacja o mężczyźnie. Muszę zatem powrócić do źródeł.

- Cieszę się, że serce nadal ci służy. - Elegancko kończę rozmowę.

David rzuca niedopałek na ziemię i rozgniata go butem.

- Pozdrów ode mnie żonę - dopowiadam. Trier zaciska pięść, ale natychmiast ją rozluźnia.

Mózgowi niewiele potrzeba do wytworzenia w sobie obrazu wroga. Czas krótszy od mrugnięcia okiem wystarcza, aby dobrze ukierunkowany bodziec zwiększył aktywność w ciele migdałowatym - części mózgu odpowiedzialnej za strach. Niektórzy latami szkolą się na zabójców. Inni się nimi rodzą. Trier z pewnością nie jest bestią - nie taką, jaką w mojej ocenie mógłby się stać. Kiedy odjeżdża, patrzę za nim z grymasem, którego ten - na szczęście - już nie widzi.

\*\*\*

Zanurzony we wrzącej kąpieli, pijam wodę z lodem z kostkarki. Skanuję pamięcią adresy znajomych z własnej branży. Jak zawsze znajduję

dane, których szukam. Telefon wykonuję właśnie do Cleveland - do Barry'ego Wolfe'a, psychiatry. Od miesięcy jestem mu winien przysługę. Teraz mam okazję się wywiązać. Przy okazji przeprowadzę małe śledztwo. Liczę, że Barry zgodzi się na współpracę w tym zakresie.

Spędzam w Cleveland trzy dni. Ostatniego wygłaszam prelekcję na temat chirurgicznego leczenia zaburzeń psychiatrycznych. Improwizuję, ale wykład okazuje się sukcesem. Nie zaprzątam sobie tym głowy. Najważniejsze, że Wolfe zgadza się mi pomóc.

Psychiatra zasypuje mnie aktami pacjentów z zaburzeniami zbliżonymi do tych, które wstępnie zdiagnozowałem u Westona. Czytam je z uwagą. Wszystkie poszerzają moją wiedzę i pomagają solidnie przygotować się do pracy nad umysłem Darrena.

Docieram do jego pełnej medycznej dokumentacji. Dołączono do nich kopię artykułu z lokalnej gazety. Zatytułowany Tragedia w rodzinie aptekarza, odkrywa nowe, skandaliczne fakty na temat historii życia Darrena.

Dogłębnie zapoznaję się z jego najwstydlivszym sekretem. Możliwe, że Towarzystwo Weterynaryjne odebrałoby mu licencję, gdyby tajemnica wyszła na jaw. Teraz nie dziwi mnie, że co kilka lat zmienia miejsce pracy i zamieszkania. Obecnie żyje w Massachusetts. Kto wie, może za rok, dwa sprzeda lecznicę i wyjedzie na Alaskę?

Muszę go czym prędzej poddać terapii. Jestem tego pewny. Nie bez przyczyny Weston spędził lata młodości w miejscu, w którym ludzie przestają być ludźmi, zmieniając się w przedstawicieli znacznie niższych gatunków.

## 4

Czarna terenówka powoli toczy się po wąskiej drodze prowadzącej z Laboratorium Naprawy. Troskliwie przygotowałem je na wizytę kolejnego obiektu. Przypuszczam, że będzie kłopotliwszy od pierwszego. Zainstalowałem nowoczesny sprzęt monitorujący pomieszczenie. Wymieniłem materac, sprawdziłem wytrzymałość pasów łóżka. Wokół mebla zamontowałem stelaż z nierdzewnej stali. Zakupiłem kroplówki, cewniki i preparaty do żywienia pozajelitowego, a także skalpele, nożyce i chirurgiczną wiertarkę. Podstawowy asortyment medyczny miałem w komplecie. Ten profesjonalny nabyłem na czarnym rynku. Zrobiłem też zapasy spożywcze, choć wyłącznie dla siebie. Podczas terapii pacjent będzie żywiony pozaustrojowo.

Biorę prysznic na stacji benzynowej. Zmywam z siebie mdłą woń medycznej chemii i intensywną żywicość lasów otaczających kryjówkę. Zoe nie może wyczuć, skąd przyjeżdżam.

Nakładam czarną koszulę i wełniany garnitur w jodełkę w identycznym kolorze. Preferuję stonowany ubiór i ciemne barwy. Jestem zobowiązany wyglądać na lidera.

Lubię swoje ciało. Mam ciemnobrązowe oczy ze złotymi refleksami, które - jak zaklinała była żona - w skąym świetle błyszczą na czerwono; prosty nos i mocno zarysowany podbródek; brunatne, sztywne włosy i nieprzeciętnie bladą cerę. Te cechy dodają mi uroku, którego nie ujmuje niewielki wzrost - zaledwie sto siedemdziesiąt trzy centymetry. Mam powodzenie u kobiet, niemniej to mózg, a nie penis, jest moim ulubionym narządem w organizmie.

Kolacja z Zoe wypełnia czas pozostały do godziny zero, w której przejmę totalną kontrolę nad życiem pacjenta. Tradycyjnie zajmujemy w Białym Charcie dwuosobowy stół przy ścianie ozdobionej plakatem mężczyzny ze strzelbą i głową myśliwskiego psa doczepioną w miejsce ludzkiej. Dochodzą mnie strzępki rozmów gości, szeleszczące jak papier, i porwane nuty jazzu, dobywające się z głośników przy barze. Bez zbędnych słów składamy zamówienia. Wybieram duszoną jagnięcinę z kaszą. Zoe zadowolona się łososiem.

Patrzę, jak z wdziękiem nakłada na widelec porcję pieczonej ryby. Kochanka jest ubrana w skórzany żakiet i szarą ołówkową spódnicę. Na nogach ma gustowne pantofle. Obserwuję jej pełne wargi. Oczekiwanie na Naprawę niesłychanie wzmacnia libido.

Pieprzymy się w męskiej toalecie. Biorę Zoe od tyłu. Wchodzę w nią, kiedy jest jeszcze ciasna, ale nie stawia oporu. Przygważdżam ją do ściany i wypełniam sobą. Cienkie ścianki kabiny aż wibrują od krótkich, wściekłych pchnięć. Zoe stęka, nie udając rozkoszy. Odwraca się, oplata udem moje biodra i zaczyna szalony taniec pochwy wokół członka, jednocześnie wypychając mi język do ust. Pod bluzką ściskam jej pełne piersi. Kochanka krzyczy, gdy szczytuje. Ja robię to w ciszy, choć orgazm czuję aż u podstawy czaszki.

Zoe doskonale zna swoją rolę i to właśnie w niej cenię. Wie, że zawsze może ode mnie odejść. Zostaje, bo ją fascynuję jako kochanek i transplantolog, który nosi na tej ziemi znamiona pieprzonego Boga. Zoe ma szczęście, że tak naprawdę wcale mnie nie zna.

Kiedy wychodzimy z kabiny, wciąż wygląda ubiór. Facet przy pisuarze na nasz widok otwiera usta do soczystej uwagi, ale mój wzrok knebluje go i zostawia zastygłego z przyrodzeniem zwisającym z dłoni.

Wracamy na salę dokończyć posiłek. Kelner poleca sorbet cytrynowy. Na koniec tradycyjnie chcę podziękować Bowmanowi za ucztę. Niestety, szef kuchni przebywa na zwolnieniu. Zabija go własny defekt.

Płacę rachunek i zamawiam dla kochanki taksówkę. Po jej odejździe sam ulatniam się z restauracji. Opuszczam gwarne centrum Bostonu i wjeżdżam w senność miejskich peryferii.

Za moment upadnie fikcyjny bastion z resztek sumienia. Za chwilę zniknie wszelkie tabu. Po miesiącach tęsknot za terapią i tygodniach intensywnych przygotowań do niej kolejny obiekt wpadnie w sidła Inżyniera Naprawy.

Nim opuszczę samochód, znów przebieram się, stosownie do okazji. Ubiór, prócz wygody, ma spełniać szereg dodatkowych wymagań. Tylko idiota zdaje się na los. Jakoś to będzie, oszukuje samego siebie. Racja, zawsze jest „jakoś”. Mądry dba, aby to „jakoś” działało się według scenariusza.

Na osiedlu, gdzie mieszka pacjent, panuje nocny zastój, mimo to kilkakrotnie upewniam się, czy ani jeden spacerowicz z psem, diler albo stojąca na rogu kurewka nie spostrzegą, jak wnikam do budynku. Na szczęście to jedna z cichszych dzielnic tego miasta lunatyków.

Budynek jest niepozorną trzypiętrową kamienicą, przytuloną z obu stron do smukłych sosen. Do wejścia prowadzą cztery wyszczerbione schody. Wchodzę niezauważony do środka. Grube podeszwy myśliwskich butów skutecznie tłumią odgłos kroków.

Parter zajmują trzy pary czarnych drzwi oznaczonych białymi numerami. Na piętro prowadzą kręcone, wysokie stopnie. Dookoła czuć wilgoć bijącą od ścian i słyszeć wstrętne brzęczenie świetlówek.

Czarne, sporej wielkości pudło, jakie przyniosłem ze sobą, zaczyna drgać. Potrząsam nim kilkakrotnie. Sensacje natychmiast ustają.

Pukam do drzwi z numerem trzy. Weston od razu otwiera.

Ma zaczerwienioną twarz, spuchnięte powieki i silnie przekrwione oczy. Roztacza woń mocnego alkoholu, prawdopodobnie koniaku albo whisky. Patrzy na mnie, mrużąc powieki. Próbuje skojarzyć, skąd mnie zna. W lecznicy miałem nienagannie skrojony płaszcz i drogie skórzane buty. Tej nocy wyglądam inaczej. Noszę wąskie, naszpikowane kieszeniami spodnie i

kurtkę ze stójką, spod której wystaje chroniący szyję golf. Włosy są ukryte pod czapką, na dłoniach mam rękawiczki. Od stóp do głów spowija mnie czern.

Wpatruję się w Darrena niezdradzającym intencji wzrokiem.

- Szczęściarz - informuję zwięźle. - Musi mu pan pomóc.

Weston przytyka dłoń do czoła. Nie w smak mu naruszenie prywatności, przez kogokolwiek, a już na pewno przeze mnie.

- Chyba umiera - dopowiadam. Robię krok do przodu, aby zmniejszyć między nami dystans. - Jest pan weterynarzem - naciskam. Myślę o obowiązku ratowania życia, jakiemu podlega także Darren.

Odwołanie do etosu profesji pomaga. Wpuszcza mnie.

Teatralnym gestem stawiam pudło na masywnym stole w dusznym, zaciemnionym pomieszczeniu, tonącym w gęstych oparach przetrawionego alkoholu. Brzegi mebla są ponacinane równie mocno jak blat. Gładzę je z myślami o furii, z jaką Darren rysował swoje szkice.

- No dobrze. Proszę pokazać kota. - Weterynarz, ubrany w dresowe spodnie i rozciągniętą koszulkę bez rękawów, ciężko opiera się o stół. Jest przeraźliwie owłosiony, wszędzie, nawet na palcach u bosych stóp. Gdy mówi, podkurcza je. Mimo rauszu i psychicznego dyskomfortu autentycznie chce pomóc zwierzakowi.

- Może to jakiś guz? - zagaduję.

- Ca-ałkiem mo-ożliwe. - Darren przeciąga sylaby. Skupia się, by precyzyjnie wyrażać myśli. - Wy-yjmie go pa-an?

Uwalniam kocura z uwięzienia. Zwierzak zawodzi i wije się żałośnie w moim uścisku, jakby przeczuwał czekający go los.

Cichy trzask skręcanego karku kończy rolę Szczęściarza przypisaną zwierzęciu w moim planie. Wrzucam truchło do pojemnika, spokojnie czekając na reakcję Westona.

Odliczam zastygłe sekundy dzielące nas od konfrontacji. Ze zgniłozielonych ścian salonu przyglądają nam się jelenie, sarny i srebrna



para wilków, jakby w zdziwieniu, że właśnie odebrałem życie ich zwierzęcemu współplemieńcowi.

Szok odbiera Darrenowi głos. Jest wściekły i zdruzgotany jednocześnie. Oddycha chrapliwie jak ranna, błagająca, aby ją dobić sarna.

Wyjmuję z kurtki niewielki pojemnik. Rozpylam wąski strumień w spurpurowiałą twarz Westona. Podaję anestetyk. Wolę nie ryzykować usypiania w zastrzyku. Facet wygląda na silnego, poza tym jest, w przeciwieństwie do mnie, wysoki. Zyskałby przewagę i w ferworze walki moglibyśmy się poranić. Cholernie nie chciałbym, aby obiekt nabawił się zbędnych uszkodzeń na ciele. Musi być zdrowy i silny, inaczej nie przetrzyma terapii.

Darren zatacza się, ostro kaszle i trze oczy. Próbuje przytrzymać się stołu, ale mięśnie odmawiają współpracy. Jego rozbiegany wzrok płąsa po meblach, ścianach i suficie. Alkohol wzmacnia działanie leku.

Weterynarz opada na czworaki i dostaje ataku drgawek. Z ust wychodzą mu bąble gęstej śliny. Gdyby zaprzestał walki z ciałem, cierpiałby mniej. Do samego końca nie zamierzam go informować o pochodzeniu rozpylonej substancji. Niech traci świadomość z myślami o bólu i własnej śmierci. Nie zasługuje nawet na pozory litości.

Darren mdleje. Kucam nad nim, przekręcam na bok jego głowę, odchylam szczękę i przytrzymuję język, aby się nim nie zadławił. Sprawdzam puls. Jest stabilny.

Spoglądam na swoją czarną Omegę. Na razie czas jest moim sprzymierzeńcem. Muszę zadbać, aby nie stał się wrogiem.

Rozpaczynam inspekcję kryjówki Darrena. W pomalowanej na bordowo, przypominającej wnętrze macicy ciasnej sypialni z wąskim oknem stoi szafka, krzesło i drewniane łóżko. Materac jest wygnieciony. Pościel - zmięta. Na prześcieradle nie znajduję żadnych śladów, choć wyobrażam sobie na nim plamy z nasienia gospodarza.

Pobieżnie przeglądam jego filmotekę. Posiada sporą kolekcję pornografii. Zaciekawiony, przesuwam palcami po rzędach kaset w białych pudełkach z odręcznie wypisanymi tytułami. Rzucam okiem na zawartość materiałów zatytułowanych Ostre żądze. Filmy to nagrania snuff - pozorowane tortury zwieńczone prawdopodobną śmiercią ofiary. Nie spodziewałem się lekkich erotyków. Darren wykształcił w sobie miłość do podziwiania przemocy bardziej niż do rzeczy, które uchodzą za dobre.

Z uśmiechem myślę o własnych upodobaniach. Wolę doświadczać niż oglądać.

Kalendarz Westona leży pod stołem na stercie sczytanych egzemplarzy „Nature”. Z uwagą wertuję kartki. Odkrywam na nich kolejne szkice tej samej nagiej męskiej postaci. Na niektórych została przedstawiona z czaszką należącą do jakiegoś gatunku drapieżnej małpy, o przepastnych oczodołach i długich zakrzywionych kłach. Identyczna czaszka wisi nad wejściem do salonu. Jest podświetlona białymi żarówkami. Mogę z wielkim prawdopodobieństwem stwierdzić, że już wiem, kogo przedstawia ten animalistyczny bożek.

Fotografuję polaroidem kilka stron kalendarza. Zdjęcia wykorzystam jako pomoce dydaktyczne przy Naprawie.

Spoglądam na nieprzytomnego weterynarza. Czas się nim troskliwie zająć.

Przebieram go w szerokie spodnie z nakładkami i kurtkę o wojskowym kroju w maskującym kolorze khaki. Komplet znajduję, złożony w kostkę, obok nabitej strzelby w szafie w salonie. Pewnie to strój roboczy, jaki nosi na psiej farmie u Triera.

Zabieram do wozu pudło z kocurem, portfel i dokumenty Westona. Truchło upycham do jednego ze schowków w aucie. Pozbędę się ciała w azylu.

Czas wynieść najcenniejszy ładunek spod trójki. Przekładam rękę Darrena wokół swojej szyi i chwytam ją za nadgarstek. Drugą ujmuję weterynarza za

pasek. Nie bez wysiłku wtaszczam go na miejsce pasażera w terenówce, zaparkowanej tuż pod wejściem do kamienicy. Nikt nie zaczepia nas po drodze. Nie muszę więc tłumaczyć się, że wiozę zachlanego kumpla na ostry dyżur do szpitala.

Przypinam go ciasno do fotela. Sprawdzam odruchy i reakcję źrenic na światło. Po dotarciu na miejsce zaaplikuję Westonowi kroplówkę niwelującą skutki narkozy i zatrucia trunkami.

Dochodzi piąta nad ranem. Najciemniejsza godzina przed pobudką brudnego, zimowego świata. To wtedy organizm, wyczerpany brakiem snu, często poddaje się zmęczeniu. Połykam pigułki wyjęte ze skrytki. Wysoka zawartość kofeiny wspomogę koncentrację na kilka godzin. Potem czeka mnie krótki odpoczynek. Pacjent i tak nie przebudzi się samoistnie przed wieczorem.

W czasie podróży słucham audycji radiowych, głównie z muzyką klasyczną i jazzem. Patrząc na uspiomy obiekt, odczuwam coś na kształt zadowolenia. Dobrego nastroju nie zakłóca nawet fakt, że zwieracze Westona tracą szczelność i będę musiał czyścić tapicerkę. W Laboratorium zadbam o takie drobiazgi, jak kontrola nad wydalaniem pacjenta i przymusowe odżywianie go. Jedyne rzeczy, o które Darren będzie się martwił, to własne wybory i ich konsekwencje.

Czas bowiem nigdy nie leczy ran. On je tylko zabliźnia.

## 5

Na horyzoncie już widać Laboratorium Naprawy: ceglany dom parterowy z ogromną piwnicą, ukryty wśród gęstwiny lasów, z przewagą iglastych drzew. Kupiłem go od staruszków, którzy woleli umrzeć wśród cywilizacji, w otoczeniu obcych im ludzi, niż w głuszy pośród kojącej natury. To prawda, że zimą, gdy śnieży, jest utrudniony dojazd, ale terenówka przekopie się bez problemów. To moje schronienie - im trudniej do niego dotrzeć, tym lepiej. Za sąsiadów mam wilki i sarny. Wystarczy.

Bungalow jest skromnie wyposażony. Z powodzeniem użytkuję proste, drewniane meble po poprzednich właścicielach. To oni przystosowali piwnicę do realizacji mniej lub bardziej krwawych zadań specjalnych. Jej podłogę i pozbawione okien ściany pokrywa szachownica biało-zielonych kafli. Możliwe, że bunkier pełnił rolę prowizorycznej masarni i zarazem chłodni myśliwego. Na ścianach wciąż wiszą rzędy mocnych, rzeźniczych haków. Nie zamierzam ich demontować.

Osobną ciekawostkę stanowi przyległa do pomieszczenia komórka z sanitariatem. Podczas terapii jest dla mnie sporym udogodnieniem.

W Laboratorium Naprawy znajdują się dwa składane stoły. W czasie terapii na jednym rozkładam leki, na drugim - narzędzia. Wykorzystuję też telewizor ustawiony na szafce. Seanse uatrakcyjniają proces zmian. Angażuję w nie wszystkie zmysły pacjentów.

Na odbiorniku stoi małe trofeum: drewniany kwiatek z klipsem. To prezent od pewnej dziewczynki za przeszczepienie nerki jej ojcu.

Wpinam w ten kwiatek komunikaty dla pacjentów. Nie poniżę się, przekrzykując ich, kiedy wyrwą się z narkotycznego letargu do całkiem

przytomnego koszmaru. Gdy zaczną lustrować otoczenie, zauważą figurkę z wyrytym na niej nieścieralnym uśmiechem. Główka kwiatka-spinacza zacznie kiwać się pod dotykiem moich palców jak metronom wybijający rytm wahań nastrojów pacjentów: rozpacz, buntu i nadziei.

Łóżko, najważniejszy mebel Laboratorium, to najdroższa inwestycja. Jest szerokie i w całości powleczone materiałem wspomagającym utrzymanie czystości. Ma wysuwane podpórki pod ręce oraz zestaw pasów do okiełznywania pacjentów. Ich komplet obejmuje wiązania przy kostkach, na wysokości ud, talii i klatki piersiowej oraz barków i nadgarstków. Oparcie oraz część przeznaczona pod nogi są regulowane. W zależności od potrzeb zmieniam pozycję chorych.

Muszę nieustannie mieć oko na pacjentów, szczególnie w dni przeznaczone na ich izolację i wyciszenie, dlatego zamontowałem w piwnicy przenośne kamery na podczerwień. Deprywacja sensoryczna to jedna z lepszych metod na osłabienie oporu. Zwiększa też podatność obiektów na moje zabiegi i słowa.

Już dziś przekonam się, jak pójdzie mi praca nad umysłem Darrena. Jaźń nie potrafi istnieć bez ciała, dlatego zniszczę pierwszy bunt obiektu przez fizyczność. Wykorzystam sprawdzone od lat, efektywne metody przesłuchań, które uzupełnię własnymi pomysłami.

Nadrzędnym celem Napraw Umysłu jest rekonstrukcja osobowości pacjentów. Udowodnienie sobie, że nie ma granic, że nawet ktoś ze skazą umysłu, odpowiednio pokierowany, może się odmienić. Nie szkodzi, że stosuję kontrowersyjne metody przy terapii. Skoro już w latach pięćdziesiątych wywiad oraz wojsko stosowali skuteczne metody kontroli umysłów, dlaczego mnie miałyby się nie udać?

Wiem, że mam do czynienia z ludzkim, nie do końca przewidywalnym czynnikiem. Ułożony przeze mnie profil psychologiczny pacjentów nigdy nie będzie idealną matrycą ich zachowań. Mogą zdarzyć się niespodzianki. Jestem na nie solidnie przygotowany. Dopasowuję metody zależnie od

rodzaju i natężenia skaz w obiektach. Nie mogą odgrywać przemiany. Naprawa albo się powiedzie, albo okazuje się porażką. Mnie najbardziej satysfakcjonowałby rezultat podwójnej wygranej: własnej i wyleczonego pacjenta.

W wypadku fiaska pozostaje jedno rozwiązanie. Pozbycie się nienaprawialnej jednostki ze świata żywych, w czym dopomogą moje kontakty, pieniądze i medyczna wiedza.

Usytuowanie bungalowu sprzyja wizytom dzikich zwierząt. Zabezpieczyłem go więc zaporą pod napięciem. Jej stalowe linki biegną na kilku wysokościach, z których dolną przeznaczono dla wilków, a środkową i górną - dla jeleni... i ludzi. W tych okolicach każdy dba o siebie. Osadnicy są zahartowani w walce z naturą. Często sąsiad nie zna sąsiada i dam głowę, że każdy trzyma strzelbę pod łóżkiem.

Nim zabrałem się za Naprawy, przybywałem tu odpocząć od wrzasku świata i ludzi. Nie bawiłem się w towarzyskość. Polowałem na zające i sarny oraz łowiłem w śródleśnym jeziorze. Własnoręcznie zabity i oprawiony posiłek zawsze smakuje lepiej.

Zakopuję truchło Szczęściarza pod zaporą. Lekko stopniała warstwa śniegu odsłania odchody żerujących nieopodal zwierząt. Temperatura oscyluje w okolicach zera, co znacznie ułatwia mi pracę.

Życie jest kruche. Ciekawe, czy Darren doceni swoje własne, skoro nie potrafi uszanować cudzego.

Umyty, posilony i przebrany w chirurgiczną bluzę wpinam w kwiatek-spinacz pierwszy z komunikatów dla pacjenta. To hasło stanie się motywem przewodnim inicjacyjnego etapu jego terapii. Nakieruje ono Darrena na właściwą percepcję własnej osoby. Nie sądzę, aby kiedykolwiek postrzegał siebie z perspektywy, jaką mu zaproponuję. Teraz zmuszę go, aby to zrobił. Brak chęci do współpracy automatycznie skáže go na śmierć w najgorszej z możliwych odston.

Przynoszę z łazienki miskę z wodą i toaletowe akcesoria. Usuвам owłosienie z podbrzusza oraz kończyn Westona, a następnie przewracam go na bok. Wykonuję lewatywę. Podczas Naprawy higiena pacjenta będzie utrudniona, dlatego zawczasu dbam o czystość jego jelit. Następnie zakładam mu cewnik, a pod pośladki wsuwam chłonną, łatwą do wymiany tkaninę. Na piersiach mocuję elektrody od przenośnego kardiomonitora używanego w ambulansach, zaś w przedramionach wenflony. Resztę procedur przeprowadzę przy świadomości pacjenta. Możliwe, że z powodu szoku utraci ją raz czy dwa. Adrenalina w zastrzyku rozrusza serce w razie zastoju, choć pod ręką mam też paralizator.

Naprawa nie może być - i nie będzie - pasmem nieustannej kaźni dla Westona. Terapia dotyczy umysłu. Ciało posłuży mi wyłącznie za jedno z narzędzi wpływu. Percepcja cierpienia jest zmienna i zawsze zależy od kontekstu.

Głaskam ramę okalającą łóżko. Jest chłodna w dotyku, ale niebawem Darren rozgrzeje ją ciepłem własnego ciała. Przenoszę wzrok na kwiatek-spinacz. Z uśmiechem wprawiam jego główkę w ruch. Zabiorę Westona w ciekawą podróż. Znowu stanie się tym, kim był lata temu. Bezpieczeństwo i ocalenie własnej skóry miało dla niego wartość każdej, nawet mało rozsądnej ceny. Zobaczymy, jak zachowa się teraz.

Zatapiam igłę w jego przedramieniu. Pacjent odzyskuje świadomość o godzinie dwudziestej drugiej dwadzieścia trzy.

Podnoszę oparcie łóżka i podtrzymuję Darrenowi głowę. Mężczyzna gwałtownie wymiotuje treścią żołądka. Skutki narkozy oraz upicia, mimo podanej kroplówki, są ostre i wysoce nieprzyjemne. Cierpliwie trzymam nerkę medyczną pod jego brodą do czasu, aż skurcze ustąpią.

Ocieram mu twarz ręcznikiem. Darren mruga, zadziwiony brakiem swobody ruchu. Patrzy na mnie, potem na unieruchomione pasami ciało. Poza uciskiem więzów nie powinien czuć większego dyskomfortu.

Stoję przed nim ze skrzyżowanymi rękami, w uniformie chirurga, czarnych rękawiczkach i odwiązaną maską swobodnie zwisającą na piersiach. Na mojej bladej, gładko ogolonej twarzy pacjent nie dostrzeże zawziętości ani pobudzenia.

Zerkam na aparaturę monitorującą pracę serca. Tętno Westona znacznie wzrasta.

Unoszę palec wskazujący i przykładam go do ust. Gest przyciąga uwagę Darrena. Zaszokowany, nic nie mówi, ale jego myśli pewnie rozbiegają się, jak róża wiatrów, we wszystkich kierunkach. Wybuchają w nim pytania o stan ciała, pasy i otoczenie, o przyczyny uwięzienia - i o mnie. Ekspłodują dziesiątki możliwych wytłumaczeń, ale ostatecznie wszystkie wypiera czarna, obezwładniająca niepewność.

Pomagam Darrenowi się skupić. Posłusznie podąża wzrokiem za kolejnymi punktami, jakie wskazuję na jego ciele. Dotykam dłoni i przedramion, aby zauważył kroplówki z lekami oraz środkiem do żywienia pozaustrojowego.

Po ramionach mężczyzny przepływa silny dreszcz. Rozpoznaje skład preparatu.

Wskazuję na czujniki na klatce piersiowej. Obaj spoglądamy na monitor umieszczony po prawej stronie łóżka. Wartości wskaźników stale rosną.

Unoszę prześcieradło, odsłaniając dolną część ciała weterynarza. Weston dostrzega rurkę wychodzącą z ujścia cewki moczowej.

Balon emocji, stale wzrastający w pacjencie, wreszcie pęka.

- Kurwa! - wrzeszczy i potrząsa kończynami w próbie uwolnienia się z więzów. Niebawem zatęskni za pasami, gdy unieruchomię go w inny sposób. - Co to ma być?! - wykrzykuje. - Co mi zrobiłeś?! Gdzie ja jestem?!

Odpowiadam milczeniem. Jako ostatni punkt wskazuję wygolony placek skóry na jego podbrzuszu. Jądra Darrena kurczą się, gdy na niego patrzy.

Kończę demonstrację, po czym zakrywam jego nagość. Bez słowa opuszczam chorego, gasząc światła. Pozostanie teraz w mroku przez



najbliższe trzy doby. Lęk przed ciemnością jest fobią wielu ludzi. Gdy wyłączone są bodźce wzrokowe, mózg często nadaje sprzeczne komunikaty. Wzmoczona praca reszty zmysłów może spowodować urojenia. Organ centralny za wszelką cenę musi utrzymać spójność rzeczywistości, nawet kosztem błędów w jej interpretacji. Gdy we wspomnieniach pojawiają się luki, sam wytwarza brakujące elementy.

Wzorzec percepcji świata dla każdego jest inny. Prawdę może stać się dosłownie wszystko. To, czego doświadczyliśmy. To, co nam wpojono. To, o czym pamiętamy. Wreszcie to, w co wierzymy.

Nie mam pewności, czy umysł Darrena aktywuje najgorsze ze wspomnień. Pamięć jest nieliniarna i często ulega zapętleniu. Równie dobrze może głowić się nad przyszłością. Medyczny sprzęt i siłowe wtłoczenie go w rolę pacjenta nie rokują pomyślnie. Niebawem odsłonię przed nim pierwszą z kart.

Z talerzem wypełnionym plastrami tuńczyka rozsiadam się na twardym, ręcznie wyciosanym krześle. Przysuwam je pod kominek; grzeję ciało przy obramowanym ceglami palenisku, obserwując przekaz z kamer Laboratorium Naprawy.

Darren, choć nie widzi otoczenia, usiłuje nawiązać ze mną kontakt. Leżenie w ciszy jest udręką - z powodu myśli, jakie szturmują obiekt. Z ruchów jego warg odczytuję treść pytania, które zadaje, wciąż jedno i to samo, jak widać, kluczowe dla pacjenta:

- Kim jesteś?! Kim jesteś?! Kim jesteś?!

Będę tym, kim zechcesz, abym się stał - odpowiadam mu w myślach. To, kim dla ciebie się stanę, będzie zależeć wyłącznie od twojego nastawienia, Darrenie.

## 6

Sprawdzam zawartość jego portfela. Znajduję pięćdziesiąt trzy dolary i osiem centów, prawo jazdy, dowód osobisty oraz licencję weterynarza. Lewa kieszeń skrywa prezerwatywę, prawa zmięty paragon. Na ostatnich zakupach pacjent zaopatrzył się wyłącznie w alkohol.

Odkładam portfel na stół, zaciągam brunatne zasłony w salonie i kładę się spać. Aktywuję przedtem czujniki ruchu przed drzwiami. Umieściłem je też przy wyjściu z piwnicy na wypadek, gdyby pacjent jednak zdołał się uwolnić. Biorę pod uwagę nawet nieprawdopodobne scenariusze. Nie lubię być zaskakiwany przez życie. W zasięgu ręki leży nabita strzelba; pod poduszką trzymam rewolwer oraz skalpel, z zawodowego przyzwyczajenia. To naturalne przedłużenie dłoni: jest bezszelestny, szybki i w bliskim kontakcie z napastnikiem skuteczniejszy od spluwy - pod warunkiem, że użytkuje go ktoś taki jak ja.

Ugniatam raz jedną, raz drugą stronę niewygodnego posłania. Sen nie chce nadejść. Dochodzę do wniosku, że wykorzystam ten czas na obchód po Bibliotece Umysłu.

Bez trudu znajduję w niej interesujące mnie woluminy z pożółkłymi wspomnieniami o kotkach. Tuż obok nich stoi obraz Goi: Saturn pożerający swoje dzieci. Widzę go zawsze, gdy wracam do czasów dzieciństwa i kiedy wyobrażam sobie tę burą, ciężarną kocicę.

Ile poświęcisz, aby stać się tym, kim chcesz być? Do czego się posuniesz, aby zaspokoić to pragnienie?

Pytam o to sam siebie, gdy jako dziesięciolatek wracam ze szkoły i zauważam opasłą, przegowaną kotkę leżącą w krzakach przy domu. Jest w

ostatniej fazie ciąży. W jej brzuchu ruszają się gotowe do przyjścia na świat maluchy, jednak z jakichś powodów matka nie może urodzić.

Odkąd pamiętam, chciałem zostać chirurgiem. Teraz nadarza się okazja do operacyjnego debiutu. Zabieram kotkę do garażu i umieszczam ją w kartonie. Broniący się zwierzak drapie mi ręce do krwi, ale nie zwracam na to uwagi. Ojciec nadal pracuje, a matka jest na plotkach u sąsiadki, więc mogę bez przeszkód przeprowadzić zabieg. Zabezpieczam karton i biegnę po akcesoria. Podkradam kuchenny nóż, a z gabinetu zgarniam ojcowską zapalniczkę - pamiętam o antyseptyce. Tak zaopatrzony wracam do garażu.

Po nałożeniu gumowych rękawic wydaję pacjentkę z jej pośłania. Kotka jest w fatalnym stanie. Nie broni się, tylko popiskuje. Ruchy miotu są niewyczuwalne. Muszę się śpieszyć, inaczej stracę je wszystkie.

Dla kocicy ta cesarka to zabieg w jedną stronę. Nie jestem w stanie uratować zwierzaka. Coś za coś. Dokonuję jednego z moich pierwszych doniosłych wyborów.

Lewą ręką przytrzymuję kotkę, prawą nacinam jej brzuch. Czuję ekscytację, kiedy zanurzam ręce w jamie cieplej, śliskiej macicy i wydaję z niej kociaki, drżące, z sierścią pozlepianą od wód płodowych.

Cała piątka oddycha. Przenoszę ślepe maleństwa do kartonu wyściełanego szmatami. Okrywam je ciepło i znów biegnę do domu, po mleko oraz strzykawkę do karmienia. Nie bez wysiłku udaje mi się je napoić. Przyniosę śpiwór i będę przy nich czuwać w garażu, karmiąc je co dwie, trzy godziny. Ich matkę zakopałem w ogrodzie, licząc na to, że ciało z czasem użyźni glebę.

Naturalnie chcę powiedzieć rodzicom o moich pierwszych pacjentach. Podczas kolacji informuję bliskich o lokatorach w garażu. Przyjmują to bez widocznego aplauzu.

W nocy, z latarką pod pachą, sumiennie doglądam kociaków. Są w dobrej formie.

Podczas zajęć szkolnych jestem rozkojarzony. Myślami błędzę przy kotach. Jak każdy dzieciak, nadaję im imiona: Elliott, Scott, Michael, Samuel i Lucy. Nie mogę się doczekać, kiedy znów zobaczę je żywe i zdrowe. Wszystkie, co do jednego. Oddam je do schroniska albo popytam sąsiadów, czy zechcą ofiarować maluchom nowy dom. Jednego kotka zatrzymam dla siebie, jeżeli mama z tatą pozwolą. Mam taką nadzieję: dziecięcą i szczerą. Nadzieję, która pryska, gdy po powrocie zastaję ojca opierającego się o łopatę. Przez chwilę łudzę się, że chodzi o kocicę; że w pośpiechu zakopałem truchło zbyt płytko.

Ojciec nie krzyczy na mnie, tylko kręci głową we wzgardliwym milczeniu. Z bijącym sercem biegnę w kierunku garażu. Ojciec dogania mnie i brutalnie chwyta za ramiona. Unieruchomiony, dostrzegam matkę wynoszącą z niego ciała kociaków. Nie umarły z wychłodzenia czy głodu. Skręcono im karki. Do dziś nie wiem, kto je zabił: ojciec czy matka.

Oboje coś wrzeszczą pod moim adresem. Twarz matki przesłania żółta maska obrzydzenia; oblicze ojca - czerwona, ze znamionami gniewu. Ich ciała wykonują dziki, niezrozumiały dla mnie taniec.

Nie płaczę na widok uśmierconych pacjentów. Nie czuję złości wobec rodziców. Nie odczuwam także strachu, jakby mój suwak na wskaźniku emocji przymarzył do poziomu zero. Wypełnia mnie spokój, zimny i czysty niczym bryła arktycznego lodowca. Zmysły wyostają się. Umysł pracuje klarownie i z precyzją. Wypełnia się przyjemnym chłodem.

Osobieście zakopuję kocięta na łące pod lasem, na tyle głęboko, żeby ich truchel nie znalazły i nie rozwlekły drapieżniki.

Moje wspomnienia nie dzielą się na dobre i złe. Segreguję je wedle ich wartości.

Z wizyty w Bibliotece wygania mnie silne pragnienie. Szklanka wody to stanowczo za mało. Wypijam kolejną. Nakładam buty, wsuwam rewolwer za pasek i schodzę do pacjenta. W ciemnościach nasłuchuję, jak nierówno

oddycha przez sen. Opuszczam piwnicę, wracam do salonu i ponownie zalegam na kanapie.

Tak naprawdę to mam ochotę na seks. To pragnienie cholernie ciężko zignorować. Kontroluję popęd, ale teraz muszę znaleźć dla niego bezpieczne ujście.

Wychodzę na zewnątrz azylu. Mróz atakuje mnie tysiącem zmrożonych igieł. Odmienne od poprzedniej, ta noc jest gwiazdzista i lodowata - kilkanaście stopni na minusie. Obchodzę bungalow dokoła.

Pod częścią ogrodzenia, które wychodzi bezpośrednio na las, znajduję porażone prądem sarniátko, kilkutygodniowe, o długich, kruchych nogach.

Sprawdzam oznaki życiowe. Żyje, zostało tylko ogłuszone. Ostrożnie biorę je na ręce i układam pod drzewem, kilkanaście metrów od zapory. Podryguje, za chwilę się przebudzi. Zostawię młode w spokoju. Odnajdzie je matka, o ile wcześniej nie padnie łupem watahy.

Zabieram się za odśnieżanie drogi dojazdowej oraz auta. Wysięk rozgrzewa, ale to zdradliwe uczucie. Przetrzymuję falę gorąca: nie ściągam czapki ani nawet rękawic. Na chwilę odpalam wóz, dla utrzymania sprawności silnika, i sprawdzam stan drugiej strzelby, ukrytej pod siedzeniem. Potem wreszcie kładę się spać. Zasypiam, wspominając kobiety, z którymi byłem. Moje łóżko nigdy długo nie stoi puste.

Budzę się rześki i gotowy do właściwego rozpoczęcia pracy nad chorym. Przejdzie przez etap negacji, skarg i okazywanego na różne sposoby sprzeciwu wobec terapii. Na razie nie zechce mnie słuchać. Jak większość ludzi z defektami umysłu, będzie zapiekłe trwał w uporze, dopóki go nie złamię.

# 7

Obserwator

Włączam oświetlenie Laboratorium. Darren zastyga. Gorliwie skupiał się na uwalnianiu prawej ręki. Skóra w miejscach styku z pasami jest opuchnięta i otarta do krwi. Szarpał się tak mocno, że przemieścił wenflon. Poprawiam mocowanie kroplówki.

- Uwolnij mnie, pierdolony pojebie! - wrzeszczy obiekt. - Zabiłeś kota! I co teraz, zadręczysz mnie?! Tak po prostu, ty chory popaprańcu?! - Darren spluwa mi na rękę skrytą w rękawiczce. Nie podlegam takiemu prymitywizmowi jak złość. Wycieram dłoń, ignorując zajście.

Staję przy szafce z telewizorem i umieszczonym na nim kwiatku-spinaczu. Wprawiam w ruch główkę zabawki umocowaną na sprężynie.

OBSERWATOR.

Pierwszy komunikat naprawczy jest czytelny i prosty.

Obiekt wywraca oczami, patrząc na kwiatek. Nie pojmuje znaczenia tego słowa. Za kilka chwil je poczuje. Brak podporządkowania się niczego w tej sytuacji nie zmieni.

OBSERWATOR.

Unieruchamiam mu głowę ortopedycznym kołnierzem i wtykam w nozdrza rurkę z tlenem. Knebluję usta miękką, ale wytrzymałą kulką, by nie odgryzł sobie języka i nie połamał zębów podczas dalszych zabiegów. Rozchyłam mu powieki i unieruchamiam je za pomocą rozwieracza. Na koniec zakraplam oczy, żeby się nie zatarły, dopóki nie zwilżą ich łzy.

- Czas, abyś stał się Obserwatorem, Darrenie. - Po raz pierwszy od czasu uwięzienia mężczyzny zabieram głos. Tętno pacjenta zwyczajnie na ten od

dawna wyczekiwany dźwięk. Wszelkie obawy czy nadzieje, jakie z nim wiązał, potwierdzają się lub zostają odrzucone. - Widzem swojego życia. Świadkiem Doskonałym. Takim, jakim byłeś w przeszłości.

Pacjent próbuje przegryźć knebel.

- Nie radzę. Skup się na oddechu. Koncentracja na nim pomoże ci utrzymać świadomość. - Stłumiony bulgot oznacza niezgodę. - Owszem, będziesz wolał ją stracić. - Ocieram mu skronie. - Ocucę cię.

Odkładam ręcznik na szafkę i zabieram z niej paralizator. Błękitne iskry przeskakują nad zmieniającym kolory obliczem weterynarza. Darren na przemian czerwienieje, blednie i sinieje, zależnie od natężenia emocji.

- Musisz przez to przejść, żeby pojąć, kim naprawdę jesteś. Nikt nigdy nie próbował cię odpowiednio leczyć. Pokój bez klamek, elektrowstrząsy, prochy. Cały ten paskudny szpital...

Weterynarz zatrzymuje oddech. Moja wiedza na jego temat zaczyna go przerażać.

- Nie tędy droga. - Kręcę głową. - Pokażę ci właściwą. - Uśmiecham się do niego nieznacznie, z odcieniem troski o dobro pacjenta. - Zaczynamy, doktorze Weston. - Zawijam troczki od maski, spoglądając na wypełniony do połowy worek z jego moczem. W trakcie zabiegów pacjent nie utrzymałby kontroli nad pęcherzem.

Podchodzę do stanowiska z narzędziami. Przysuwam stół w pobliże ręki Darrena. Nie dostrzeże instrumentów. Pokażę mu tylko niektóre, w swoim czasie - dla zwiększenia psychologicznego nacisku.

Smaruję kończynę obiektu jodyną. Rozgrzana skóra prędko cierpnie.

Uśmiecham się, gładząc chirurgiczną wiertarkę.

- Twoje ego się rozpadnie. Nie będziesz miał wpływu na żaden aspekt życia. Staniesz się Obserwatorem Perfekcyjnym. - Spoglądam na Darrena przez ramię. - Utrzymam cię w tym stanie do czasu, aż zaczniesz mnie słuchać. Potem przyjdzie moment wyjaśnień.

Darren wbija wzrok w sufit. Pewnie liczy, że ujawnię jakąś słabość. Łudzi się, że puszcza mi nerwy albo zwyczajnie coś mi się nie powiedzie. Strategia oporu może zadziałałaby w grupie, ale pacjent jest sam. Jedyłą osobą, do jakiej może się zwrócić - i od której wszystko zależy - jestem ja. Zawężam jego świat do tej piwnicy, zabiegowego łóżka i mojej osoby. Prędeż czy później zacznie współpracować. Jak każdy, odczuje potrzebę oswojenia rzeczywistości, w której się znajduje. Teraz dozna każdym nerwem, każdym cholernym receptorem bólu bezmierności cierpienia i mojej obojętności na nie. Postąpię dokładnie tak, jak on w swojej nędznej przeszłości.

Darren był bierny wobec krzywdy małych dziewczynek. Nieczuły na ich płacz; latami obserwował koszmar rozgrywany pod własnym dachem. Dokonywał wyboru braku reakcji wobec zła, wyłącznie po to, aby chronić siebie, a w konsekwencji także oprawcę.

Podobno nie kala się własnego gniazda, nawet uwitego ze śmieci. Uważam, że felerne gniazdo należy spalić, co do gałązki.

Dezynfekuję ramę okalającą łóżko pacjenta. Mocuję do niej stabilizator zewnętrzny, do którego przytwierdzę śrubami ortopedycznymi kończyny Darrena. Obserwator Idealny nie będzie w stanie się poruszyć. Pasy zapewniają kilkumilimetrowy zakres swobody. Odbiorę mu ten przywilej.

Darren manewruje oczami, by dojrzeć moje zabiegi. Zobaczy tyle, na ile mu pozwolę. Poczuję za to wszystko.

Nakładam gogle dla ochrony oczu przed możliwymi odpryskami kości. Odwracam się do Darrena z napędem ortopedycznym trzymany w dłoniach. Podnoszę instrument wysoko - niech obejmie go wzrokiem.

Ten sprzęt posiada wiele przydatnych funkcji. Za jego pomocą można przy niewielkim rozcięciu tkanek piłować czy nawet przecinać kości. Można też je przewiercać, za co właśnie się zabieram.

Odliczam sekundy między okazaniem Westonowi narzędzia i rozpoczęciem procedury. Daję mu czas, żeby przygotował się na ból.



W mózgu obiektu zaczyna wyc alarm. Układ nerwowy zalewa hormon stresu. Poziom adrenaliny wzrasta. Najważniejsze organy, w tym wątroba i serce, otrzymują zwiększony dopływ krwi. Nozdrza Darrena rozdymają się jak u byka. Dostrzegam w nich liczne włoski.

Cztery kończyny. Osiem śrub. Między każdą implantacją zachowam odstęp, aby szok stosownie wybrzmiał.

Zerkam na siłowo rozwarłe powieki Darrena. Jest pozbawiony odruchu ich zamykania w reakcji na ból. Świat Naprawy, w którym tkwi, będzie trwał niewzruszenie. Obiekt nie wymaże go sprzed oczu. Nie uwolni się od pełnego, zmysłowego doświadczenia terapii. Przymykał oczy na cierpienie najmłodszych, więc zmuszę go do patrzenia na własne. W kolejnym etapie terapii zamocuję lustro, aby w detalach obserwował, jak traktuję jego ciało.

Dziewczynki także płakały, wrywały się, wzywały rodziców. Niczego nie zrobił, by im pomóc. Niczego. Dziś także niczego nie uczyni. Dziś znów jest Obserwatorem.

Wiertło z lekkością przebija skórę i mięśnie, i pulsacyjnym rytmem wżyna się w kość. W powietrze wznosi się biała mgiełka i intensywny zapach rozwiercanej tkanki. Darren ucieka oczami w tył głowy. Dociera do kresu odporności. Otrzeźwiam go lekami i bezzwłocznie ponawiam zabieg. Cucię pacjenta jeszcze czterokrotnie.

Przyglądam się wnikliwie wiertarce. Zielona obudowa jest zbryzgana krwią. Końcówkę wiertła oblepiają resztki miękkich tkanek. Po wyczyszczeniu okrywam sprzęt pokrowcem i umieszczam go w walizce. Chirurgiczne narzędzia nie należą do tanich.

Nadchodzi czas na odpoczynek, jaki przewidziałem dla pacjenta na tym etapie. Oczywiście nie robię niczego za darmo. Facet musi na niego zasłużyć, nawiązując ze mną konkretną współpracę.

Wypisuję dla niego na kartce niewielką łamigłówkę. Nie powinien mieć trudności z rozwiązaniem. Staję przy głowie pacjenta i wznoszę arkusz na wysokość jego oczu; trzymam go w tej pozycji pół minuty. Obiekt może

teraz kojarzyć fakty z opóźnieniem. Oblany potem, oddycha głęboko i silnie łzawi. Z pewnością nienawidzi myśli, jakie go nachodzą.

- Spójrz w dół, jeżeli rozumiesz treść - mówię spokojnie.

Gałki oczne Westona ani drgną.

- Popatrz w dół, jeżeli wiesz, co tu napisałem - powtarzam. Wciąż nic. - Jeżeli nie, skieruj wzrok w górę.

Brak reakcji. Czyżbym wymagał od niego zbyt wiele? Może chce mi okazać pogardę? Od lat żywi ją dla wszystkich istot ludzkich.

Chowam arkusik do kieszeni i niespiesznie wracam po ostatnio używany instrument. Instaluję w nim wyjątkowo długą i cienką końcówkę. Nawiercanie nią odpowiednich otworów w kościach zajęłoby kilka godzin.

Celuję wiertłem w źrenicę pacjenta. Wizg narzędzia zlewa się z natarczywym pikaniem kardiomonitora. Tętno Darrena przekracza dwusetkę. Tak myślałem. Powtórzę zasady współpracy jeszcze raz. Każdemu należy dać szansę na poprawę.

- Musisz dokonać wyboru. - Wyjmuję mu z nosa rurkę z tlenem. - Zakomunikujesz, czy rozumiesz hasło z kartki. Brak współdziałania narazi cię na kontynuację zabiegu przy zachowaniu świadomości. Zostało nam sześć śrub. Zastanów się. - Unoszę brwi. - Niebawem w pełni zrozumiesz, dlaczego tu się znalazłeś i z jakiego powodu robię to, co robię, z twoim ciałem. Obiecuję.

Pokazuję mu arkusz jeszcze raz. Weston przewraca oczami. Szuka słowa-klucza zapisanego w pamięci długotrwałej.

- I jak? Wiesz, co to jest? - Przedzieram kartkę na pół. Zapisałem na niej wzór sumaryczny jednego z anestetyków używanych przy podtrzymywaniu znieczulenia ogólnego. Darren musi posiadać wiedzę na temat rodzajów anestezji.

Czekam cierpliwie na odpowiedź. Darren niemrawo kieruje spojrzenie ku dołowi. Może kłamać, że rozpoznaje wzorzec chemiczny specyfiku. Zaraz to sprawdzę.

- Krzyki niczego nie zmieniają. - Wskazuję na jedną z rurek doprowadzonych do jego przedramienia. - Wrzaśnij, a sprawię, że każdy mięsień w twoim ciele, łącznie z sercem, dozna skurczy. - Wyjmuję mu knebel. - Twoja odpowiedź?

Widzę, że Darren zastanawia się, czy nie zacząć krzyczeć. Patrzy na mnie, trawiając moje słowa, i rozsądnie porzuca ten pomysł.

- Sufentanyl - chrypi. - Analog fentanylu.

- Bardzo dobrze. - Nakładam mu aparat tlenowy. - Wybacz, na razie nie utrzymasz prawa głosu. - Uwalniam jego powieki z rozwarcia.

- Sufentanyl. Wiesz, co to oznacza. Kiedy się ockniesz, opowiesz, jakich środków używałeś przy usypianiu nieletnich ofiar - cedzę słowa. - Wraz z twoim ojcem, Simonem.

Darren zamyka oczy. Aż do czasu wymuszonej lekami utraty świadomości nie śmie ich otworzyć. Przez jego twarz przebiegają skurcze nieprzebranej rozpacz, która usiłuje wydrzeć się na zewnątrz.

- Chcę ci pomóc rozprawić się ze złem, które tak naprawdę nigdy nie minęło. - Podaję mu lek. - Miłych snów, Obserwatorze. Porozmawiamy niebawem.

Intubuję pacjenta, potem instaluję pozostałe mocowania w jego kończynach. Zabezpieczam je przed infekcjami; wymieniam kroplówki, zbiornik cewnika i uzupełniam podawaną dożylnie mieszankę węglowodanów oraz białka. Na samym końcu przemywam ciało. Nie zapominam nawet o paznokciach i włosach. Głowę dociskam do oparcia łóżka przeznaczonym do tego celu szerokim, miękko obszytym pasem.

Przyglądam się Obserwatorowi Doskonałemu.

Ciekawi mnie, z czego ten przymusowy świadek mógłby zrezygnować w życiu. Sądzę, że w trakcie terapii jego odpowiedź kilkukrotnie może ulec zmianie.

## 8

### Zwierzę

Darren odkąd pamięta żyje w skrzywionym, amoralnym świecie, którego niepodzielnym władcą jest Simon Weston - nieznoszący sprzeciwu i okrutny, wymuszający na jedynym poddanym prawowierność. Darren nadał temu władcy przydomek „Zwierzę”.

Nigdy nie rozmawiają z Simonem o tym, co rozgrywa się pod ich dachem. To po prostu się dzieje. Jak po nocy przychodzi dzień, po burzy tęcza, a po zimie - wiosna, tak Zwierzę poluje na ofiary, zgodnie z naturą drapieżnika - raz na dwa, trzy miesiące.

Teraz, gdy Darren kończy trzynaście lat, coraz silniej odczuwa zachodzącą w sobie zmianę w nastawieniu wobec ojca. Boi się jej i jednocześnie pożąda. Tej transformacji nic nie zatrzyma, poza nim samym, ale chłopiec już wcale nie pragnie jej zapobiec. Jego myśli coraz częściej są czerwone i lepkie, gotowe do przejścia nad nim kontroli. Szarpią się jak rozbudzone piranie, które zwęszyły pierwsze krople krwi. Przysięgłby, że widzi pod ich wpływem czerwone rozbłyski, które drażniąco eksplodują mu przed oczami. Musi mrugnąć kilkakrotnie, by zniknęły.

Nieustannie rozmyśla o Zwierzęciu i o scenariuszu, który pod wpływem tych myśli mógłby rozegrać się w ich domu.

Dziś Darren po raz pierwszy decyduje się pomóc nieletniej ofierze Simona. Wie, że powinien działać szybko. Musi wyprowadzić dziewczynkę, dopóki Zwierzę wciąż śpi. Mała nadal będzie skołowana po lekach, więc istnieje szansa, że nie wyniesie stąd nic prócz udużwionych obrazów i z czasem zaklasyfikuje spotkanie Darrena oraz Zwierzęcia jako senny

koszmar, złą baśń albo zasłyszana od kogoś historię z koślawym, ale pomyslnym zakończeniem. Coś każe mu ratować tę dziewczynkę. To nienazwane uczucie penetruje jego mózg niczym wkłuwana igła.

Darren nigdy nie stosuje przemocy wobec ofiar. Stępią ich opór lekami, które przed każdą akcją Zwierzę skrupulatnie mu wydziela. Zniewala prochami nieletnie samiczki gatunku homo sapiens, z którymi potem Zwierzę się zabawia.

Z tą małą do niczego jeszcze nie doszło. Simon podał jej dawkę specyfików mocniejszych niż zwykle. Pewnie zabierze się za przyjemności, gdy wypocznie po pracy.

Polowanie na obiekt do zabaw wymaga planów, transportu i - co najważniejsze - medykamentów. Przedsięwzięcie musi być zgrane czasowo. Zwierzę mieści się ze wszystkim w kilku kluczowych godzinach. Po zakończonej zabawie na powrót usypia ofiary i ledwie świadome uwalnia w dogodnym miejscu, zanim ktoś zgłosi ich zaginięcie. Zawsze wybiera dziewczynki z rodzin patologicznych, mieszkających w slumsach albo przyczepach kempingowych.

Mimo zabezpieczeń ze strony Zwierzęcia coś zawsze może pójść nie tak. Dziewczynki przecież widnieją w statystykach. Są oznaczone numerkiem. Istnieją. Mają rodzeństwo, przyjaciół, sąsiadów.

Do tej pory zawsze udaje się zatrzeć trop. Policja nigdy nie dociera do Zwierzęcia, które zabawia się z dziewczynkami. W znacznym stopniu jest to możliwe za sprawą Darrena. Chłopak dokonuje takich, a nie innych wyborów, aby chronić siebie i swoją przyszłość.

Simon wnosi nieprzytomną dziewczynkę do pokoju, układa ją pod ścianą i zostawia pod opieką syna. W pomieszczeniu nie ma sprzętów, które mogłyby posłużyć jej do obrony, poza tym Zwierzę lubi bawić się zgodnie z własną naturą - na twardym podłożu, bez wygod.

Ono zawsze dopasowuje się do ofiar. Jest spokojne, a gdy trzeba - miłe i delikatne, perfekcyjnie panujące nad językiem ciała i głosem. Podczas zabaw

nakłada maskę, za każdym razem inną: klauna, wilka, Spider-Mana. Nakłada ją, nim dziewczynka ocknie się po porwaniu i zdejmuje, gdy ofiara ponownie usypia.

Zwierzę łamie dziewczynki słowami. Szepcze do nich straszne rzeczy: o rodzicach, domu, o nich samych. Wmawia im, że są złe. Ofiary wierzą Zwierzęciu i dlatego jest ono w stanie bez trudu niszczyć ich kruchą, wciąż nieukształtowaną psychikę.

Darren także wierzy Simonowi, choć ma rozeznanie odgórnego dobra i zła. Nie zabijaj, nie kradnij. Ale każda moralność jest plastyczna. A ręce, które ją lepia, rzadko kiedy bywają czyste.

Chłopak zostaje sam z pogrążoną we śnie kilkulatką. Robi to, co zawsze - przygląda się jej z napiętymi mięśniami i zgiętym kręgosłupem.

Podczas asyst przy zabawach Zwierzęcia Darren nieodmiennie nosi czarną bejsbolówkę z nałożonym na nią obszernym kapturem. Z perspektywy dziewczynek widać tylko jego brodę, usta i koniuszek nosa. Na nieosłoniętej części twarzy nie ma znamion ani pieprzyków. Jego cera jest gładka. Włosów też nie da się zauważyć. Darren jest anonimem, wyzbytym indywidualności, nieczułym na krzyki, zobojeźniałym na płacz. Doskonale widzi, co Zwierzę robi dziewczynkom. Dostrzega jego żądzę, ale sam niczego nie czuje. Jego odczuwanie jest wyłączane, jak u snajpera, który twierdzi, że nie unicestwia żywej istoty, lecz tylko likwiduje wyznaczony cel.

Chłopak ostrożnie kuca przy ofierze. W lewej kieszeni bluzy ukrywa pojemnik z pigułkami, w prawej szmatę i butelkę z usypiaczem. W dłoni ściska batonik. Spróbuje poczęstować nim małą, gdy ta się przebudzi, choć doświadczenie podpowiada mu, że jej usta otworzą się raczej do płaczu niż do smakowania łakoci.

Dziewczynka unosi powieki i rozgląda sennie po ścianach. Czerwone kwiaty z tapety tłoczą się na tle wścieklej żółci.

Darren nie znosi tego wzoru. Jest wstrętny i nie przynosi ukojenia wzrokowi, ale pasuje jako oprawa dla zabaw Zwierzęcia, w które wpisana

jest Pieśń Godowa. Zwierzę nuci ją, gdy upoluje ofiarę. Podśpiewuje ją przed samą zabawą oraz po jej zakończeniu. Jego pysk wypływa dźwięki z obleśną satysfakcją. Darren nie potrafi odtworzyć tej melodii, chociaż wie, że przez lata ewoluowała. Kiedyś zdawało mu się, że Zwierzę nuci ją w takt kolędy Cicha noc. Obecnie sądzi, że bliżej jej do utworów Franka Sinatry, choć może za parę miesięcy zmieni na ten temat zdanie.

*Tra-la-la,  
Dziewczynka mała,  
Dziewczynka słodka,  
Calutka moja!*

Darren oszukuje sam siebie. Pieśń Godowa Zwierzęcia brzmi zupełnie inaczej:

*Szarpie się z płaczem ludzka dzidzia mała,  
Bo w łapy sprytnego Zwierzęcia się dostała.  
Jesteś daleko od domu i swojej rodziny,  
Zaraz się razem miło zabawimy!  
Bądź bardzo grzeczna, nie próbuj uciekać,  
Bo Zwierzę się wścieknie, wtedy krzywda cię czeka!  
Bądź cicho, mała, bądź bardzo cichutko,  
Kiedy zaśniesz, zapomnisz o wszystkim szybciotko!*

I to wcale nie Zwierzę jest jej autorem.

W mdłym świetle lampy blond włosy dziewczynki połyskują na rdzawo. Mała jest drobna, może nawet zabiedzona, w podartej spódniczce w kwiatki i niebieskim sweterku, z którego dawno wyrosła. Nie płacze, nie protestuje. Siedzi nieruchomo, z kciukiem wsuniętym w usta. W jej oczach nie ma strachu, iskrzy się w nich coś, czego Darren nie umie określić.

Przygląda się jej z niepokojem. Czy ona wie, co ją spotka? Czy kiedyś już tego doświadczyła? Czy rozumie?

Nie, to tylko światło drga w matowych tęczęwkach dziewczynki. Mała nie spodziewa się dramatu kolejnych chwil.

Darren oddycha z ulgą. Spróbuje pozyskać ją dobrocią, jak wszystkie ofiary Zwierzęcia. Przysuwa się na kuckach i podaje jej batonika. Uśmiecha się miło. A przynajmniej stara się tak wyglądać.

Dziewczynka bierze łąkoć z jego dłoni. Mocno ściska batonik w piątce. Pod wpływem ciepła czekolada zaczyna się topić. Mała patrzy na chłopca, nadal ssąc palec.

Darren wkłada ręce w kieszenie i nerwowo obraca w dłoniach ich zawartość.

Nie może oderwać wzroku od małej. Dziewczynka ma niebieskie oczy - duże i zapadnięte w czaszkę, jak jego własne. Przygląda się mu ze spokojem, bez słów. Darren przysięgłby, że w miejsce tej ciszy wolałby usłyszeć płacz. Milczenie potrafi przerażać bardziej niż krzyk.

Tępy ból przechodzi przez kręgosłup do głowy chłopca. Czerwone kwiaty z tapety wypełzają ze ścian niczym glisty. Pachną krwią. Tej woni nie da się z niczym pomylić. Odór wywołuje kłucie w jego podbrzuszu.

Mała wciąż utrzymuje z Darrenem wzrokowy kontakt. Sytuacja nie robi na niej wrażenia - przynajmniej tak mu się wydaje. W tej chwili nie ufa własnym zmysłom. Jego skarpetki są wilgotne od potu, podobnie jak skóra między wargą a nosem. Drżącą ręką dotyka ust. Nie zniesie tego dłużej! Już nie. Zaczyna krzyczeć, ale dziewczynka nie reaguje na jego głos.

Ona go nie słyszy!

Darren dotyka czapki, nasuwając ją niemal na nos. Dopada dziewczynkę i chwytą ją za rękę. Mała prostuje się niepewnie. Jej palce są sztywne, a kroki nieporadne. Chłopak ciągnie ją przez tylne drzwi na zewnątrz domu, przez trawnik i furtkę w parkanie. Wypycha ofiarę na ulicę. Mimiką i szalonymi gestami zachęca ją do ucieczki.

Dziewczynka odgaduje jego intencje. Zaczyna biec przed siebie, dziarsko przebijając nóżkami, a jej włosy łopoczą na wietrze. Darren nie ma pojęcia, jak daleko jest od swojego domu, ale liczy na to, że ktoś ofiarnie zgarnie ją z pobocza. I że ten ktoś nie zrobi małej krzywdy. Pomógł jej zbiec, bo była



milcząca obserwatorką, jak on. Chłopak wie, że taką pozostanie w przyszłości. Przez to odczuł z nią więź i postanowił ją uwolnić.

Zaciska dłonie na skroniach. Ciężki do zniesienia ból rozłupuje mu głowę w silnych, rytmicznych uderzeniach. Zdejmuje kaptur i zrzuca czapkę. Nerwowo przeczesuje palcami wilgotne włosy. Czas opowiedzieć Zwierzęciu o tym, kogo naprawdę spłodziło i wyhodowało pod własnym dachem.

Simon drzemie na obszernym fotelu w obitym drewnem, wypełnionym książkami gabinecie aptekarza. Jest wysoki i szczupły, z wąską twarzą o wysokim czole poprzecinanym siatką mimicznych zmarszczek, zapadniętych niebieskich oczach i zarośniętych policzkach, i z głębokim dołkiem na brodzie. Nie po raz pierwszy usnął przed zabawą. Ufa potomkowi, wszak Darren nie ma na świecie nikogo poza nim. Gdyby wystawił ojca, czekałby go rysztyk lub więzienie.

Ciało Simona drga niespokojnie. Mężczyznę dręczy sen. Darren staje nad nim w przyczajeniu. Myśli o kluczu do kół, którym pomagał ojcu przy aucie, o kolcu do lodu leżącym w kuchennej szufladzie, wreszcie o żyłce wędkarskiej i o trutce na szczury wyłożonej w piwnicy.

Głowa Simona opada na bok. Darren wstrzymuje oddech i oblizuje dziąsła oraz drobne, białe zęby. Spogląda na otwartą książkę leżącą na stoliku. Odczytuje akapit, z którego dowiaduje się, że orangutany to najbardziej brutalne z człekokształtnych, zaś połowa z nich doprowadza do kopulacji przy użyciu siły. Przemoc jest wpisana w kod genetyczny wszelkich stworzeń.

Głośny charkot zwiastuje przebudzenie się Simona. Mężczyzna kaszle i z wolna otwiera oczy.

Darren opiera się o mięsistą poręcz fotela.

- Jestem mordercą, tato - szepcze Zwierzęciu do ucha, z którego wyrastają ciemne włoski. - Jestem mordercą - powtarza niskim, syczącym głosem,

którego sam zdaje się nie rozpoznawać. - Zabiłem, aby cię chronić. Pamiętasz Ally Price?

Tragiczny incydent z kuzynką Darrena zerwał ostatnie rodzinne więzy, jakie jeszcze pozostały Westonom.

Darren miał dziesięć lat, jego ofiara - cztery. Była słodką, zielonooką dziewczynką, wprost idealną towarzyszką do zabaw dla Zwierzęcia. Przyjechała do wujka i kuzyna na wakacje.

Darren nie przydusił jej pluszową zabawką, nie zepchnął ze schodów. Był sprytny i działał subtelnie.

Nigdy nie został oskarżony o tę zbrodnię. Śmierć dziewczynki uszła za wypadek. Wszelkie podejrzenia wobec nieletniego Westona zostały oddalone. Te wcześniejsze, wobec Simona, zniszczył jego syn - wraz z życiem mogącej rozprzestrzenić je w świecie dorosłych kilkulatki.

Dramat rozegrał się trzeciego dnia pobytu Ally u Simona. Popołudnie było wściekle gorące, niebo aż bieląło w ukropie. W powietrzu unosił się ostry zapach traw.

Darren kosił trawnik w przydomowym ogrodzie, kiedy przez warkot kosiarki do jego uszu przebił się krótki krzyk. Uznał, że Zwierzę próbuje uśpić ofiarę, ale coś poszło nie tak.

Spłoszona Ally wybiegła z domu wprost w objęcia kuzyna. Darren najmilej jak potrafił objął trzęsącą się dziewczynkę. Jej oczy skrzyły się od łez.

Nie krzywdził dziewczynkę. Nigdy. Tym razem zrobił wyjątek.

Uśmiechnął się do Ally. Mała wprawdzie już nie szlochała, ale strach wciąż wykrzywiał jej usta. Darren tulił kuzynkę; czuł bicie jej serca, równie niespokojne i szybkie jak jego własne. Musiał to zrobić, po prostu musiał.

Bycie złym jest wygodne. Dobro wymaga poświęceń.

Wyjął z kieszeni garść drobnych, przypominających borówki fioletowoczarnych owoców. Były wciąż świeże, choć zerwał je o poranku. Postanowił, że będzie zbierał te owoce codziennie, przez cały pobyt

kuzynki, na wszelki wypadek. Chciał gorąco wierzyć, że nie będzie musiał ich użyć. Nie potrafił. Wiedział, że Zwierzę i tak nie zwalczy swojej potwornej natury.

- Poczęstuj się - poprosił Ally. - Uzbierałem je specjalnie dla ciebie. - Darren pogłaskał ją po głowie. Czarne loki kuzynki były miękkie i pachniały lawendą. - Są bardzo smaczne, naprawdę. Spróbuj.

- Nie chcę tego jeść. - Ally przyłożyła piąstkę do ust w geście samoobrony. Darren zagryzł wargi do krwi. Musiał zabezpieczyć swoją egzystencję! Swoją i Zwierzęcia. Mieli z ojcem tylko siebie.

- Przecież lubisz słodkie... Mnie chyba też, prawda? - podpuszczał ją. - To dlaczego sprawiasz mi przykrość? - Przesadnie wykrzywił twarz, wyginając brodę w podkowę, jakby miał się rozpłakać.

Ally wyciągnęła rączkę do kuzyna, nie mogąc patrzeć na ogarniający go smutek.

Udało się.

Atropina, silnie trująca substancja zawarta w wilczej jagodzie, której owocami Darren poczęstował Ally, po pewnym czasie powoduje blokadę mięśni gładkich w organizmie. Poraża układ nerwowy, wreszcie wprowadza zatrutą osobę w stan śpiączki, która - przy braku rozpoznania i udzielenia fachowej pomocy - kończy się śmiercią. Chłopak doskonale wiedział o właściwościach owoców. Spędzał wiele czasu w bibliotece ojca. Wyrósł z bajek. W zasadzie nigdy ich nie znał - prócz jednej, z wiecznie powtarzającym się koszmarnym zakończeniem, cholernie prawdziwej opowieści o Złym Zwierzęciu.

Darren kończy spowiedź bez poruszenia na twarzy.

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia, skurwysynu?! - Zwierzę naskakuje z pazurami na chłopaka. - Coś ty narobił!? Wypuścisz ją! Wypuścisz, ty gnojku! - Szarpie go, raz za razem uderzając syna w twarz. Domyśla się, co się wydarzyło, gdy spał. Prawda o zgonie małej Ally niewiele go obchodzi.

Doświadczenia, wspomnienia i podlegające nim emocje. Prawdą może stać się dosłownie wszystko.

Simon ubezwłasnowolnia syna i umieszcza go do osiągnięcia pełnoletniości w zakładzie zamkniętym. Psychiatrzy prędko diagnozują u pacjenta aspołeczną, niestabilną osobowość i - mimo młodego wieku - pełnoobjawową schizofrenię. W ramach terapii zalecają silne leki psychotropowe i elektrowstrząsy, podstawę leczenia w latach sześćdziesiątych. Nikt nie wierzy Darrenowi w historię ze Zwierzęciem. Nie wiadomo, czy ono samo zdaje sobie sprawę, że złe dzieciaki wyrastają na paskudnych dorosłych. Nie zawsze, ale niepokojąco za często.

## 9

Jad grzechotnika teksańskiego uszkadza człowiekowi naczynia krwionośne. Toksyna unicestwia nerwy, mięśnie i skórę. Wąż tygrysi zabiera ofiarę ze świata żywych w pięć minut. Cholernie szybko. Pseudechis papuanus funduje zawał, a neurotoksyczny koktajl od Pseudonaii textilis wywołuje śpiączkę...

Darren oblizuje usta. Po przebudzeniu z narkozy nie ma wciśniętego w niego knebla. Pozostaje w ciemnościach; stracił rachubę czasu, więc nie wie, jak wiele godzin, dni upłynęło od ostatniego omdlenia i w jakim stanie znajduje się jego ciało. Nie czuje bólu, choć domyśla się, że z czasem fizyczna udręka powróci.

Informacje, jakie posiada na temat oprawcy, są ubogie. Mężczyzna ze strzępków faktów próbuje wyłuskać jego historię. To, co uznajemy za rzeczywistość, jest tylko intelektualną konstrukcją. Każdy postrzega świat inaczej, w zależności od wiedzy na dany temat i doświadczeń. Każdy decyduje sam, czym dla niego są konkretne rzeczy i określa powiązania między nimi.

Twarz Darrena wykrzywia szyderczy uśmiech. Jest przedmiotem zemsty - za czyny, w których współuczestniczył jako syn Simona. Przetrzymujący go mężczyzna musi być bratem albo mężem którejś ze skrzywdzonych przez ojca dziewczynek. Ofiara Zwierzęcia dorosła i wyjawiała światu brudną tajemnicę. Nie słuchał ojca, żeby podczas asyst także używać maski.

Ten facet postanawia ukarać Darrena wedle prawa talionu: oko za oko, ząb za ząb. Obserwacja, oswojenie celu, uprowadzenie go. Faszzerowanie lekami,

wreszcie krzywdzenie w nieludzki sposób. Do tego perfidna uprzejmość kata, przyprawiająca o dreszcze.

Darren intensywnie roztrząsa szanse na przetrwanie. W tej sytuacji nie wystarczy przyznanie się do winy czy przeproszenie za siebie i Simona. Musi wykazać się czymś więcej, aby wpłynąć na decyzję kata o pozostawieniu go przy życiu. Tylko czym? Wytrzymałością na ból? Zbyt wielkie natężenie automatycznie wyłącza świadomość. Ten facet doskonale o tym wie. Nie chodzi zatem o cierpienie. Ono jest środkiem, nie celem. Środkiem do czego, do odkupienia? Nie ma ochoty być pieprzonym męczennikiem.

Odrywa się od myśli na szczęk otwarcia piwnicznych drzwi oddzielających go od wolności. Spodziewa się światła uderzającego w źrenice. Zaraz zobaczy, jakie szkody ten mściciel poczynił na jego ciele. Użył przeciw Darrenowi wiertarki. Gdy leżał pod narkozą, może amputował mu kończyny albo...

Weston wzdryga się, myśląc o kastracji.

Ku jego zdziwieniu, oprawca wkracza do pomieszczenia w ciemnościach. Perfekcyjnie wyliczył czas kolejnej wizyty. Znieczulenie pacjenta wyczuwalnie słabnie.

Darren nerwowo wciąga powietrze. Nogi oraz ręce niekontrolowanie drżą, kiedy odzyskuje w nich czucie. Usiłuje poruszyć kończynami; każda próba przesunięcia ich choćby o milimetr powoduje eksplozje bólu - jakby ktoś zdetonował miniaturowe ładunki wybuchowe wewnątrz kości jego rąk, nóg i rdzenia kręgowego. Ciemność nasila w mężczyźnie wszystkie uczucia. Przysięgłby, że także wewnątrz zębów odczuwa bolesność.

Mimo przemożnej chęci manifestacji bólu powstrzymuje się. Musi zrobić to teraz! Wykorzysta przeciw katowi ostatnią broń, którą jeszcze posiada.

Słowa.

- Wiem, kim jesteś i czego chcesz! - wrzeszczy. - Odwetu!

Ku jego rozpaczycy przestrzeń pozostaje niema.

Doktor Marvin Cross nie zamierza rozmawiać z pacjentem, dopóki ten się nie wyciszy. Podnoszenie głosu oznacza słabość, a agresja znamionuje bezsilność. Jedynym rozsądnym wyborem jest spokój i współpraca. Darren z pewnością chce się dowiedzieć, jaki jest cel w prowadzeniu tak niepoobłązliwej terapii. Czas wykorzystać pomoce dydaktyczne.

Laboratorium Naprawy wypełnia się światłem. Patrzenie sprawia pacjentowi ból, usytuowany z przodu czaszki, tuż za oczami.

- Oto, czym się stałeś, Darrenie. - Marvin wskazuje na nowe hasło z zabawki: ZWIERZĘ. - To twoja prawdziwa tożsamość. Zaraz przedstawię ci dowody. Chcę, byś dokładnie im się przyjrzał. Na ten czas cię uciszę. Szkoda mi uszu na mizerne wywody. - Na powrót wciska mu knebel. Włada nieco wysiłku, ponieważ Weston próbuje gryźć.

Pokazuje mu zdjęcia stron kalendarza, jakie zrobił podczas wizyty w mieszkaniu pacjenta.

- Byłeś nieostrożny - informuje go. - Na szkice i tekst o Zwierzęciu natknąłem się jeszcze w lecznicy. - Robi pauzę, po czym cytuje Darrenowi Goebbelsa: - „Największą przyjemność sprawia mi poznawanie prawdy”. Przeanalizujemy twoje rysunki. - Tasuje fotografie. - Podobne kreśliłeś w szpitalu, obsesyjnie, najpierw po dziecięcemu niezdarne, potem coraz bardziej precyzyjne, z fotograficzną dokładnością, jak zawodowy anatom. Masz talent, Darrenie. - Uśmiecha się. - Widziałem dokumentację ze szpitala.

Pacjent jękiem wyraża gniew. Marvin ciągnie:

- Sądzę, że wszystko, o co oskarżałeś Zwierzę podczas pobytu w szpitalu, jest prawdą.

Słuchacz przestaje bulgotać. Facetowi jednak nie chodzi tylko o zemstę...

- Zdiagnozowano u ciebie schizofrenię. Taki werdykt przesądzał o sprawie. Oteępiali cię i uciszali lekami, a powinni wysłuchać. Wymuszali posłuszeństwo elektrowstrząsami, zamiast pozyskać je próbą zrozumienia. Rysunki pozwoliły ci przetrwać. Nadawałeś nimi wiadomości SOS, licząc,

że ktoś je właściwie odczyta. Trafiło na mnie. Szkoda, że tak późno. - Marvin zagląda w szklące się oczy pacjenta. - Latami obmyślałeś rytualny mord na Zwierzęciu w ramach zemsty i kary za czyny, których dopuszczało się względem ciebie i ofiar. Odcięcie kończyn od korpusu - za nieprzyzwoite dotykanie dziewczynek. Oddzielenie głowy od ciała - za rodzenie się w niej wstrętnych popędów. Przyrodzenie włożone w pysk Zwierzęcia nie wymaga szerszego komentarza, podobnie jak wiersz o nim. Nie dość, że krzywdziło dziewczynki, raniło także ciebie.

Weston porusza palcami dłoni w geście potwierdzenia. Czuje się poddawany sekcji in vivo. Ten facet właśnie wycina skalpelem jego serce i na oczach Darrena kroi je na kawałki. Nie da się żyć bez serca, prawda? Jego oprawca jest żywym przykładem, że to jednak możliwe. Przemocą wtargnął do jego wstrętnego świata, od lat pogrążonego w obrazach wyimaginowanego starcia ze Zwierzęciem, i teraz wyszarpuje te krwiste kawałki na światło dzienne.

- Nigdy nie wyzwoliłeś się z relacji ze Zwierzęciem.

Głos Marvina rozbrzmiewa przed pacjentem i za nim, na zewnątrz Darrena i w jego środku. Oplata go ciasno, dławi jak sznur, zabiera dech.

- Nie uzdrowiłeś jej, nie pchnąłeś na właściwe tory. Przecież mogłeś zrobić z ojcem co należy po opuszczeniu szpitala. Mogłeś dokonać wyboru i postąpić właściwie, wobec siebie i skrzywdzonych dziewczynek. Jednak zdecydowałeś się uciec od odpowiedzialności i zapomnieć o wszystkim. Niestety nie potrafiłeś zapomnieć, chociaż próbowałeś. Gdy straciłeś zmysły po usypiaczu, zwiedziłem mieszkanie i zacząłem postrzegać świat jak ty. Prędko znalazłem właściwy trop. Wciąż komunikowałeś się ze Zwierzęciem. Ono nigdy cię nie opuściło. Wciąż żyło w twojej rzeczywistości, choć w zastępczy sposób.

Darren z trudem znosi beznamiętne spojrzenie doktora.

- To podświetlone lampami trofeum, wiszące nad wejściem do salonu. Czaszka z kłami zakrzywionymi jak haki. Drapieżna, brutalna małpa.



Idealna reprezentacja Zwierzęcia, czyż nie? Podświetliłeś ją, by była dobrze widoczna, szczególnie w nocy. Zwierzę obserwowało wszystkie twoje działania, nawet te codzienne. A gdy popiłeś, krzyczałeś na małpiego bożka, wyobrażając sobie, że wrzeszczysz na ojca, że karzesz go obelgami. Ten, choć nieobecny ciałem, wciąż miał nad tobą władzę. Dręczyła cię złość i chęć odwetu, ale nie miałeś odwagi podjąć działań i realnie potępić Simona. Brak reakcji wobec zła jest jego akceptacją, Darrenie. Już nie musisz niczego się wypierać. - Marvin pokazuje mu kopie dokumentów, które uzyskał podczas pobytu w Cleveland. Jeden z arkuszy przedstawia artykuł z prasy. - Tragedia w rodzinie aptekarza. Jest dwuznaczny, nie sądzisz? Dla społeczeństwa to dramat samotnego ojca, którego zdolny, jedyny syn zaniemógł na umyśle. Dla ciebie: nieszczęście z powodu posiadania tatusia zwyrodnialca. - Zwija kartkę w rulon. - Sądzę, że jest coś jeszcze, Darrenie. Coś, czego nie ma w żadnych aktach. Coś, co zachowałeś wyłącznie dla siebie. To esencja twojej relacji ze Zwierzęciem. A ty mi o niej opowiesz, kiedy do ciebie wrócę. - Doktor Cross dotyka główki kwiatka z hasłem ZWIERZĘ. Za kilka dni zacznie wyciągać z pacjenta kluczowe wyznania za pomocą autorskich metod.

\*\*\*

Marvin umieszcza owalne, pozbawione ramy lustro w zasięgu wzroku Darrena. Ten nie zobaczy w nim odbicia niczego, co odciągnęłoby jego myśli od terapii. Ma jedynie wgląd w konkretny fragment rzeczywistości - dolną część swojego brzucha.

Doktor okrywa podbrzusze pacjenta sterylnym materiałem. Odślonięty, pokryty gęsią skórą prostokąt bladej skóry odbija się złowrogo w lustrze.

- Spójrz na kwiatek - poleca Marvin pacjentowi. Pod hasłem ZWIERZĘ widnieje słowo AKCEPTACJA. - Zacniemy nad nią pracować. Akceptacja zazwyczaj bywa trudna. Musisz wiedzieć, gdzie znajdujesz się w danym

momencie. I musisz się z tym stanem pogodzić. Wtedy opór wobec rzeczywistości i związane z nim odczucia ustąpią. - Znow myśli o zamierzonym incydencie z kotkami. Unosi skalpel w dwóch palcach. Ma masywną nasadę i jest przyjemnie ciężki. - Darrenie, nie jesteś sumą tego, co ci się przytrafia. Jesteś tym, kim zdecydujesz, że chcesz być. - Kładzie dłoń uzbrojoną w ostrze na styku materiału ze skórą Westona.

Dociska narzędzie do ciała. Naskórek rozwarstwia się, łapczywie wchłaniając w siebie lancet. Po obu stronach nacięcia wyciekają cienkie czerwone strugi. Marvin z wyczuciem manipuluje narzędziem, aby nie wbić go za głęboko. Wrzeszczący pacjent mu tego nie ułatwia. Jego tułów mimo pasów wznosi się i opada, aby pozbyć się niszczącego tkanki intruza.

Doktor tamuje krwawienie po pionowym, kilkucentymetrowym przejściu skalpela. Spotkania Darrena z narzędziem będą dla niego bardzo trudne.

Ociera ostrze z krwi i odkłada je na stolik. Przygląda się swojemu dziełu. Idealnie prosta szczelina, biegnąca od pępka do linii włosów łonowych. Rozszerza ją lekko. Wkłada opuszek palca wskazującego do wnętrza rany i przesuwając nim po całej długości nacięcia.

Przypomina pacjentowi jego tekst:

*Jesteś daleko od domu i swojej rodziny,  
Zaraz się razem miło zabawimy!  
Bądź bardzo grzeczna, nie próbuj uciekać,  
Bo Zwierzę się wścieknie, wtedy krzywda cię czeka.*

Weterynarz wśród krzyków pręży się w ostrych spazmach.

- Nie szarp się, to nic nie da. Przyspieszenie tego, co i tak musi zostać zrobione, nie wyjdzie ci na dobre - ostrzega. - Zaczynaj współpracować. To jedyna rozsądna rzecz, jaką możesz zrobić. Wiem, że boli. Ofiary Zwierzęcia też cierpiały. Niektóre z nich pewnie zmagają się z bólem do dziś. Może nigdy nie założyły przez to rodziny. Nie czerpią radości z seksu albo nienawidzą mężczyzn. Może weszły w konflikt z prawem - zastanawia się. - Jesteś za to odpowiedzialny, Obserwatorze. - Spogląda na śruby w

jego kończynach. - Odpowiedzialny za każdą małą skrzywdzoną przez Simona dziewczynkę. - Oskarżycielsko wskazuje na niego palcem. - Gdybyś postąpił jak trzeba, pewnie znalazłbyś zastępczą rodzinę. Miałeś trzynaście lat, nie zamknięto by cię w szpitalu. Niestety, twój mózg działał według określonych algorytmów. Pomogę ci zrozumieć proces, jaki latami zachodził w twojej głowie. - Ścisza głos. - Nigdy sam byś się do niego nie przyznał.

Szepcze Darrenowi odpowiedź do ucha. Pacjent purpurowieje na twarzy.

Marvin klepie go po policzku.

- Z każdej sytuacji jest wyjście. Pomogę ci do niego dotrzeć. - Wskazuje na lustro. - Patrz uważnie. Oto kolejny element kodu.

Nim umieści go na ciele Darrena, spogląda na kardiomonitor. Winszuje sobie przygotowania. Dosercową dawkę adrenaliny trzyma w kieszeni fartucha. Tym razem może stać się niezbędna.

# 10

Przynoszę do Laboratorium przezroczysty pojemnik. Użycie jego zawartości wzmocni w Darrenie zmysłowe doświadczenie utrwalania na nim kodu. Podbrzusze pacjenta zdobią już trzy nacięcia. Jedno ukośne i dwa pionowe.

Kolejny raz przekonuję się, że ludzki czynnik jest nieobliczalny. Na mój widok ciało Darrena nagle wchodzi w stan alarmowy. Wskaźniki aparatury wariują. Skurcze serca przybierają na sile. Skóra wilgotnieje. Oczy rozszerzają się w trwodze.

Co cię teraz bardziej przeraża, Darrenie? Teraźniejszość, czy mająca nastąpić po niej przyszłość (o ile jakiejś się spodziewasz)? Kiedy przechodzisz przez piekło, nie możesz się zatrzymywać. Tak czy inaczej, ono także ma kres. Pytanie - zdołasz do niego dotrzeć, czy prędzej zostaniesz spopielony?

Wyjmuję mu knebel, potem wybieram garść proszku z pojemnika. Sypię go w łapiące oddech usta pacjenta. Ten krztusi się i ostro pluje.

- Co mówiłem o oporze? - Znaczą solną ścieżką jego klatkę piersiową oraz brzuch. Zatrzymuję się centymetr przed nacięciami. - Pozbądź się go, Darrenie. Właśnie teraz. - Zaciskam dłoń, w której trzymam sól. - To, czego się wypierasz, trwa w tobie najmocniej. - Wysypuję chlorek sodu na jego podbrzusze.

Weston szczerzy na mnie drobne, ostro zakończone zęby.

Jego puls wynosi sto dwadzieścia cztery uderzenia, gdy wyznaje, że jest mordercą. Spada do dziewięćdziesięciu, kiedy ujawnia tożsamość ofiary. Przy osiemdziesięciu opowiada o sposobie egzekucji.

Pacjent uspokaja się, kiedy wyjawia motyw postępuku. Śmieje się potem długo i szczerze, zalany falą ulgi. Miałem rację. Moja diagnoza jego relacji ze Zwierzęciem od początku była prawidłowa.

- Brawo, przełamałeś opór. Teraz zaakceptuj to, kim się stałeś. - Stukam kciukiem w lustro. - Zaakceptuj fakt, że ty także byłeś Zwierzęciem. Tymczasem sen pomoże ci ułożyć myśli na nowo. - Robię mu zastrzyk.

Czekam z wyjściem, aż zaśnie. Niebawem pozna literalne znaczenie wycinanej na nim wiadomości. Będzie musiał pogodzić się z jej treścią i nauczyć z nią żyć. Za każdym razem, gdy na nią spojrzy, zadecyduje o konkretnym wyborze.

Wystawiam się na nocny mróz. Powietrze jest wysyczone zapachem igliwia. Głęboko natleniam organizm. Nie zamierzam pobłażać ciału. Bez względu na temperaturę nacieram śniegiem twarz, ręce i kark. To wciąż za niska dawka pobudzenia. Decyduję się na przebieżkę dookoła azylu. Natleniona krew odżywia mózg, wprowadzając mnie w delikatną euforię.

Podczas Napraw funkcjonuję niczym cyborg. Sypiam dwa, trzy razy na dobę, nie dłużej niż dwie godziny. Wytrenowane ciało prędko zapada w sen. Jadam mało, głównie ryby i warzywa. Piję tylko wodę.

Terapie umysłu są moim najwyższym spełnieniem - jako humanisty, Nieskończenie Dobrego Człowieka - niemniej z oczywistych względów ustaliłem maksymalny limit jednej na rok. Na ten czas biorę urlop. Przygotowania przeprowadzam poza godzinami pracy, często w nocy. Marnotrawienie czasu jest zbrodnią.

\*\*\*

Czas na ostatni etap pracy nad Darrenem. Przekładam skalpel z ręki do ręki. Pacjent bacznie wodzi oczami za narzędziem.

- Zbłąkany pies trafił do ponurego zamczyska, a w nim do Komnaty Prawdy, w której spotkał inne psy. - Opowiadka dopełni moich działań. -

Zwierzak zawarczał i zjeżył sierść. Inne zrobiły to samo - kontynuuję. Oczy pacjenta rytmicznie poruszają się od lewej do prawej, podążając za moimi gestami. Wie, że bez ostrzeżenia zatopię w nim skalpel. Przygotowuje się na ból. - Pies zaatakował osobnika, który stał najbliżej. Natychmiast odskoczył, raniony kłębem. - Serwuję Darrenowi dwa głębokie nacięcia, które prędko napęniają się krwią. Obiektem wstrząsa krótki spazm. - Komnatę Prawdy tak naprawdę wypełniały lustra. Pies rzucił się na własne odbicie! - puentuję historię. - Gdyby zamiast warczeć, pomerdał ogonem... - Zawieszam głos. - Zastanów się nad tym, Obserwatorze. Nie jesteśmy z natury dobrzy. Nie jesteśmy też źli. Definiują nas nasze wybory. - Zamaszyście dokańczam napis. Ostatnie cięcie jest krótkie i proste. Wymęczone ciało pacjenta słabiej reaguje na bodziec.

- Proszę. - Wskazuję trzonkiem skalpela na szkło. Darren bezgłośnie odczytuje kod, jaki wyryłem na nim lustrzanym zapisem. Jęczy, gdy dociera do niego sens tego słowa. - Na tym polega życie. - Oczyszczam mu ranę. - Wybór, Obserwatorze. Wybór. Musisz zdecydować się na właściwy. - Odkładam lancet i ustawiam lustro w nowej pozycji.

Darren z odrazą przygląda się swojemu ciału. Wychodzą z niego liczne przewody. Jedne odżywiają organizm, inne odprowadzają z niego nieczystości. Miejsca wokół śrub i nacięć są zabezpieczone i czyste. Twarz także nie prezentuje się najgorzej. Zarost jest przystrzyżony, a włosy umyte. Podczas terapii nie degraduję ciał pacjentów bardziej niż trzeba.

- Muszę ci o czymś powiedzieć... To ważne. - Weston ściąga brwi. Jego brzuch rozsadza ból, piekący i nieustępliwy. Znieczulę go, kiedy uznam, że zasłuży.

- Co chciałeś mi wyznać, Darrenie? - pytam, pakując do worka zaplamioną chirurgiczną narzutę. - Co możesz powiedzieć WIĘCEJ ponad to, że dla ochrony Zwierzęcia bez mrugnięcia okiem zamordowałeś kuzynkę? - Ściągam rękawiczki i wrzucam je do reszty pooperacyjnego śmietnika.

- Wybory, kurwa. - Pacjent krzywi się. - Te dobre spierdoliły mi życie. - Zaczyna kaszleć. - Uwolniłem pewną dziewczynkę, nim ono zdążyło ją... Ostatnią, którą widziałem... Podaj mi lek... Proszę...

Kręcę głową.

Weston krztusi się śliną. Unoszę zagłówek wyżej. Nie doszuka się we mnie współczucia. Nie znajdzie we mnie czegoś, czego nie mam.

- Ona była inna! - Darren łapie wdech. - Nie płakała! Nie bała się! - wyrzuca z siebie tamte zablokowane emocje z dzieciństwa. - Sądziłem, że to przez leki Zwierzęcia. Teraz myślę, że była głuchoniema...

- Dlatego okazałeś jej litość? - Zniesmaczony, zaplatam ręce na piersiach. - Tak naprawdę wciąż byłeś pieprzonym tchórzem. Upośledzona ofiara miała milczeć. Miała zachować wszystko w tajemnicy, a tobie znów miało się upiec. Zamknięta we własnym świecie dziewczynka. Mała szansa, że ktoś jej uwierzy, gdyby zdecydowała się wyjawić wasz sekret. Chciałeś we własnych oczach stać się lepszym, choć na chwilę, to wszystko. Chciałeś uciszyć sumienie. Zniwelować psychiczny dyskomfort. - Opieram się o ramę łóżka. Darren głośno syczy, kiedy dotykam jego przewierconego przedramienia. - Czy zamierzałeś uwalniać kolejne ofiary Simona? Te w pełni sprawne, mogące sprowadzić na was policję? - Poruszam śrubą w jego ręce. Teraz obiekt wrzeszczy, jednocześnie z bólu i wściekłości.

- Już mówiłem! Ojciec zamknął mnie w szpitalu! Nikt mi nie uwierzył! NIKT!!!

- Ja ci wierzę, Darrenie - mówię łagodnie. Weston w jednej chwili uspokaja się i skupia na mnie wzrok. - Nerwowość. Socjopatia. Brak własnej rodziny. Całkowite odcięcie od ojca. Pośrednio wybór zawodu, koncentrującego się na zwierzętach, nie ludziach. Tłumienie uczuć i wspomnień alkoholem. Zmiany miejsca zamieszkania w obawie przed demaskacją przeszłości. Wciąż te same, uparcie odtwarzane rysunki oraz teksty. Twoje zachowania w dorosłym życiu potwierdzają wiarygodność historii - podsumowuję. Pacjent patrzy na mnie w niedowierzaniu.

Wygląda, jakby naraz wyparował z niego ból promieniejący z ran. Doświadczył zrozumienia od innego człowieka, chyba po raz pierwszy. - Jesteśmy odpowiedzialni nie tylko za to, co robimy, ale także za to, od czego się powstrzymujemy. Po wyjściu ze szpitala nie zrobiłeś niczego w sprawie ojca.

- Dorosłem, jak ofiary Zwierzęcia. - Wzdycha. - Nie znałem nawet ich imion.

- Usprawiedliwiasz się. To żalosne. - Podchodzę do kwiatka-spinacza i umieszczam w nim najważniejsze hasło wszystkich Napraw. Dopełnia ono kod wycięty na chorym.

### WYBÓR.

Przynoszę wiertarkę. Tętno Darrena rośnie. Nie wie, co powinien do mnie teraz czuć. Przez jego twarz maszeruje korowód emocji, z których najsilniej manifestuje się zagubienie.

Dotykam wiertłem okolic jego serca.

- Musisz dokonać wyboru. Od waszej przymusowej rozłąki z Simonem mijają dwadzieścia trzy lata, a ty nawet nie wiesz, co ojciec teraz robi. Nadal krzywdzi dziewczynki? A może przestał już wtedy, gdy ze strachu o siebie spierdolił ci młodość? Celowo nie mówię „życie”. Je można jeszcze naprawić.

Wargi Darrena stają się białą kreską.

- Dobrze wiesz, co należy zrobić - cedzę słowa. - Nie podpowiem ci, w jaki sposób. To twoje Zwierzę. Ty będziesz wiedział najlepiej.

Pacjent z wahaniem spogląda na wiertło. Jest gotowy znieść ból uwalniania siebie z niewoli.

Odkładam narzędzie i zostawiam mężczyznę w piwnicy przy pełnym świetle - wyciszonego, wpatzonego w napis na brzuchu. Wyciąłem na nim trzy litery: Z, Ł oraz Y. Przewrotność kodu ma skierować uwagę pacjenta na właściwy wybór. Od teraz każdy powinien być słuszny. Niemniej dane,



jakie posiadam o Westonie, podpowiadają mi, że podtrzymanie przez niego efektów terapii będzie trudne.

Osobowość typu borderline głęboko mnie zastanawia. Darren może stracić rozeznanie, co jest dobre, a co złe. Jeżeli zda się na doraźne psychiczne korzyści, przepadnie. Jego wybór, pierwotnie uznany za słuszny, zainicjuje w nim pęd do zagłady.

Pacjent zapewne będzie chciał się ze mną spotkać po tym, jak uporządkuje własne życie. To właśnie wtedy sprawdzę efekty jego Naprawy.

# 11

Mięśnie Westona jednolicie pulsują bólem, w intensywności już nawet nie czerwieni, ale czerni. Jego usta zalewa krew. To koniec. Umiera. Terapeuta perfidnie go oszukał.

Każdego czeka śmierć. Pamięta słowa, które padły przy pierwszym spotkaniu z właścicielem kocura. Teraz skurwiel uśmiecha się do Darrena spod maski, gdy wraz z życiem odbiera mu zadeklarowane prawo do zmiany i dokonania stosownego wyboru.

W oczach pacjenta ostre rysy twarzy doktora roztopiają się jak wosk pod wpływem ognia. Ubrana w zieleń sylwetka rozmywa się wśród białych kafli. Wzrok Darrena zachodzi mgłą. Ostatnie wspomnienie w rwącej się pamięci mężczyzny to zakapturzony, niebieskooki chłopiec, który wydobywa z siebie nieludzki krzyk. Ten głos przez chwilę wibruje Westonowi pod czaszką. Potem krzyczący milknie na zawsze.

Umysł obiektu napełnia się ciszą. Nie słyszy pikania aparatury ani wizgu wiertarki. Nie rejestruje też głosu doktora. Obserwator Doskonały był świadkiem własnego życia aż do jego gorzkiego końca.

Po niedającym się określić czasie Darren podnosi nabrzmiąle powieki. Przez jelita przechodzą mu wściekłe skurcze. Język parzy z braku śliny.

Wstrząsa nim donośny, niemożliwy do opanowania śmiech.

Leży we własnej sypialni, szczelnie wypełnionej purpurą bezgwiazdnej nocy, która sączy się do środka przez wąskie, szeroko otwarte okno i pachnie czymś słodkim. To coś przypomina Darrenowi zapach z ojcowskiej apteki.

Środki odkażające.

Darren z obawą podnosi ręce do twarzy. Miejsca po wkrętach spowijają świeże opatrunki. Dolne kończyny również są zabezpieczone przed infekcją. Pocięty brzuch okrywa sterylna folia przyklejona plastrami do skóry.

Nie ma pojęcia, jak długo przebywa w mieszkaniu. Dzień, tydzień, może miesiąc. Na zmianę budził się i zasypiał, zawieszony między światami jawy i snu, niemogący rozemnić się w czasie. Zdawało mu się, że nie był sam. Ktoś go poił, mył, podawał leki i zmieniał bandaże; schładzał ciało zimnymi okładami.

Darren nawołuje opiekuna, jednak odpowiada mu cisza. Próbuje wstać, ale osłabienie z powrotem przyciska go do łóżka. Leżąc, otwiera nocną szafkę. Wyjmuje z niej teczkę, w której trzyma własne wizytówki. Przypatruje im się z uwagą, jakby usiłował sobie przypomnieć, kim jest. Przed spotkaniem Terapeuty był specjalistą chirurgii weterynaryjnej. Nazywał się Darren Sean Weston i prowadził lecznicę. Robił to, co kochał najbardziej.

Teraz czuje w sobie zmianę, lecz nie taką, jakiej doświadczył w przeszłości, jako chłopiec. Podczas terapii coś w nim pękło, coś wybuchło. Po tej detonacji narodził się w umyśle Darrena całkiem nowy ład.

Zerka na arkusz. Zwierzęta z logotypu, wpisane w zielony krzyż, poruszają się! Kot zjeża sierść. Pies obnaża kły i kładzie po sobie uszy. Papuga wściekle macha skrzydłami. Darren zaczyna trząść się jak w najgorszym alkoholowym delirium. W głowie narasta tętent. W uszach słyszy tykanie.

Z dezorientacją przybliża wizytówkę do twarzy. Zwierzęta stają się trójwymiarowe. Warczą, syczą, skrzeczą. Zaczynają go atakować! Kot drapie Darrena po palcach, papuga wbija dziób w nadgarstek. Pies kąsa dłoń. Koszmarny ból głowy zlewa się z bólem zwierzęcych natarć.

Darren z przekleństwem odrzuca kartonik. Uwolnione spod jego dotyku zwierzęta zastygają w pierwotnej pozycji.

Weterynarz spogląda na ręce. Dostrzega na nich własną krew. Czerwone krople z rozdrapanych miejsc skapują prosto na dywan. Owija się

prześcieradłem i zataczając się, wbiega do salonu. Zdejmuje ze ściany czaszkę pawiana i przytyka jej chłodny czerep do czoła. Uśmiecha się szczerze, myśląc o Terapeucie, swoim Mistrzu. Tak bardzo jest mu wdzięczny. To uczucie wypełnia ciało gorącą parą, która skrapla się i piecze na powierzchni skóry. Mistrz nadał jego życiu nowy sens... albo przywrócił mu ten zagubiony.

Zawiesza małpie trofeum na należnym mu miejscu. Czaszka, skąpana w trupim świetle białych żarówek, patrzy na niego pustymi oczodołami, bardziej martwa niż zazwyczaj.

ZŁY.

Weston odnosi wrażenie, że to czaszka ojca wisi na haku w miejscu małpiej, odarta z mięśni i skórnych powłok, i głucho warczy na niego ze ściany.

ZŁY.

Weterynarz przekrzywia głowę i kilkakrotnie oblizuje zęby.

Może przypadki nie istnieją? Może istnieje tylko cel, którego znaczenie dopiero trzeba odkryć? Darren myśli o komunikatach, jakie serwował mu Mistrz podczas terapii:

OBSERWATOR.

ZWIERZĘ.

AKCEPTACJA.

WYBÓR.

Wyborem Darrena jest MIŁOSIĘRDZIE.

Mężczyzna obchodzi mieszkanie. Nie znajduje śladów obecności opiekuna, jednak jest pewien, że niedawno tu był. Domyśla się, że teraz, kiedy doprowadził Darrena do stanu fizycznej sprawności, już nie wróci. Nie zabrał z mieszkania niczego - ani dokumentów, ani broni.

Weston z zadowoleniem wraca do ciasnej sypialni. Pawian odprowadza go nieistniejącym spojrzeniem. Weterynarz zasypia twardo, pogrążony w mrokach niepamięci.

Budzi się z resztkami bólu w ranach. Znieczulenie, jakiemu pewnie był poddawany, przestało działać. Przetrzyma ból; jest pieszczotą w porównaniu do tego z początków terapii.

Pawian stale obserwuje Darrena wytrzebionymi oczodołami. Podobnie jak portrety jeleni, saren i wilków, oprawione w surowe drewniane ramy, które w pokornej ciszy słuchają jego namiętnych kazań o Zwierzęciu. Często przemawia do nich, popijając whisky. Zagłębia się w tej wyizolowanej przed światem strefie własnej jaźni, w której czuje się absolutnie spełniony. Przedtem mógł o niej jedynie fantazjować. Teraz, dzięki spotkaniu Mistrza, zdecydował się na działanie.

Weterynarz dotyka wrażliwego, wciąż spuchniętego podbrzusza, namacalnej pamiątki przypominającej mu o celowości zabiegów, przez które przeszedł. Ostrożnie przesuwając palcami wzdłuż nacięć.

ZŁY.

Dopada małpiego trofeum i z furią zrzuca je na podłogę.

Czaszka nie pęka mimo upadku. Leży przekręcona na bok, z rozwartą szczęką. W jej oczodołach płoną czerwone iskry. Wygięte kły małpy spływają krwią.

Darren jest niebezpiecznie pobudzony. Gorąco rozlewa się po jego wnętrznościach, kiedy aplikuje sobie porcję whisky. Postanawia od dziś zacząć przyjmować w lecznicy, więc ogranicza się do szklaneczki. Otwiera okno i wychyla się przez nie, wystawiając gotujące się ciało na marznący, wczesnowiosenny deszcz. Zacznie działać - powoli i z rozmysłem. Po wszystkim odszuka Mistrza i opowie mu o swojej decyzji. Jedynej słusznej. Najlepszej z możliwych. Mistrz go zrozumie, na pewno.

Weston owija czaszkę pawiana w czarny worek i zabiera ze sobą do auta. Chowa ją na dnie bagażnika. Niech w ciemności czeka na moment, w którym nastanie jej czas.

W zaciszu gabinetu zmienia opatrunki, przebiera się w uniform i zaparza mocną kawę. Popija ją, rozmyślając o Mistrzu. Terapeuta zadbał o wszystko,

nawet zostawił Darrenowi jedzenie: konserwy rybne, pieczywo oraz jabłka. Przez cały ten czas trzymał jego życie zaciśnięte we własnych dłoniach, znając wybory i tragiczną przeszłość, jednak nie zmiażdżył go. Teraz pozostawia Westona, z nowym ładem pod czaszką, i pozwala mu swobodnie działać; jest miłosierny i dobry.

Spogląda na dyplom wiszący nad biurkiem. Udało mu się ukończyć studia z drugą lokatą na roku - mimo kiepskiej edukacji, jaką otrzymał podczas wieloletniego zamknięcia w szpitalu. Spełnił marzenie. Tym razem także uda się je spełnić. Jest tego pewny.

Darren przez cały dyżur czuje się jak na rauszu, choć wypity z rana alkohol dawno wywietrzał mu z głowy. Jego priorytety po terapii Mistrza są już inne - skoncentrowany jest na sobie, nie na czworonożnych pacjentach - przynajmniej na razie. Zamyka lecznicę przed końcem dyżuru, wypraszając z niej klientów oczekujących wraz z pupilami na przyjęcie. Sprzeda lecznicę; będzie potrzebował gotówki, aby zrealizować powzięty plan bez martwienia się o fundusze.

Wjeżdża w miejską arterię ciężką od świateł. Z billboardów atakują go słowa namazane krwawą farbą: MISTRZ oraz ZWIERZĘ. Twarze mijanych przechodniów nabierają twardych rysów Terapeuty.

Czas opowiedzieć historię Zwierzęcia do końca.

## 12

Bez pośpiechu oczyszczam i porządkuję Laboratorium Naprawy. Przemycam ramę łóżka z pozostałości po pacjencie. Utylizuję okrycie materaca, dezynfekuję podłogę. Pakuję chirurgiczne narzędzia do walizek, z nośników kamer kasuję dane, po czym demontuję urządzenia. Mobilny sprzęt umieszczam w przewidzianej na tę okazję przyczepie, którą podpinam do auta. Zdeponuję go w odpowiednio zabezpieczonym przed wścibskimi magazynie, jaki wynajmuję u jednego z wielu zawdzięczających mi pacjentów. Forma odpłat chorych za Naprawy Specjalne bywa różna.

Naprawy Specjalne. Tak nazywam operacje, za które pacjent w miejsce gotówki płaci usługami. Ich zakres uzależniam od pozycji i osobowości konkretnych osób.

Po zakończeniu terapii zawsze luzuję zawieszony na czas pracy popędy. Po krótkim odpoczynku zamawiam do domu panienkę na godziny z luksusowej agencji. Nie mam wymagań dotyczących wieku, koloru włosów czy skóry prostytutki. Jest zaledwie przedmiotem, ale wolałbym, aby ten był wart swojej ceny.

Megan wygląda raczej na skromną dziewczynę z sąsiedztwa niż na dziwkę. Ma kręcone złotawe włosy, okrągłe, nieco zdziwione dziecięce oczy i rumianą skórę. Jej pełne usta są grubo obramowane szminką w kolorze ciemnej wiśni. Przypomina mi nieco Ashley Trier.

W trakcie odbioru „zapłaty” za Naprawę Specjalną jej męża krótki oddech Ashley zlewał się z pomrukiem klimatyzacji pokoju na piętrze pięciogwiazdkowego hotelu, w którym spędziła ze mną godziny, oddając mi

się. Była zaledwie kształtem, nieruchomym, niereagującym na bodźce. Przyjąłem jej ofiarę ze wszystkim, co w sobie posiadała.

Miłość. Ludzie piszą o niej, wygrywają jej rytm ciałami. Ofiarowałem Ashley sposobność, aby na nowo zdefiniowała to uczucie. Życie nie wybacza słabym. Ono, podobnie jak ja, wykorzystuje ich bez wazeliny i pieścizot.

Biorę Megan za rękę i znikamy w sypialni. Sterylność bijąca z białych, niezagraconych ścian pomieszczenia doskonale odpręża wzrok. Nie ma tu bibelotów czy roślin. Chłodny wystrój odzwierciedla moją osobowość. Prócz łóżka z metalową ramą ozdobioną prętami jedynym meblem jest fotel wyściełany czarną bawolą skórą.

Dziewczyna zdejmuje kaszmirowy płaszcz oraz czerwony gorset. Ma pod nim jasnoniebieską, koronkową bieliznę.

- Co lubisz najbardziej? - zagaduje.

- Większość z tego nie przypadłaby ci do gustu. - Uśmiecham się cierpko.

- Dlaczego? - Megan z rosnącym napięciem wpatruje się w moją twarz. Siedzi na skraju łóżka i głaszcze swoje kolano w czarnej pończosze poprutykanej srebrną nitką. - Może to? - Wyciąga z torebki, z którą przyszła, kajdanki obleczone różowym pluszem.

- Mam coś lepszego - proponuję jej z nic niemówiącym grymasem. Wyjmuję zaciski z kasetki, którą trzymam pod łóżkiem. Na ich widok Megan chce wycofać się z propozycji. - Zapłacę ekstra. - Poruszam jej najniższe instynkty.

- W porządku. - Megan ustępuje po dłuższym wahaniu, jakby zastanawiała się, do czego mogę się posunąć i ile zapłacę za pełne zaspokojenie się. - Stówa więcej. - Rozgląda się po sypialni spowitej martwą bielą. Zaciągnięte żaluzje odcięły dopływ światła. Sypialnia zmienia się w celę na oddziale zamkniętym szpitala bez klamek.

- Niech będzie. - Kiwam głową, z wolna rozpinając prążkowaną koszulę.

Megan patrzy na moje blade ciało z wyraźnie zarysowanymi pod skórą mięśniami. Dostrzega na lewym ramieniu wytatuowane litery psi oraz alfa.



Symbolika drugiej jest powszechnie znana, pierwsza oznacza psychikę. Nie widzę sensu, aby tłumaczyć to kobiecie. Kurwa nie jest dla mnie partnerką do rozmów. Zachęcam ją, by się rozebrała do końca. Grzecznie i szybko robi, co każę. Kładzie się na wznak i rozsuwa umięśnione nogi, odsłaniając wydepilowane łono. Niechcący zahacza obcasem szpilki o moje udo, pozostawiając na nim piekące otarcie. Ignoruję jej przeprosiny.

Mocuję nadgarstki Megan do prętów łóżka. Nie zaciągam linek do końca, ale i tak sama się z nich nie uwolni. Jest teraz do mojej całkowitej dyspozycji.

Włączam pełne oświetlenie sypialni, w tym halogeny zawieszzone pod sufitem. Chcę w detalach obserwować reakcje ciała dziewczyny podczas aktu. Zaczynam jednak ostrożnie, aby na samym początku jej nie wystraszyć. Opieram się ręką o ścianę za łóżkiem i wypełniam jej usta swoim przyrodzeniem. Z początku się dławi, ale po chwili dostraja swój rytm do mojego; ssie żołądź i delikatnie masuje jądra. Mimo to jestem rozczarowany jej umiejętnościami.

Ukarzę Megan za ich brak. Z wycuciem wymierzam jej policzek. Dotkliwy, ale niezostawiający długotrwałych śladów na skórze.

Nim zdąży krzyknąć, policzkuję ją po raz drugi, trzeci i czwarty. Dziewczyna zaszczutym wzrokiem błaga, abym przestał.

- Płacę za przyjemność - odpowiadam spokojnie. - A ty nie spełniasz moich oczekiwań. Jeszcze cię nie zerznąłem, a ty nawet nie potrafisz dobrze zrobić laski. - Wzdycham. Spoglądam na penisa. Poczzerwieniały, wciąż błyszczący od śliny prostytutki.

Częstuję kurewkę seriami, dopóki nie wyczuję na dłoniach wilgoci jej łez.

- Dopiero zaczynam. - Wyszarpuję poduszkę spod jej głowy i dociskam ją do twarzy dziewczyny. Siadam okrakiem na jej udach, aby nie była w stanie mnie kopnąć. Piszczy i wije się pode mną, jak rak przypiekany żywcem na ogniu.

Od potylicy, przez kręgosłup, aż do lędźwi wybuchają we mnie białe iskry podniecenia. Spoglądam na otwartą kasetkę wyszarpniętą spod łóżka. Prócz zacisków i metalowych klamer w skrzynce spoczywa składany nóż z dziesięciocentymetrowym ostrzem. On, podobnie jak skalpel, może naprawiać lub zabijać, zależnie od intencji operatora.

Podrygi Megan są coraz słabsze. Nie chcę, żeby straciła przytomność. Nie teraz.

Zrzucam poduszkę na podłogę. Jest zabrudzona od tuszu, szminki i łez.

Gdy dziwka odzyskuje oddech, zaciąga się głębokim szlochem.

- Uspokój się. - Ostrzegawczo grozę jej palcem.

Ugniatam piersi, jędrne i na szczęście prawdziwe. Podszczypuję ciemnoróżowe sutki, dopóki nie nabrzmieją i nie zrobią się sztywne. Z upodobaniem przygryzam lechtaczkę, dłonią podtrzymując własną erekcję. Moja broda jest wilgotna od soków dziewczyny.

Bezustannie myślę o nożu. Chwytam go i z namaszczeniem obracam w dłoni. Ostrze lśni niezwykle czysto w gorącym świetle lamp halogenowych.

Powoli przesuwam nim po wznórku łonowym, brzuchu i piersiach prostytutki. Drapię skórę, ale nie zacynam jej. Nóż pozostawia za sobą delikatny biały ślad, który po kilku sekundach różowieje.

Błękitne oczy Megan zamieniają się w szklane kulki zastygłe z grozy. Ciało napina się; pięści bieleją od zaciskania. Skóra lśni od potu. Poblądłe usta, całkiem otarte ze szminki, drgają w niewypowiedzianych błaganiach o litość.

- Leż spokojnie. - Przygmatam dziewczynę własnym ciałem. - Nie skrzywdzę cię. - Wchodzę w nią, choć krzyczy i stawia opór.

Posuwam Megan, trzymając nóż przyciśnięty do jej gardła. Niech czuje piekący dotyk ostrza. Czuję, jak wzbiera we mnie orgazm: obezwładniający i głęboki, zaczynający się gdzieś w dole kręgosłupa. Szczytuję na twarzy dziwki. Potem zmuszam ją, aby zlizywała nasienie z moich palców i noża. Czyni to ze wstrętem, choć - sownie opłacona - mogłaby trochę poudawać.

Rozcinam zaciski w jej nadgarstkach. Megan zwija się w kłębek jak śmiertelnie wystraszone zwierzątko. Wzdryga się, gdy przesuwam dłońią po jej uwydatnionym kręgosłupie. Kręgi szyjne, piersiowe, lędźwiowe. Wystarczyłoby wbić ostrze w odpowiednie miejsce na plecach, aby spowodować niedowład kończyn lub pełny paraliż. Destrukcja jest zawsze prostsza od naprawy.

Wypuszczam dziewczynę, wciąż nienasycony po abstynencji wynikającej z przeprowadzanej terapii umysłu. Wieczorem umówię się z Zoe. Z pewnością tęskniła za schadzkami.

\*\*\*

W drzwiach Białego Charta niemal zderzam się z Rickiem Bowmanem. Wyczuwam kwaśny odór wymiocin, kiedy szef kuchni przepuszcza mnie w drzwiach.

Nie mogę czekać z kolejną Naprawą do przyszłego roku. Życie tego mężczyzny jest zagrożone. Nie poradzi sobie beze mnie.

To prawda, w chłodne dni przyjemniej się operuje. Temperatura w Laboratorium jest niższa. Aparatura funkcjonuje wydajniej niż latem, zapachy są lżejsze. Te w związku z planowaną terapią będą jednymi z najgorszych, ale nie takie rzeczy znosiło się w prosektorium.

Wchodzę na salę restauracji, wypełnioną w jednej czwartej gośćmi schylonymi nad talerzami i drinkami, spełniającymi się w jałowych rozmowach o iksach i igrekach. Przy barze zastaję Zoe. W niebieskiej poświacie neonów wygląda nad wyraz ponętnie, w czarnej sukience z dekoltem o kształcie litery V. Siedzi zamysłona, podpierając brodę zgrabną ręką ozdobioną srebrną bransoletką. Sączy mojito. W jej rozmarzonych, szarych oczach widzę figlarne błyski. Podryguje w takt własnej, niesłyszalnej dla innych muzyki. Miło jest czasem posiedzieć we własnym towarzystwie.

Kobieta zsuwa się ze stołka i kładzie mi dłoń na ramieniu. Zakłada za uszy równo przycięte, sięgające ramion jasnobrązowe włosy i odgarnia z czoła niewielką grzywkę. Na moment przytyka usta do mojego policzka, świeżo ogolonego, delikatnie pachnącego perfumami.

Obejmuję ją w talii. Zapowiada się długa noc. Wypuszczę kochankę od siebie dopiero nad ranem. Dojedzie do pracy taksówką.

## 13

Darren ze wstrętem ociera wilgoć z czoła. Żel, którym ugładził niesforne włosy, roztapia się w słońcu i spływa mu po karku i skroniach. Usuwa go palcami i oblizuje je, nie chcąc pobrudzić uniformu, w którym przybył na dzisiejsze spotkanie. Za moment zostawi zewnętrzny świat z jego barwami, zapachami oraz ludźmi. Wkroczy w intymną przestrzeń Zwierzęcia, spowitą zgnilizną i złem.

Wydał większość oszczędności na przeszpiegi w sprawie sytuacji życiowej ojca. Solidnie przygotował się do aktu miłosierdzia względem niego. Nie może jednak oprzeć się wrażeniu, że odkąd przybył do miasta, obserwują go ukradkiem obcy ludzie. Patrzą na niego - bez sympatii, intensywnie, jakby znali jego paskudną tajemnicę, tę samą, którą Zwierzę zdołało ukryć przed światem po dziś dzień. Darren zagłada w oczy wszystkim, których mija na drodze, jakby szukał potwierdzenia, że nikt nie rozpozna w nim tamtego niebieskookiego nastolatka, którego przed laty wywlekano z domu szanowanego aptekarza w kaftanie bezpieczeństwa.

A może to Mistrz obserwuje go dziesiątkami wynajętych, sownie opłaconych oczu i sprawdza, jak Darren sobie radzi?

Weston odrzuca tę myśl. Jest dla niego zbyt absurdalna.

Słyszy powolne szuranie dobiegające zza drzwi ozdobionych spłowiałym witrażem w kształcie koła. Przekrzywia głowę i zdobywa się na krzywy uśmiech. Każde słowo, które za moment wypowie, będzie wyprane z treści; każdy gest pozbawiony znaczenia - do czasu.

- Dzień dobry, panie Weston. - Zaciska palce na wiotkiej dłoni Simona. Skóra Zwierzęcia jest ciepła i sucha. Darren ma ochotę wbić w nią

paznokcie. - Jestem Michael, pielęgniarz z hospicjum, o którego wizytę pan prosił. Proszę mówić mi Mike.

Michael to imię, które przywodzi mu na myśl osobę Mistrza. Nie wie, dlaczego właśnie ono. Pewne rzeczy przychodzą nieświadomie i nie da się ich wytłumaczyć logiką.

- Witaj, Mike. - Simon odwzajemnia uścisk. - Cieszę się, że przyszedłeś.  
- Wpuszcza pielęgniarza do środka, na powrót blokując drzwi potężną zasuwą. Nie znosi wizyt niezapowiedzianych gości.

Starszy pan nie rozpoznaje barwy głosu syna. Nie może jej pamiętać. Podczas ich gwałtownego rozstania Darren ledwo rozpoczął mutację. Przyjmuje pielęgniarza z hospicjum. Nie ma powodu, aby myśleć inaczej.

Stan zdrowia Simona jest katastrofalny. Według prognoz lekarzy nie pociągnie dłużej niż pięć miesięcy - zaawansowana choroba nowotworowa oraz wiek dyskwalifikują inwazyjne metody terapii. Pozostaje opieka paliatywna. Mężczyzna jest pogodzony z nieuniknionym. Jedyne, czego teraz pragnie, to spokój i uwolnienie od bólu. Nie zdecydował się na pobyt w hospicjum. Łatwiej odchodzi się wśród sprzętów i zapachów, które są oswojone.

Gość Simona także odbywał domowe wizyty, podczas których pies albo kot konał we własnym kojcu, pod ukochanym kocem. Weterynarz był litościwym emisariuszem kostuchy.

- Mike, czuję się zmęczony. Czy mógłbyś mnie zaprowadzić do łóżka? - prosi chory.

Darren zaciska szczękę, by nie oblizać zębów. Nie pamięta, kiedy dokładnie wykształcił w sobie ten tik.

- Oczywiście. - Bierze ojca pod rękę, przypatrując się mu.

Pożółkłe włosy starca płaczą się w nieładzie, opadając na kark. Mleczny zarost jest niechlujnie przycięty. Paznokcie są zapuszczone, zaś niebieska piżama - wymięta i w plamach.

Darrena najbardziej cieszy fakt, że Simon dogorywa w zapomnieniu, jak smok o przebrzmiałej złej sławie, który na wieki utknął we własnej pieczarze. W jadłospisie bestii, w miejsce rycerzy i księżniczek, widniały małe dziewczynki.

- Tutaj śpię, w tym pokoju. - Simon wskazuje na obdrapane drzwi na końcu wąskiego, zagraconego korytarza.

Darren zaczyna się pocić.

Nie może być gorzej! To drzwi prowadzące do TEGO pomieszczenia! Do Bawialni Zwierzęcia!

Przeszłość materializuje się na jego oczach. Choć odarta z pierwotnej grozy, wywołuje w Darrenie znajome klucie w podbrzuszu, kiedy przekracza próg pokoju.

Żółta tapeta w czerwone kwiaty spłowiła. Odchodzi płatami od ścian, odsłaniając brudny tynk. Nagi parkiet pokrywają wżery po niezidentyfikowanych substancjach. Darren wiele godzin spędził na kłęczkach, dbając o czystość podłogi. Simonowi, jak widać, przestało na tym zależeć. Musiał dawno porzucić zabawy - choć raczej nie z wyrzutów sumienia.

Marne pocieszenie. Nic nie wyrzuci z pamięci Darrena tekstu Pieśni Godowej Zwierzęcia:

*Szarpie się z płaczem ludzka dzidzia mała,  
Bo w łapy sprytnego Zwierzęcia się dostała!  
Jesteś daleko od domu i swojej rodziny,  
Zaraz się razem miło zabawimy!*

Nie jest w stanie przypomnieć sobie melodii. W jej miejsce słyszy natrętne tykanie oraz wizg wiertarki Terapeuty.

- Twoje ego się rozpadnie. Staniesz się Obserwatorem Idealnym, widzem swojego uciekającego życia. Takim, jakim byłeś w przeszłości. - Simon Weston, charcząc, powtarza słowa Mistrza. Uważnie zagłębia synowi w bładoniebieskie oczy. Dostrzega w nich własne odbicie.

Kończyny Darrena drętwieją. Musi podeprzeć się o ścianę, by nie upaść.

Nie słyszysz niczego poza charkotem chorego starca. Nie należysz już do tego miejsca!

Dotyka plecami tej wstrętnej tapety. W nozdrzach znów czuje zapach krwi. Oddycha głęboko i przeciągle.

- Mike? Coś się stało? - pyta z troską Simon, dotykając jego ramienia. Dla Darrena nigdy nie był sympatyczny.

- Nic wielkiego. Duszno tu. - Mężczyzna z wysiłkiem okiełznuje myśli. - Otworzę okno.

To nie jest Bawialnia Zwierzęcia.

To Komnata Prawdy.

Darrenowi wraca pewność siebie. Zaczyna czuć podniecenie, największe gdzieś pośrodku głowy.

Komnata Prawdy. Darren stanie się jednocześnie lustrem i odzwierciedleniem.

Oczyszcza ją z odoru leków, starości i śmierci, po czym aplikuje choremu zastrzyk sprowadzający na niego upragniony sen. Pacjent bez protestów poddaje się iniekcji. Po to pielęgniarz tu jest - by wybawić go od fizycznej udręki. Porozmawiają, gdy Simon wypocznie. Ustalą plan wizyt i dawkowanie specyfików. Zapewne poprosi go o morfinę. Michael obiecał, że w międzyczasie posprząta mieszkanie. Jest miły i troskliwy, ma serce do tej pracy.

Nim Simon się obudzi, Darren przygotuje rekwizyty do upragnionego aktu miłosierdzia. Większość z nich powinien znaleźć w łazience.

Toaleta w królestwie Zwierzęcia jest obskurną klitką z brązową szmatą zwisającą z prysznicą, pękniętą umywalką i dawno nieczyszczonym sanitariatem. Darren spogląda w niewielkie lustro zawieszane nad zlewem, upstrzone licznymi śladami palców domownika. Cholernie nie podoba mu się postać, którą w nim widzi.



Dentystyczne nakładki czynią jego drobne, ostro zakończone zęby szerokimi, a uśmiech - nieforemny i brzydkim. Włosy, wysmarowane żelem i rozjaśnione farbą w odcieniu jasnej miedzi, bezlitośnie uwypuklają ował twarzy. Nałożył białe spodnie oraz fartuch pielęgniarza, zakupione w medycznym sklepie. Kamuflaż ma mu pomóc zachować dystans wobec ojca i sytuacji, w jakiej za chwilę obaj się znajdą. Nie myśli jednak o czynniku ludzkim. Ten brak refleksji odróżnia Darrena od jego Mistrza.

Nakłada rękawiczki i wnosi do Komnaty Prawdy miski z wodą. Niestety w całym domu znajduje tylko dwie. To za mało. Gromadzi więc kilka wypełnionych słoików.

Nie bez trudu podkłada pod nogi materaca, na którym śpi Simon, kilka solidnie oprawionych woluminów z jego biblioteki. Ciało Zwierzęcia jest teraz nachylone pod kątem dwudziestu stopni. Idealnie.

Darren zdejmuje ze śpiącego pościel i otula go grubym kocem. Na tej izolacji zaciska na piersiach i biodrach Simona pasy, których używał do poskramiania czworonożnych pacjentów. Od opuszczenia Bostonu nie rozstaje się z weterynaryjną torbą. Ma w niej wszystko, co może pomóc mu w byciu miłosiernym wobec ojca.

Zatyka Simonowi usta i nos ręcznikiem, i obficie polewa je wodą z pierwszego słoika. Mężczyzna, wyrwany z narkotycznego snu, zaczyna się dławić, jak każdy człowiek poddany torturze podtapiania.

Bulgocze w dobrze znanym Darrenowi języku. Języku przerażenia i szoku. Języku ofiar.

Zwierzę szamocze się w Komnacie Prawdy. Niestety, w miejscu opanowanego Inżyniera Naprawy znajduje się butny mściciel.

Podniecenie Darrena opada. Teraz wściekłość ryje jego mózg jak pozbawiony kontroli buldożer. Ora go głęboko, zostawiając za sobą krwawe ślady.

Darren nie chce słuchać błagań ojca, zalewa go kolejnymi haustami. Dzięki nachyleniu ciała Simona woda nie spływa mu do płuc. Pozostaje w

gardle, zatokach i ustach. Mężczyzna myśli, że tonie, ale wciąż jest przywracany do życia.

Przy pierwszej serii tortur udaje mu się utrzymać świadomość przez kilka sekund - wystarczająco dużo, by przez jego mózg przemknęły dwie myśli. Pierwsza, że dał się podejść Darrenowi, że sen, który go nawiedza od lat jak krwawa zjawa, o stanięciu twarzą w twarz z dorosłym synem, urzeczywistnia się. Druga bezdusznie uświadamia mu, że nie doczeka następnego poranka. Kolejne serie wyłączają Simonowi świadomość po dwóch, trzech sekundach. Bólu, który odczuwa przy podtapianiu, nie da się porównać nawet z zzerającym go nowotworem.

Małoletnie ofiary Zwierzęcia przestają cokolwiek znaczyć dla Darrena. Liczy się tylko odtrącony chłopiec, skazany przez Zwierzę na szpital dla czubków.

Simon nie docenił jego ochrony przed demaskacją zabaw, nie pochwalił sprytnego pozbycia się kuzynki. Nigdy nie padło z jego ust dobre słowo pod adresem syna. Nawet teraz skurwiel jest miłszy dla obcego - pielęgniarza Michaela!

Będziesz cierpieć! Oddam ci wszystko z nawiązką!

Darren zagryza wewnątrz policzków do krwi. Przed oczami zaczynają mu fruwać pojedyncze czerwone iskry. W jego głowie wiją się myśli, z których jedna jest jadowitsza od drugiej. Myśli o nożu, który trzyma we własnej torbie, i o szkicach z kalendarza.

Ugniata Zwierzęciu kościsty łeb. Chwyta za jego wydatny nos i łamie go potężnym szarpnięciem. Z rozdętych nozdrzy obficie puszcza się krew. Darren macza w niej palec i oblizuje go ze słodkiej posoki.

ZŁY.

Siada okrakiem na Zwierzęciu i naciska palcami na jego gałki oczne, usiłując wepchnąć je do wnętrza czaszki potwora. Oczy są miękkie jak galareta.

ZŁY.

Wyciąga z torby nóż i rozcina nim brzuch Zwierzęcia. Zagłębia dłonie w parującym korpusie Zwierzęcia i wywleka z niego sznur niebieskich jelit. Wielokrotnie uwieczniał ten moment w swoich szkicach.

ZŁY.

Kastruje mężczyznę jednym pociągnięciem noża i rzuca genitaliami o ścianę, zostawiając na kwiecistej tapecie mokry ślad.

ZŁY.

Eksplozje czerwonych iskier przysłaniają Darrenowi widoczność i odbierają mu rozum.

Przymyka oczy. Wyobrażenia o rytualnym mordzie Zwierzęcia znikają.

Osuwa się na kolana. Gdy przetyka ślinę, czuje w gardle łzawą sól. Spogląda na rękawiczki. Naciąga je mocniej na dłonie, po czym zaciska pięści. Przez ułamek sekundy zdaje się mu, że są one, jak u Terapeuty - czarne. W głowie słyszy jego głos.

Musisz dokonać wyboru. Musisz zdecydować się na ten właściwy. Nie podpowiem ci, jaki. To twoje Zwierzę. Ty będziesz wiedział najlepiej.

Słowa Mistrza dudnią mu w uszach głębokim basem. Przyłapuje się na tym, że szczeka zębami.

Terapeuta stoi tuż obok łóżka Simona, w zakrwawionym kitlu chirurga i czarnych rękawiczkach, z zastygłymi rysami i dotkliwie ostrym wzrokiem. W jego oczach płoną czerwone iskry.

To, czemu stawiasz opór, będzie trwać w tobie najmocniej.

Weston zaciska mokre dłonie na rozpalonych skroniach. Halucynacje ustępują.

- Darrenie, wiem, że to ty. - Cieniutki szept unosi się znad łóżka. - Zabij mnie. Wiem, że tego pragniesz. Wybaczam ci...

- Zwierzę! - Darren doskakuje do twarzy ojca, nie zastanawiając się, czy słowa, które usłyszał, naprawdę wybrzmiały z ust Simona, czy były kolejnym omamem. - Zwierzę, Zwierzę! - syczy. Opróżnił zawartość słoików i misek, a ono wciąż dyszy! Niepozostawiająca zewnętrznych

śladów na ciele tortura podtapiania nie okazała się, jak zakładał, śmiertelna.  
- ZWIERZĘ! - Przykłada poduszkę do twarzy Simona. - Zwierzę! - Nie potrafi wydusić z siebie innego słowa, choć w jego mózgu eksplodują fajerwerki tyrad, jakie mógłby wykrzyknąć Zwierzęciu w jego oblesny pysk.  
- Zwierzę... - Policzki Darrena orają słone krople.

Odrywa poduszkę od głowy Simona. Wyniszczona chorobą, pożółkła i pognieciona jak papier twarz starca jest spokojna, jakby w ostatniej godzinie życia pogodził się z wyrokiem śmierci zadany ręką syna - i uznał go za sprawiedliwy. Bładoniebieskie tęczęwki mężczyzny zachodzą mleczną mgłą. Zabiera go w posiadanie śmierć, dzika, pierwotna i mściwa, będąca odbiciem tego, jak żył przez wiele lat i w jaki sposób odnosił się do innych.

Darren podrywa się z klęczek. Jak w transie zdejmuje z ciała Zwierzęcia pasy i koc. Uprząta książki spod materaca i okrywa nieboszczyka pościelą. Zacierając ślady swojej obecności, działa jak automat.

Czuje się gorzej niż źle. To przecież miał być jego akt miłosierdzia! Wygląda na to, że stało się inaczej. Zwierzę odebrało mu prawo do odwetu!

Darren gorąco liczył na strach Zwierzęcia, na jego zaklinanie i łzy. Na własny tryumf i manifestację słabości Simona. Rozkoszował się tymi wizjami po nocach. Odmalowywał je w wyobraźni nawet podczas pracy. W miejsce spełnienia otrzymał coś innego, co zamiast ulgi i spokoju napełniło go gniewem.

Przebaczenie.

Ojciec zwyciężył nad nim po raz kolejny, tym razem ostatecznie.

To nie tak miało się skończyć! Darren miał czuć satysfakcję z wyboru. Jedyne, co teraz czuje, to gniew, w dodatku silniejszy niż za życia Simona.

Swoboda wyboru jest wolnością najtrudniejszą. Darren nie dopuszcza do siebie myśli, że może wybrał niewłaściwie.

# 14

Pierwszą noc po zabójstwie Zwierzęcia Darren spędza na leśnym parkingu. Wpatruje się w pomarańczowy księżyc wiszący nisko nad drzewami jak zły omen. Nie potrafi się rozluźnić. Nerwowo skacze po kanałach radiowych, na próżno nasłuchując informacji o zgonie starszego pana z przedmieść Cleveland.

Sanitariusz, za którego się podawał, miał pojawić się późnym popołudniem.

Niemniej Darren jest jedynym potomkiem i spadkobiercą Simona. Policja tak czy inaczej będzie go szukać. Wielokrotne zmiany miejsca pobytu oraz nagła likwidacja lecznicy wzbudzą podejrzenia służb. Jeżeli dotrą do dokumentów ze szpitala psychiatrycznego, wpłacze się w niemałe kłopoty. Simon mógł posiadać ich kopie. Darren jednak nie miał czasu na przeszukanie domu.

Gdybanie niczego nie wyjaśni. Darren musi pozwolić emocjom okrzepnąć.

Z dna torby wyjmuje kalendarz. Wyrywa kartkę i szkicuje na niej to, co przynosi mu ulgę - sporządza portret pamięciowy Mistrza.

Głęboko osadzone, ciemnobrązowe oczy. Prosty nos. Wydatnie zarysowana szczęka. Czarne włosy bez cienia siwizny. Wąskie usta. Zdrowe, równe uzębienie. Nieprzeciętnie blada twarz.

Oczy Mistrza Darren rozpozna wszędzie. To właśnie je najczęściej obserwował znad chirurgicznej maski. Usta Mistrza mogły się śmiać. Oczy nie uśmiechały się nigdy.

Znużony weterynarz osuwa się w samochodowym fotelu i zasypia. Śni mu się czaszka pawiana, płacząca krwią z przepełnionych posoką oczodołów. Szczeka zwierza grzechocze prześmiewczo w rytm dźwięków imitujących głos Mistrza:

Nie uciekniesz, Darrenie, przed sobą. Nie uciekniesz.

Darren, wyrwany z koszmaru przez koguty przejeżdżającej karetki pogotowia, długo nie może złapać tchu, jakby przebito mu naraz oba płuca. Do jego twarzy przykleił się arkusz ze szkicem - wygnieciony, zachlapany śliną. Zwija go i wciska do kieszeni.

Czym prędzej powinien opuścić Cleveland. W najgłębszą noc rusza w drogę powrotną do Bostonu autostradą międzystanową numer dziewięćdziesiąt. Przekracza granice hrabstw i stanów, z każdym przejechanym kilometrem uciekając od przeszłości. Żywi się na stacjach benzynowych, sypia na parkingach. Co jakiś czas całkowicie wymienia garderobę. Zużyta odzież niszczy lub porzuca na śmietniskach. Przed wjazdem do Massachusetts pozbywa się także auta.

Wyjął z bagażnika czaszkę pawiana i rozłupał ją kluczem do kół, zaczynając od rozkruszenia kłów. Kilka potężnych ciosów przeniosło małego bożka w niebyt - tam, gdzie posłał ojca. Odłamki kości Darren wrzucił do sadzawki, przy której zrobił postój. Jej zielone, gęste od glonów wody łapczywie pożarły zwierzęce szczątki. Oby nikt nigdy ich nie wyłowił.

Mężczyzna przebrał się w czarną koszulkę, kurtkę i spodnie w kolorze khaki oraz wysokie, solidnie podkute buty. Pokrowiec ze strzelbą przewiesił przez plecy. Resztę potrzebnych rzeczy wepchnął do torby. Ostatnią z koszul umieścił we wlewie paliwa i podpałił.

Woń chemikaliów towarzyszy Darrenowi przez całe życie. Zaczął nimi pachnieć długo przed rozpoczęciem studiów, kiedy ojciec zapoznawał go ze składem różnorodnych substancji - oraz ich wpływem na wszystko, co żyje.

Wspomina sekcję żaby pod okiem Simona, przed którą zapomniał o jej uśpieniu. Szpera głębiej w pamięci. Nie zapomniał, lecz w obecności ojca

umyślnie zaniechał narkozy. To Simon potraktował płaza chloroformem, nim ostrze skalpela przecięło jego brzuszek.

Darren gładził blizny na brzuchu, patrząc na rozpadający się szkielet samochodu. Zafascynowany, nie oderwał wzroku od rozwścieczonych płomieni. Ogień jest czystą destrukcją.

\*\*\*

Od kilku dni wlecze się poboczami. Narzucił sobie tę pielgrzymkę, żeby wyklarować myśli. Zawierza je drodze, która ma przynieść mu ocalenie. Każdemu ocaleniu towarzyszy przecież jakaś droga. I zawsze jest to przeprawa przez takie czy inne cierpienia - inaczej ocalenie straciłoby sens. Stałoby się bezwartościowym podarunkiem od kapryśnej fortuny. U celu tej drogi Darren spotka swojego Terapeutę.

Nastroje weterynarza zmieniają się cyklicznie. W jednej godzinie szlifuje w głowie przemówienie, które wygłosi Mistrzowi. Wyobraża sobie, jak ten składa mu gratulacje z racji ukarania Zwierzęcia. Winszuje sprytu, z jakim podszedł Simona. Z najwyższą aprobatą wyraża się o sposobie utylizacji potwora. To podniecenie raptownie przechodzi w strach. W obawę przed odmienną reakcją Terapeuty, przed jego zdradą i, co najgorsze, wyśmianiem. Darren z furią tłumi w sobie te odczucia. Nie mógł postąpić inaczej! Mistrz właśnie tego od niego oczekiwał: fizycznej rozprawy z Simonem!

Powinien być gotowy zarówno na akceptację, jak i na odrzucenie ze strony Marvina. Przyjęcie obu scenariuszy pozwoliłoby mu doświadczyć upragnionego spokoju. Darrenowi daleko jednak do postawy stoika, godnej chociażby Marka Aureliusza.

Wędrowiec wreszcie poddaje się zmęczeniu. Z obu stron las zdaje się napierać na szlak, poboczem którego idzie mężczyzna. Z każdym krokiem ciężar torby niemal łamie mu kręgosłup, a strzelba uwiera w plecy podczas

kolejnego cholernego wdechu i wydechu. Ma na sobie cały dobytek. Nie może go porzucić.

Siada na żwirze i opiera zbolące plecy o bagaż. Wyjmuje z kieszeni zmięty portret Mistrza. Twarz ze szkicu zdaje się do niego uśmiechać. Darren odwzajemnia grymas. Wpatruje się w rysunek, stopniowo zapadając w sen. Ciepły wiosenny wiatr smaga Darrenowi policzki.

Co jakiś czas ze świstem mijają go samochody. Kierowcy nie dostrzegają piechura lub zwyczajnie nie chcą się zatrzymać przy niebezpiecznie wyglądającym samotniku.

Zwie-rzę, Zwie-rzę, Zwie-rzę...

Zlepek sylab boleśnie przecina jego mózg.

Zwie-rzę, Zwie-rzę, Zwie-rzę...

Darren z wysiłkiem otwiera oczy. Zaspany, usiłuje wysupłać z siebie logiczną myśl.

Zatrzymał się przed nim niebieski ford. To ryk silnika weterynarz uznał za prześladowające go słowo. Nie przewidywał żadnego towarzystwa!

- Potrzebuje pan pomocy? - Pochyliła się nad nim młody mężczyzna, z żółtawą, milimetrową uwłosioną powłoką na głowie i różową blizną na policzku, ciągnącą się od prawego ucha aż po kącik oka. Jest ubrany w czarną skórzaną kurtkę, glany i poprzecierane dżinsy.

- Nic mi nie jest. - Darren odwraca się, aby ukryć strzelbę. Broń pechowo wysunęła się ze źle zapiętego pokrowca. - Dziękuję za troskę.

Ukradkiem zagląda do środka pojazdu. Dostrzega w nim dwudziestokilkulatkę z różowymi słuchawkami walkmana na uszach i dwójkę około sześciolletnich roześmianych dziewczynek przyklejonych nosami do szyby. Jedna z nich przypomina Darrenowi kuzynkę Ally Price. Druga niebieskooką, głuchoniemą dziewczynkę, którą uwolnił z łapsk Zwierzęcia. Dotyka skroni i przymyka powieki. Wrażenie na szczęście przemija.



- Jeremy! - Pasażerka próbuje wciągnąć ofiarnego kierowcę do auta. - On ma broń!

- Niech się pani nie boi. - Darren uspokaja dziewczynę. Sam dobrze wie, jak wygląda i jakie może wzbudzać podejrzenia w tym stroju. - Jestem weterynarzem. - Wskazuje na torbę. Z niechęcią wyłuskuje dokumenty. - Nagła interwencja, zagrożenie życia. - Wzrusza ramionami. - Wścieklizna. Jechałem na złamanie karku. Mój wóz tego nie wytrzymał - tłumaczy.

Dziewczyna oddaje mu papiery. Jego nazwisko nic jej nie mówi.

- Podwieziemy pana do miasta, prawda, Holly? - Jeremy czule obejmuje partnerkę, łamiąc jej opór. - Będziemy kibicować w maratonie. Święto za parę dni. Dziewczynki uwielbiają sztuczne ognie.

- Zgoda. - Holly niechętnie ustępuje Jeremy'emu. - Ale facet nie będzie trzymał broni przy dzieciach - szepcze. - Przechowamy ją w bagażniku.

Darren przystaje na oferowane warunki podróży. Otula go ciepło, kiedy sadowi się w wygodnym fotelu obok kierowcy. Holly przesiada się, izolując go od dziewczynek. Te z niezdrową ciekawością przyglądają się nieznanemu w znoszonej brudnozielonej kurtce i zabłoconych buciorach, z gęstym zarostem, który zakrywa większą część jego twarzy.

- Jeremy. - Kierowca przyjaźnie wita się z Darrenem, w przeciwieństwie do nieufnej pasażerki. - Holly już znasz, a dziewczynki to Emma i Susan, siostrzenice narzeczonej. - Podaje mu dłoń, usianą licznymi czerwonymi plamkami, o guzowatym, zgrubiałym naskórku. - Za trzy godziny będziemy na miejscu.

Ruszają.

Darren wyczerpująco odpowiada na pytania pasażerów. Niemądrze jest podróżować z nieznanym bez zagajenia grzecznościowej rozmowy. Dyżurnym tematem, prócz pogody, jest zawsze codzienność. Darren opowiada o ciekawych przypadkach, z jakimi spotkał się w weterynaryjnej praktyce.

Zaczyna padać. Ford niepewnie trzyma się drogi zalewanej ukośnymi smugami deszczu.

Jeremy wystukuje pokierszowaną ręką rytm piosenek U2 Gloria i New Year's Day. Pyta pasażera o ulubioną muzykę. Darren odpowiada, że jest nią cisza, choć w uszach zaczyna podzwaniać mu rymowanka Zwierzęcia.

Cisza. Jeremy docenia ją jak mało kto, choć robi to dopiero od roku.

Przez ten czas w pełni zintegrował się z okaleczoną dłonią, z Prawdziwie Męską Dłonią Jeremy'ego. W skrytości uczynił z kończyny talizman. Gdy tylko spędza noc w samotności, odgrywa rytuał: łączy palce na kształt trójkąta i dotyka nimi okolic brzucha, szczęki oraz czoła. Czuje się nieswojo, kiedy przynajmniej raz w tygodniu nie odprawi tych czarów. Prawdziwie Męska Dłoń Jeremy'ego zazdrośnie domaga się uwagi. Proces „wykuwania jej” przełamał życiowe „przedtem” i „potem” Jeremy'ego nieusuwalną cezurą. Jeremy nie poznał tożsamości mężczyzny, który nadzorował ten proces. Domyśla się tylko, że jest lekarzem, prawdopodobnie chirurgiem. Tyle wiedzy wystarczy na jego temat Jeremy'emu. Nie zamierza spotykać go ponownie.

||

# 15

Rok wcześniej.

Obiekt Numer Jeden

Jerry Savage próbuje się podnieść, ale ciało go nie słucha. Chciałby poruszyć palcem, choć odrobinę, ale ten ani drgnie. Mężczyzna leży otoczony czymś miękkim i ciepłym, czymś ciasno przylegającym do skóry. Jest mu przyjemnie w tym dziwnym śpiworze. Mógłby w nim zostać przez długi czas. Czuje się bezpiecznie w takim stanie zawieszenia. Może po prostu sobie trwać, jak poczwarka w kokonie: w ciszy, ciepłe i apatii.

Pod jego powiekami co jakiś czas migają kleksy ze światła. Są rytmiczne, niczym uderzenia serca. Jerry nie wie, skąd pochodzą, ale wraz z ich pojawieniem się stopniowo zanika jego spokój.

Mężczyzna wkracza w fazę odzyskiwania przytomności. Intensywnie mruga powiekami. Marvin na razie usuwa się z jego pola widzenia - jeszcze nie czas na ich ponowne spotkanie. Obiekt powinien najpierw oswoić się z otoczeniem.

Jerry otwiera oczy i obraca nimi we wszystkich kierunkach. Zielono-białe plamy z żółtymi refleksami wirują nieprzyjemnie. Wraz ze wzrokiem aktywują się pozostałe zmysły i do mężczyzny dociera fakt, że leży na obszernym łóżku, prawdopodobnie szpitalnym. Przekręca głowę, aby ogarnąć jak największą część własnego ciała. Jego ręce są skrępowane, podobnie jak nogi. Jerry to czuje. Jest ubrany w cienką, szpitalną koszulkę. Od klatki piersiowej w dół przykrywa go gruby koc.

Skąd te więzy? Może miał wypadek, gdy jechał z traperem, i w szoku pourazowym utrudniał medykom pracę...?

Traper. Pod powiekami przebłyskuje Jerry'emu postać w czarnej kurtce z postawionym kołnierzem, w skrywającym twarz kapturze i lustrzankach. Gwałtownie zatrzymał przed Savage'em potężną terenówkę, aż opryskała go śniegiem. Wychylił się z auta i zapytał Jerry'ego o najbliższy nocleg.

W ostatnich tygodniach było cholernie zimno. Przy tych temperaturach gruchot Jerry'ego odmawiał posłuszeństwa, więc Savage dojeżdżał do pracy autobusem. Był w połowie drogi z przystanku do domu, która prowadziła przez zaśnieżone nieużytki. Zmarzł, a nieznajomy zaproponował kawę z termosu. Jerry udzielił facetowi wskazówki, o którą prosił, i poczęstował się napojem, z grzeczności.

Świat momentalnie zawirował. W porażającej wzrok bieli wszystko traciło ostrość. Ostatnie, co chłopak pamięta, to obszerna kanapa w aucie traperera. Objęło go ciepło, a zaraz po nim mocny sen.

Savage nagle dostrzega rzędy potężnych, błyszczących haków ciągnących się wzdłuż ścian, a zaraz potem komunikat ze stojącego na telewizorze kwiatka-spinacza: WITAJ, JERRY. CIERPISZ NA POWAŻNĄ CHOROBE.

Zaczyna krzyczeć głośno i bezrozumnie, jakby miał nigdy nie przestać.

Po kwadransie z wyczerpaniem opada na łóżko. Koc zsunął mu się poniżej kolan i teraz Jerry odczuwa bolesny chłód. Najgorszy jest jednak ucisk przepelnionego pęcherza. Wizja spoczynku wśród własnych nieczystości skłania go, mimo paraliżu strachem, do działania.

- Halo! Jest tam ktoś?! Niech ktoś się odezwie! - nawołuje. - Błagam!

Marvin stoi za ścianą i patrzy na zegarek. Daje Jerry'emu czas, żeby ten wystękał litanie do zbawcy od nieznanej choroby, zimna i cholernej niedogodności pęcherza.

Kiedy objawia się obiektowi, wyglądem wzbudza w nim i zgrozę, i nadzieję. Jest ubrany w zielony kitel chirurga z krótkimi rękawami. Twarz zasłania maska, oczy - gogle. Jednak największą uwagę Jerry'ego przykuwają

dłonie mężczyzny w czarnych rękawiczkach z lateksu. O ile sobie przypomina, lekarze noszą białe. Nigdy nie spotkał się z czarnymi.

Jerry'ego nawiedza myśl o poważnej chorobie, równie niepokojąca jak kolor rękawiczek domniemanego medyka.

- Jest pan lekarzem? - pyta, pragnąc nawiązać z obcym kontakt.

Marvin potakuje.

- Gdzie jestem, w szpitalu? Co mi jest? Wypiłem kawę i poczułem się źle... - Umysł zawsze szuka racjonalnych wytłumaczeń - do czasu, aż wszystkie możliwości się wyczerpią.

Doktor nie reaguje na potok słów. Podchodzi do kwiatka-spinacza i wymienia w nim kartkę z napisem. Potem opuszcza piwnicę.

Jerry jest skonsternowany. Na kwiatku dostrzega słowa: **WCIAŻ MOGĘ CIĘ WYLECZYĆ.**

Irracjonalna część jego umysłu pragnie zaufać Marvinowi, skoro tamten twierdzi, że jest lekarzem. Ta racjonalna sugeruje ostrożność. Do tego niepozorne słowo „wciąż” nie daje mu spokoju. Ono znaczy, że jego wyleczenie jest zależne od czasu. Ten płynie. W każdej chwili może wybić godzina, w której będzie dla Savage'a za późno.

Milczenie doktora i przymus czekania na jego reakcję są coraz uporczywsze, szczególnie dla pęcherza Jerry'ego. Nie chcąc zabrudzić łóżka, przywołuje mężczyznę. Sprawy dzieją się za szybko, aby mógł przerazić się albo zaprotestować, kiedy czarna dłoń bezceremonialnie chwyta jego przyrodzenie i umieszcza je w kaczce. Pęcherz otrzymał sygnał do rozluźnienia. Jerry doznaje ulgi.

Doktor znów podmienia wiadomość w spinaczu. Tym razem komunikatem jest: **GOTOWY NA TERAPIĘ?** Jerry'ego zaczyna dręczyć myśl, że brak zgody wywoła represje w postaci zaniechania nad nim opieki. Wystawi się na śmierć z pragnienia. Chcąc nie chcąc, musi być gotowy na wszystko, co ten osobnik w kitlu dla niego zaplanował.

Ciągnące się odosobnienie doprowadza Savage'a do szału. Zaczynają nękać go myśli: złe, przerażające, będące nieuporządkowanym chaosem. Czerń jego więzienia jest tak intensywna, że zdaje się absorbować powietrze.

Umrze, jest tego pewien. Umrze za nic; umrze dla zasranej rozrywki tego popaprańca. Okoliczni mieszkańcy odnajdą jego zwłoki, na wpół zjedzone przez wilki i lisy. Albo gorzej, natura sama rozłoży jego ścierwo. Pochłonie je ziemia, z której drzewa będą wysysać soki. Marny kres przegranego życia Aniołka Jerry'ego, do którego nie pasuje nawet nazwisko.

Upiorne myśli skaczą po głowie Savage'a jak sadystyczne chochliki.

Marvin czeka dwa dni, nim pojawi się u pacjenta z butelką wody. Podchodzi do kwiatka, nagina palcem główkę z kartką i wyczekująco marszczy czoło. Wciąż nosi maskę i gogle.

Ślinianki Jerry'ego zaczynają intensywnie pracować. Przez jego gardło przechodzi fala kurczy.

Doktor potrząsa butelką i podnosi ją w górę w geście toastu.

GOTOWY NA TERAPIĘ? Drewniany kwiatek smętnie kiwa się od lewej do prawej. Savage potakuje. Pragnienie jest zbyt silne, by się buntować.

Marvin cierpliwie poi go małymi łykami, ale wciąż milczy.

Po kolejnych czterdziestu ośmiu godzinach wraca, aby nakarmić Jerry'ego zupą. Pacjent łapczywie zlizuje zawartość łyżki. Gdy kończy posiłek, doktor podsuwa mu basen. Bezwolny Jerry pije, je i wypróżnia się na nieme rozkazy Marvina. Nie będzie łatwo zamienić go w Mężczyznę. Na razie zostawi obiekt w samotności i mroku na kolejne trzy dni.

Przedtem umieszcza w kwiatku kolejną wiadomość. Jej treść brzmi: UCIECZKA.

Przy ponownym spotkaniu serwuje Jerry'emu przymusową narkozę. Podczas studiów, gdy asystował przy znieczuleniach, Marvin nabrał zwyczaju liczenia do dziesięciu, aby wiedzieć, po ilu sekundach pacjent

zapadnie w sen. Jerry usypia, gdy doktor wyobraża sobie szóstkę. Teraz może przygotować obiekt do pierwszego etapu Naprawy.

Gdy Savage jest przyszykowany, Marvin usuwa podpórki spod kółek i pcha łóżko - pozbawione już lokatora - w kierunku wyjścia. Na końcu wnosi do Laboratorium trzy kilkunastokilogramowe, pełne jutowe worki. Smaruje podłogę klejem budowlanym, aby ich zawartość mocno trzymała się powierzchni, gdy rozsypie ją gęsto po posadzce. Niebawem Jerry się obudzi i z pewnością będzie przeklinał, gdy zobaczy wydatną zmianę w otoczeniu. Może zacznie krzyżeć. Albo po prostu zapłacze.

W słabnącej narkozie Savage rozluźnia mięśnie i rozciąga grzbiet niczym kocur. Coś jednak blokuje mu ręce. Usiłuje je wyswobodzić - na próżno. Gdy rozprostowuje nogi, jego stopy trafiają na dokuczliwe drobinki bólu. Jerry podkurcza kończyny i wygina plecy w łuk.

Wreszcie narkoza wypuszcza Savage'a z objęć. Nie znosi takich przebudzeń: ciężkich, wyrwanych z naturalnego cyklu snu i czuwania.

Marvin, oparty o framugę laboratoryjnych drzwi do wolności, obserwuje pobudkę pacjenta. Jerry z osłupieniem dostrzega, że podłoga wokół niego nabrała chropowatych, błyszczących wypukłości. Impuls, że ma swobodę ruchu i nie jest przywiązany do łóżka, gaśnie jak przepalona żarówka, kiedy chłopak zdaje sobie sprawę, co w istocie go otacza.

Szkło, pomieszane z solą i potłuczone na milion kawałków. Kiedy spał, ten szalenciec zasłał podłogę kaleczącym dywanem!

Marvin pokazuje pacjentowi kwiatek-spinacz z napisem UCIECZKA, potem wchodzi na najeżoną szklę podłogę. Jerry słyszy bolesne chrupanie, gdy odłamki pękają pod naciskiem solidnych, podkutych butów doktora.

Marvin staje w połowie drogi między Savage'em a drzwiami. Jerry po raz pierwszy widzi go w zwyczajnych dżinsach i koszulce. Na nogach ma cholerne myśliwskie buty.

Pasuje do rysopisu trapera. Jest dość niski i ma zadbaną sylwetkę. Nie widać po nim wieku, choć Jerry szacuje, że mężczyzna ma około



czterdziestu lat.

- Jerry. Jeremy Savage. - Doktor wywołuje obiekt. - Całe twoje życie było i jest ucieczką. Masz okazję, aby zrobić to, co potrafisz najlepiej. Zaczynaj biec. Śmiało, uciekaj!

Jerry wzdraga się, słysząc swoje pełne imię.

- Nie! - protestuje. - Nie ruszę się stąd! I tak mnie nie wypuścisz! Przynajmniej zaoszczędzę sobie bólu!

- Nie byłbym tego pewny, Jerry. - Marvin patrzy na zegarek. - Niedawno dostałeś zastrzyk, pamiętasz? Usnąłeś po nim. - Zapłata ręce na piersi. - Ten zastrzyk zawierał toksynę. Gdy zacznie działać, umrzesz na skutek krwotoku. Będziesz krwawić ze wszystkich otworów ciała. Nawet z oczu, czerwonymi łzami, jak posągi świętych.

- Pierdol się, wariacie! Nie będę z tobą współpracować! - krzyczy Jerry, wciąż nie wierząc w realność sytuacji, w jakiej się znalazł. Tu musi być jakaś ukryta kamera, jakiś pieprzony reality show, w którym Jerry ma odegrać narzuconą mu najbardziej niewdzięczną z ról - rolę ofiary. Za chwilę padnie komenda: „cięcie!” albo „stop klatka!”. Tylko dlaczego trafiło na niego?!

Jesteś jak drzewo, które zapuściło zbyt płytkie korzenie. Byle podmuch wiatru może cię złamać. Może to jest właśnie ten cholerny powód, Aniołku Jerry?!

Doktor cierpliwie czeka na wyciszenie się pacjenta. Faza buntu, choć naturalna, z czasem minie.

- Zostań tam, gdzie jesteś, to się przekonasz. Umrzesz w męczarniach. Mówię ci to jako lekarz - odpowiada spokojnie. - Ale możesz przejść po szkle, aż za drzwi, gdzie czeka antidotum.

- Łżesz! Nie wierzę ci... - Jerry'emu łamie się głos. Dociera do niego, że stoi wobec prawdy: jest ofiarą szaleńca.

- Żegnaj, Jerry. - Marvin idzie do wyjścia. - Nie będę patrzył, jak się wykrwawiasz. - Znika za drzwiami.

Jerry zostaje sam, otoczony solą, szkłem i krążącą w żyłach trucizną. Czeka na śmierć, równie beznadziejną jak większość jego życia. Nie jest na nią gotowy. Ma przed sobą zaręczyny z Holly. Planowali je, gdy dziewczyna ukończy studia w Dartmouth. Za pół roku.

W Jerry'ym budzi się najpierwotniejszy z instynktów. Ten, który podpowiada mu, że musi skoncentrować się na jednym celu: przetrwaniu. Kiedy nie ma się wyboru, życie staje się prostsze. Osłabiony narkozą i głodem ma jednak trudności z podniesieniem się z podłogi. Związane z tyłu ręce nie stanowią dobrego balansu dla ciała.

Savage podkurcza nogi i zapiera się plecami o ścianę. Poci się z wysiłku, ale przynajmniej mu się udaje. Z wolna prostuje nogi, kiedy czuje, jak w łydce rodzi się kurcz. Z wrzaskiem przechyla się wprzód, wprost na odłamki, ale nie dotyka ich ciałem.

Marvin przybywa w porę - chwytając obiekt pod brodą, ratując go. Drugą ręką łapie Jerry'ego za koszulkę i podciąga pacjenta do pionu. Chłopakowi brakuje tchu, ale kiedy się prostuje, kurcz zaczyna odchodzić.

- Gotowy na spacer?

Jerry kaszle twierdząco.

- Świetnie. Cenię rozsądek. - Doktor chwytając Jerry'ego za związane na plecach przeguby. - Teraz zrobisz dwa kroki, aby wejść na szkło. Potem cię puszcze i będziesz iść sam. Wbrew pozorom skóra jest dość elastyczna. To od ciebie zależy, jak wielkie odniesiesz rany. Pamiętaj o tym, co krąży ci w krwiobiegu. Kontroluj czas, ale nie biegnij. Jeżeli upadniesz i nie wstaniesz, zostawię cię tu. Reszty dopełni trucizna.

Jerry wstrzymuje oddech. Toksyna już działa. Pulsuje mu w głowie i wykręca żołądek. Ma mało czasu. Rozkłada palce i przytyka podeszwę do szkła. Nacisk zmienia się w dyskomfort.

Dociska stopę do podłogi. Dyskomfort przechodzi w klucie, a klucie w ból. Na razie nie tak mocny, jak Jerry się spodziewał. Będzie dobrze, musi tylko pamiętać o równowadze i właściwym rozłożeniu ciężaru.

Stopa spoczywa na odłamkach. Przed Jerrym najgorszy moment: oderwanie drugiej od podłoża. W tym czasie masa ciała spocznie na kończyźnie ustawionej na szkłe. Odłamki zaczną wbijać się mocniej. Pojawi się krew. Ale Savage musi to zrobić. Nie ma przecież wyboru.

- Wszystko jest kwestią praktyki. - Doktor wypuszcza go z kleszczy własnych rąk.

Chybocząc się, Jerry łapie równowagę. Czuje, że ma pokłute podeszwy, ale nie wypływają spod nich strugi czerwieni, jak się spodziewał. W milczeniu odrywa stopę.

Po chwili ponownie kładzie ją na szkłe - tak, to już drugi krok.

Marvin idzie równolegle do Jerry'ego, obserwując jego napięte mięśnie, balans ciała i zaczerwienioną twarz. W Bibliotece notuje dane o postępach i zachowaniu pacjenta.

Savage jest na półmetku przeprawy. Złapał rytm kroków. Nie wydaje dźwięków poza syknięciami, gdy poczuje konsekwencje źle ustawionej stopy.

Jest dobrze, jest dobrze, jest DOBRZE - ta myśl wiruje w nim niczym bączek.

- Wszystko zależy od ciebie - odpowiada Marvin, jakby czytając w jego myślach.

Jerry rozprasza się. Bezwiednie nadziewa stopę na wyjątkowo długi odłamek.

- Kurwa! - Potrząsa nią, nie mogąc pozbyć się szkła. - Kurwa! Kurwa! - zdziera gardło.

- Strać kontrolę, a skończysz z odłamkami w klejnotach. - Marvin pstryka palcami. - W zasadzie już powinienem stąd wyjść. Jerry, jesteś trupem.

Kiedy kat bardziej gardzi ofiarą? Gdy ta służalczo wykonuje polecenia? Czy może wtedy, gdy maniakalnie stawia opór? Gdy w agonii spluwa oprawcy w twarz? Jesteś beznadziejny, Aniołku Jerry. Umrzesz, nienawidząc sam siebie!

Jerry w zawzięciu stawia przekłutą stopę na posadzce. Ból, spotęgowany przez chlorek sodu, jest zbyt silny. Ponownie unosi kończynę. Druga, przesilona, odmawia posłuszeństwa. Pacjent traci równowagę i upada.

Powieki doktora ani drgną, kiedy potężny ryk okaleczonego obiektu odbija się rykoszetem od ścian. Patrzy na swoją Omegę. Wskazówki gonią się w czasowej sztafecie.

- Dziesięć minut, Jerry. Po tym czasie ból, który teraz czujesz, będzie tylko miłym wspomnieniem.

- O, kurwa... Kurwa... - Jerry zawodzi. W jego nogach właśnie eksplodowały granaty. Kolana płoną białym, nieugaszonym bólem. Dookoła nóg rozwijają się wstążeczki krwi.

Kolana przejęły impet zderzenia z podłogą. Resztę drogi Jerry będzie musiał pokonać na klęczkach. Całe dziesięć metrów męczeństwa. Ból jest twardy, penetrujący, nieujarzmiony. Promienieje do ud i wyżej, do żołądka, ściskając go.

- Zostało ci kilka minut, Jerry. - Marvin przykuca przy pacjencie. Odrywa z podłogi zakrwawiony odłamek i patrzy na niego pod światło żarówki. - Chcesz żyć? - Rozciąga wargi w uśmiechu nieskazanym emocjami. - Idź do wyjścia. Nic cię nie powstrzyma, poza samym sobą.

Jerry'emu trzęsie się broda. Na skroniach wiszą krople potu. Jelita, choć puste, buzują. Tłumi odruchy wymiotne.

- Kurwa! Pierdolę to! - zagrzewa sam siebie słowami.

Przesuwa kolano po najeżonej podłodze o kilka milimetrów do przodu, potem z wysiłkiem dosuwa do niego drugie. Co chwila wstrzymuje oddech, tłumiąc w sobie jęk. Modliłby się teraz, gdyby miał wiarę w Boga.

Pacjent dociera do materaca na skraju emocjonalnego szaleństwa. Każdy krwawy centymetr, jaki pokonuje, zapełnia myślami o znienawidzonym Aniołku.

- Antidotum! - krzyczy do Marvina.

- Oczywiście, pamiętam. Leż spokojnie, Jerry. Nie walcz. - Marvin krępuje go pasami, a na oczy nakłada opaskę. Dopiero potem robi zastrzyk.

- Antybiotyk na skaleczenia. - Odkasłuje. - Nie było żadnej trucizny, Jerry. Ale z tą wiedzą nigdy nie dotarłbyś do drzwi. Nie czujesz się dumny z wyczynu, jak mężczyzna?

- Nie - sapie Jerry. - Pierdol się! Długo się mną nie zabawisz! Ktoś zacznie mnie szukać!

Marvin mocno chwyta go za brodę.

- Z pewnością nie matka, którą umieściłeś w podłym domu dla starców.

## 16

Obiekt Numer Jeden podaje mi na tacy właśnie jego matka, Eva Savage. Syn umieścił ją w domu spokojnej starości, w którym woń moczu i fetor niemytych ciał przesiąkły każdy kąt budynku, a karaluchy co noc wydeptują ścieżki znaczone śmieciami i brudem.

Decyduję się na wolontariat w tym beznadziejnym, cuchnącym miejscu. Celowo wybieram placówkę o najgorszej opinii i niskim standardzie opieki. Szukam w niej informatora - odrzuconego rodzica, który powodowany złością i żalem do potomka wepchnie go wprost w moje naprawcze ręce. Dziecko, które skazuje rodzica na pobyt w takiej umieralni, z pewnością musi być wyrodne. Terapia umysłu mogłaby je drastycznie odmienić.

Zaawansowane stadia demencji, cukrzyce, choroby oczu, niedowład. Z tą listą przypadłości podopiecznych wita mnie personel ośrodka. Moim zadaniem jest kontynuacja terapii, która odroczy nadejście śmierci.

Podczas obchodów mierzę puls i zaglądam pacjentom w źrenice i gardła. Pielęgniarki wyręczają mnie nawet w zastrzykach. Nie protestuję, mam własny cel i jednocześnie nie mam czasu na zabawę w miłosierdzie. Kiedy pytam terminalnie chorych, o wiotkich z atrofi mięśniach staruszki i starców o samopoczucie, nieustannie słyszę w odpowiedzi:

- Wszystko w porządku, doktorze. Tylko czasem strach zasnąć.

Nie dziwię się ich lękowi. Sen to starszy brat śmierci.

Personel jest mną zachwycony. Nie modyfikuję kuracji, nie zadaję drażliwych pytań, nie rozmawiam z chorymi dłużej niż trzeba. Przemykam jak cień pomiędzy łózkami. Udaję, że nie zwracam uwagi na mętne od nadmiaru leków tęczówki lokatorów, na podeszłe krwią odleżyny, na świeże

wykwity na skórze sugerujące krępację. Tylko zgoda na warunki panujące w ośrodku zbliży mnie do mieszkanki izolatki w zamkniętym dla odwiedzających lewym skrzydle budynku. Przed umieszczeniem w niej pacjentki służyło za rupieciarnię. Jego obskurny korytarz zastawiają wózki o wzmocnionych stelażach oraz nosze na kółkach, z pasami. Ruch wzrasta tu jedynie o świcie i późnym wieczorem, kiedy sanitariusze oporzędzają pacjentkę, zazwyczaj wbrew jej woli.

W budynku na początku wieku mieścił się szpital dla nerwowo chorych. Jak widać, historia zatoczyła koło.

Eva Savage ma reputację obłąkanej i przezwisko „Wiedźma”. Dochodzą mnie słuchy, że pluje, gryzie i umyślnie załatwia się pod siebie, aby uprzykrzyć pracę pielęgniarzom. Komunikuje się przeważnie krzykiem. Przypuszczam, że zachowaniem rekompensuje sobie ból życiowej traumy, jaką zgotowało jej dziecko. Postanawiam zbudować między sobą a Wiedźmą most porozumienia.

Podczas pierwszej wizyty u Wiedźmy zastaję ją w położeniu znacznie gorszym niż nędzne.

Jej kończyny są przywiązane pasami do szczebli staroświeckiego szpitalnego łóżka. Stojący za Evą dwaj mężczyźni w kitlach brutalnie przytrzymują jej głowę. Trzeci majstruje między udami kobiety. To nie wygląda na zmianę pieluchy. Pielęgniarz usiłuje założyć jej cewnik.

Wiedźma dostrzega w progu zastygłą sylwetkę intruza. Momentalnie purpurowieje na twarzy i zaczyna wrzeszczeć:

- Gwałcą mnie! Gwałcą! Pomocy!

Trzech osiłków zgodnie kieruje wzrok w moją stronę. Pielęgniarze aż dygoczą z wściekłości i po chwili otaczają mnie ciasnym półokręgiem.

- Nie powinien pan tu przebywać - upomina mnie Barney. Tęgi, z nagą, wygoloną żyłką czaszką, w poplamionym fartuchu, przypomina zabójcę z tanich horrorów.

- Mam do tego prawo. Eva Savage także jest pacjentką - mówię twardo. -  
Trzymacie ją w odosobnieniu. Dlaczego?

- To wariatka.

- Dziękuję za opinię. - Unoszę brwi. - Wyrobię sobie własną. Przy okazji  
założę Evie ten cewnik. - Wymijam mężczyzn z pogardą. Ich kitle urągają  
wszelkim normom czystości. Ja zawsze wizytuję ośrodek w świeżo  
wypranym fartuchu i eleganckiej koszuli, obowiązkowo pod krawatem.

Z zielonych, lekko skośnych oczu Evy Savage wзира jednocześnie obawa  
i ciekawość. Pierwszy raz od miesiąca widzi człowieka spoza stałego  
personelu.

- Witaj, Evo - mówię łagodnie. - Jestem lekarzem. Obserwuję pacjentów  
w ośrodku. Obejrzałem już wszystkich poza tobą. Dobrze cię przede mną  
ukryli.

- Pierdol się! - krzyczy kobieta, a potem spluwa gęstą śliną. - Pierdol!

- Wiem, że cię boli, Evo. Mógłbym poluzować pasy, gdybyś zechciała ze  
mną współpracować - składam ofertę, wyciągając z kitla rękawiczki.  
Dokończę zabieg, który przerwali pielęgniarze. Będę delikatny, może to ją  
do mnie przekona.

- Pierdol się! Pierdol! - Kobieta zaczyna się szarpać. W furii rzuca głową  
na boki, uderzając skrońmi o łóżko. Nie chcę jej przysporzyć większego  
bólów niż ten, który już zna. Czekam, aż się uspokoi.

Wiedźma wywraca oczy do góry, aby na mnie nie patrzeć. Irytuje ją moja  
uprzejmość.

Wreszcie opada, wyczerpana. Podnosi głowę i krzywi się na widok rurki,  
którą za moment umieszczę w jej ciele.

Próbuję uspokoić pacjentkę. Nie wiem, czy znów nie wybuchnie.

- Leż spokojnie, dobrze? - proszę. - Nie będzie bolało.

Kobieta nie odpowiada. Biorę to za znak aprobaty.

Ciało Evy tężeje. Zachęcam ją, by się rozluźniła. Odpowiada mi jękiem w  
takim natężeniu, jakbym ją co najmniej gwałcił.



- Evo, nie przesadzaj. Dobrze wiem, że wcale cię nie boli.

Na jej pożółkłej twarzy maluje się złość. Próbuje się szarpnąć, ale jest mocno związana. W końcu się poddaje i zaczyna udawać zemdloną. Przynajmniej ułatwia dokończenie zabiegu.

- Evo, nie było tak źle - chwalę ją.

Wiedźma w odpowiedzi strzyka mi śliną na policzek.

Ocieram twarz chusteczką. Powstrzymuję się od reakcji. Tylko moja cierpliwość i wyważone działania są w stanie wzbudzić w tej kobiecie ochotę do jakichkolwiek przemyśleń.

- Evo, chciałem poluzować ci pasy. - Kładę dłoń na jej nadgarstku.

- Pierdol się. - Kobieta powtarza ulubione przekleństwo.

Jej upór kończy moją wizytę w izolatce.

Ofiaruję staruszce czas do namysłu. Powiedzmy... tydzień. Dam jej szansę na poprawę, kolejnej nie dostanie. Naprawdę nie toleruję osób, które odrzucają pomocną dłoń.

Sanitariusze niecierpliwie tłoczą się pod celą Wiedźmy. Czekają na sprawozdanie z wizyty.

- Panowie - wzruszam ramionami - powinniście być wrażliwsi na potrzeby pacjentki. Nieważne, jak bardzo jest uciążliwa.

Mężczyźni nerwowo rozglądają się na boki. Jesteśmy w holu tylko we czwórkę.

- Barney, Charlie, Ben - przywołuję imiona pielęgniarzy. - Eva Savage dostaje furii i utrudnia nad sobą opiekę, bo tylko w ten sposób potrafi się bronić. Nie mówcie, że gdyby była potulna, traktowalibyście ją inaczej. Stała się waszą dziewczynką do bicia. Odizolowaną od świata, bez prawa do imienia. Ochrzciliście ją Wiedźmą.

- Zasłużyła na to - odpowiada Ben, najmłodszy z katów Ewy, w okolicach dwudziestu lat. - Nie potrafi normalnie mówić, tylko przeklina i wrzeszczy.

- I bredzi o gwałtach - wtrąca Charlie. Mrukiwy, ze skórą w odcieniu asfaltu, wygląda jak goryl.

- To jej sposób na komunikację z otoczeniem. Zabraliście tej kobiecie resztki godności.

- Dość powiedziałeś, doktorze - przerywa Barney. Zaczyna brać mnie za wroga.

- Słuchajcie, nie pragnę zbawiać waszego świata. Chcę tylko, abyście lepiej traktowali panią Savage - pouczam ich. - Na razie to wszystko z mojej strony, panowie. - Spoglądam na Omegę. - Już późno. Pewnie Eva jest głodna. Nie każcie jej czekać na obiad.

Rozbawiony opuszczam rozmówców. Jeżeli trafnie oceniłem ich charaktery, ta trójka za chwilę zgotuje pacjentce piekło. Eva Savage nawet nie domyśli się, że skrzywdzą ją wyłącznie z mojego powodu.

Wróć do pacjentki za siedem dni. Do tego czasu powinna zatęsknić za uprzejmością nowego doktora.

Był taki czas, kiedy próbowała uległości wobec szykan pielęgniarzy. Nieważne, co robiła, dręczyli ją. Bierność ofiar zawsze prowokuje katów do agresji. Z braku alternatyw zaczęła odpłacać oprawcom gryzieniem, pluciem, brudzeniem się.

Eva Savage jest inteligentniejsza, niż kiedykolwiek przypuszczali jej kaci. Dostrzega w moim pojawieniu się możliwość poprawy losu. Może sądzi, że będę w stanie jej pomóc: wymuszę na personelu przeniesienie jej na ogólnodostępną salę albo wpłynę na zmianę obsady, która sprawuje nad nią opiekę.

Dla przyspieszenia mojej wizyty okalecza się przed upływem tygodnia. Krzywdząc się, nadaje mi komunikat: „daj mi szansę, doktorze”.

Rana dłoni Ewy jest głęboka. Jej brzegi są gładkie i równe. Uważnie badam kończynę.

- Boli...

- Wiem, Evo. Zaraz przestanie. - Podaję znieczulenie. - Nie będziesz się ruszała? - dopytuję.

- Nie - chrypi.

- Świetnie. - Zszywam rozcięcie. - Jak to się stało? - sonduję. - Czym to sobie zrobiłaś?

Kobieta zagryza usta. Nie chce tego wyjawic. Ważny był cel, a nie środek.

- Nie skrępuję ci chorej dłoni, Evo - proponuję jej. - Dziś naprawdę zasłużyłaś na nagrodę. - Pomagam kobiecie w ułożeniu kończyny w wygodnej pozycji.

Pacjentka do oporu wypełnia płuca powietrzem. To jej pierwszy od miesięcy oddech namacalnej wolności. Kobieta reaguje dokładnie tak, jak powinna: porusza drugą ręką w niemej prośbie o jej uwolnienie.

- Przykro mi, Evo - rozczarowuję ją. - Wystarczy na dziś. - Dotykam jej przedramienia. Skóra jest upstrzona plamkami i sucha jak papier.

Staruszka odwraca głowę w stronę maleńkiego okna pod sufitem, zapaskudzonego od ptasich odchodów i deszczu. Nie chce teraz na mnie patrzeć.

- Evo - nieustannie powtarzam jej imię - cierpliwości. Pomogę ci, jeżeli ty pomożesz sobie.

- Jak? - Waha się między rozpaczą a nadzieją.

- Zaczynij znów być Evą Savage w miejsce Wiedźmy. Nie pluj, nie gryź, sygnalizuj potrzeby.

Kobiecie w emocjach trzęsie się broda.

- Evo, wysłuchaj mnie. Rozumiem cię, naprawdę. Twoją przeszkodą w powrocie do normalności są Barney, Charlie i Ben. Wiem, że rozmowa nie wystarczy do oduczenia ich uwłaczających ci praktyk. Oprawcy mogą na chwilę stać się miłsi, a kiedy odejdę z ośrodka, urządzą ci piekło. To możliwe - bawię się brzmieniem własnego głosu - dlatego porozmawiam z dyrekcją na temat poprawy warunków bytowych i zmiany czuwającego nad tobą personelu, jeżeli udowodnisz, że potrafisz się trwale odmienić.

- Już się zmieniłam, doktorze - szepcze.

- Nie, Evo. Zmiana nie zachodzi w ten sposób - studzę jej zapał. - To długotrwały proces. Trzeba czasu, aby się dokonał, i doświadczeń, by mógł

się utrwalić.

Kobieta jest rozgoryczona, balansuje na skraju wybuchu. Jeżeli się nie powstrzyma, zakończę współpracę z nią. Bez wahania przetnę liny, które trzymają nasz most porozumienia - chybotliwy, pozbawiony wielu desek - i znajdę innego informatora, mój Obiekt Zero. Przedtem jednak zafunduję Wiedźmie paranoję, w obliczu której nie będzie musiała już udawać obłąkanej.

\*\*\*

- Rozmawiałem z dyrekcją o sanitariuszach. - Z kolejnym spotkaniem kontynuuję urabianie Wiedźmy. - Odsunę Barneya od opieki nad tobą. Bez niego Charlie i Ben złagodnieją, jestem pewien. Nie mogłem wskórać nic więcej. - Patrzę w sufit. Żółte zacieki tworzą awangardowe kolaże. - Od teraz staniesz się moją główną pacjentką, Evo - oznajmiam jej. - Wrócisz do normalności, postaram się zapewnić ci komfortowe życie w ośrodku. - Kuszę ją wizją rajy skrojonego na miarę. - Na razie musisz zadowolić się tą skromną wolnością. - Dotykam nieskrępowanej ręki Wiedźmy. - Kto wie, może już niedługo swobodnie usiądziesz? I pomyślimy nad zmianami w diecie.

Oczy staruszki zaczynają się szklić. Spija z moich ust każdą sylabę. Na swój sposób jest chyba szczęśliwa.

Pod wieczór spotykam się z pielęgniarkami w ogrodzie. Zmierzcha; cykady zaczynają drażniący koncert. Nieczynna fontanna z obłamaną statua Adonisa, stojąca przed wejściem obrośniętego bluszczem budynku, przypomina mi Et in Arcadia Ego Poussina.

- Przestańcie dręczyć Wiedźmę - mówię wprost.
- Dlaczego? - Charlie patrzy na mnie ponuro, zaciskając goryle pięści.
- Ponieważ was o to proszę. - Uśmiecham się.
- Prowadzi pan z nami wojnę? - unosi się Ben.

- Nie, chcę pójść z wami na układ. - Odpędzam gołębia płaczącego się między nogami.

Barney pogwizduje. Czeka na propozycję.

- Jest prosty: przez najbliższe tygodnie nie będziecie katować tej kobiety. Nie zrobicie niczego, co mogłoby jej zaszkodzić. Niczego - powtarzam. - Przeprowadzam na niej pewien eksperyment - informuję ich jakby od niechcenia. - Nie pytajcie teraz o szczegóły. Po wszystkim i tak czeka was dodatkowa nagroda. - Wyjmuję spod kitla paczki banknotów.

- Połowa teraz, reszta po teście. Umowa stoi?

- Stoi - odpowiadają stadnie.

- Wiedziałem, że jesteście rozsądni. - Obdzielam rozmówców forszą. Upychają paczki po kieszeniach, nie sprawdzając ich zawartości. Z uśmiechem żegnam rozmówców zgodnie z hierarchią ich własnej grupy. Niedługo znów stanę się panem życia i śmierci.

# 17

- Doktorze, chciałabym mieć takiego syna jak pan.

- Miło mi, że tak twierdzisz, Evo. Bardzo proszę, mów mi po imieniu.

Wzruszona kobieta obejmuje mnie na znak zgody, nabierając się na moją troskę. Od dwóch tygodni ma pełną swobodę ruchu. Pasy to już niesławna przeszłość.

Wreszcie udaje się przełamać zastój w komunikacji z Wiedźmą. Teraz realizacja planu wobec niej powinna nabrać właściwego rozpędu. Jego perfidia wstrząśnie tym miejscem do samych posad, zgodnie z rolą, jaką odgórnie przypisałem Obiektowi Zero.

Przedtem zagram z Evą w swoją ulubioną grę - w zaufanie.

- Twój syn cię porzucił, Evo - stwierdzam, nawet nie pytając o to Wiedźmy. - Zdradził, wyrzekł się. Umieścił w tym nędznym ośrodku. Pozwolił, by traktowali cię jak zwierzę. To haniebne. Tak nie zachowuje się prawdziwy mężczyzna.

Dłonie Ewy zaciskają się w pięści, gdy tylko pada ostatnie słowo.

- Opowiedz mi o nim, szczerze - proszę, chcąc podsycić jej gniew.

- Nie będę mówić o Jerry'm. Przepraszam, Marvinie. Ta prośba mnie przerasta. Nie mogę nawet myśleć o tym pieprzonym Aniołku. - Eva wzdycha. - Proszę, nie naciskaj.

- Nie zamierzam cię prowokować.

Sękate palce Wiedźmy prostują się lekko.

- Dziękuję, Marvinie.

- To ja ci dziękuję, Evo. - Uśmiecham się szczerym, intymnym uśmiechem, bardziej do siebie niż do niej. Już za moment wrzucę Evę

Savage w środek piekła.

Wsuwam dłoń w kieszeń rozpiętego fartucha. Nieśpiesznie gładzę jej zawartość.

- Ufasz mi? - Pokazuję kobiecie niewielką tabletkę. Jest okrągła i złowieszczo biała, bez jakichkolwiek oznaczeń na powierzchni.

Pacjentka mierzy pastylkę wzrokiem.

- To na lepszy nastrój, Marvinie?

- Nie, ten lek pomoże ci zwalczyć gniew na syna.

Wiedźma wykrzywia usta.

- Wcale tego nie chcę - upiera się.

- Posłuchaj, Evo. Ten gniew cię niszczy, musisz się od niego uwolnić. Tylko wtedy uznam twoją przemianę za kompletną - przekonuję ją. - Musisz mi wyznać, dlaczego tak naprawdę nienawidzisz Jerry'ego. Zostało kilka dni do zakończenia mojego wolontariatu - uściślam. - Nie mamy wiele czasu. Połknij tabletkę, rozluźnij się i opowiedz mi swoją historię. Po fakcie zapomnisz o rozmowie albo pomyślisz, że o niej śniłaś. Twój umysł pozbędzie się napięcia, a ty staniesz się gotowa do przeniesienia na zwyczajną salę. Dalej, Evo. - Zamykam jej dłoń w swojej własnej. - To ostatnia prosta na twojej drodze do lepszej jakości życia.

- Jestem gotowa. - Kobieta wreszcie ulega. - Ale bądź przy mnie, proszę.

- Będę, Evo, przysięgam. Nie bój się.

Wiedźma nerwowo połyka pastylkę, popijając ją wodą. Płyn ścieka jej po brodzie i moczy świeżą koszulę. Spokojnie czekam aż dietyloamid kwasu D-lizergowego wejdzie w interakcję z układem nerwowym pacjentki.

Po godzinie Eva się rozluźnia. Śmieje się, mruży oczy, wznosi ręce.

- Evo Savage - przerywam jej trans. - Opowiedz mi o Jerry'ym. Opowiedz wszystko, co wiesz o tym „pieprzonym Aniołku” - rozkazuję, zimno patrząc jej w oczy.

Ciałem pacjentki wstrząsa spazm. Od tego momentu rozpoczyna się dla niej podróż pojazdem marki LSD.

\*\*\*

W dniu narady dotyczącej stanu zdrowia pacjentki, zwołanej na moją prośbę w trybie specjalnym, do celi Evy Savage wkracza orszak sędziów wraz z dyrekcją ośrodka i moją osobą na czele. Kobieta zastyga na posłaniu w oczekiwaniu na werdykt. Sanitariusze warują sztywno jak psy po obu stronach jej łóżka, gotowi w każdej chwili rzucić się Wiedźmie do gardła. Dyskretnie wymieniają spojrzenia nad głową staruszki. Domyślają się już istoty tej dodatkowej, obiecaniej im przeze mnie nagrody w zamian za czasową uległość wobec Wiedźmy. Niektóre emocje są warte więcej niż pieniądze.

Barney na mój widok podnosi torbę, którą poleciłem mu przynieść na zebranie. Nie wygląda na lekarską, przypomina raczej turystyczną.

Wiedźma z ufnością szuka mojego wzroku. W moich oczach nie znajduje jednak niczego oprócz pustki zwiastującej jej zniszczenie i powolną śmierć.

W nagłym amoku ora sobie policzki paznokciami. Sanitariusze sprawnie krępują ją kaftanem.

Kobieta przeżywa teraz epizodyczny nawrót omamów po zażyciu LSD. Ona sama pewnie myśli, że traci zmysły. Słyszy każde słowo, jakie kieruję do szefowej ośrodka:

- Pacjentka nie rokuje najlepiej. Zalecam trwałe unieruchomienie oraz ścisłą kontrolę nad chorą. Widziała pani na nagraniu, jak rzuciła mi się do twarzy. Za szybko jej zaufałem. Mam za dobre serce. - Wzdycham. - Chciałbym jednak pokazać pacjentce filmy, jakie nagrywałem podczas rozmów z nią. Powinna wiedzieć, dlaczego moja diagnoza jest taka, a nie inna. Chcę być uczciwy do końca, nawet jeżeli Eva Savage nie przejawiała tej cechy wobec mnie.

Kiwam na Barneya. Sanitariusz wyjmuje z torby niewielką kamerę.

- Patrz dobrze, Wiedźmo - szepcze Charlie kobiecie do ucha. - Oto, czym jesteś naprawdę.



Eva wbija wzrok w ekran urządzenia. Widzi na nim siebie - bez pasów, rzucającą się wściekle na łóżku. Wrzeszczy, toczy pianę, szarpie koszulę i włosy. Wyzywa rozmówcę od skurwieli i dziewuch. Wypluwa przy tym jedno słowo: Aniołek, Aniołek, Aniołek...

Kamera nie rejestruje nikogo poza Wiedźmą.

Nagranie kończy się przykrym finałem. Eva rzuca się na rozmówcę. Nie wiadomo, czy dopada ofiarę. Po tej scenie zapis wideo na moment się urywa. Ostatni akt przedstawia nieprzytomną pacjentkę leżącą w kałuży wymiocin. Dłoń w białej, jednorazowej rękawiczce przykrywa kobietę prześcieradłem.

Hipertermia, nadprodukcja śliny, drgawki, szczękocisk, mdłości, omamy słuchowe i czuciowe. Klasyczne objawy „złej podróży” po zażyciu LSD. Wiedźma niczego nie pamięta, a nikt poza mną nie wie, że namówiłem pacjentkę do zażycia narkotyku.

Podchodzę do zrozpaczonej kobiety.

- Pogódź się z losem, Wiedźmo. To twoja kara za to, że nie wychowałaś Jerry'ego na prawdziwego mężczyznę. Zdechniesz z żalu, zakneblowana, we własnym gównie...

Ignorując jej krzyki, bez zwłoki opuszczam izolatkę. Rola wolontariusza dobiega końca. Eva okazała się doskonałym Obiektem Zero. Dane, jakie od niej uzyskałem, doprowadziły mnie wprost do Obiektu Numer Jeden.

# 18

Doktor wchodzi do Laboratorium z talerzem wypełnionym warzywną potrawką. Savage wygląda, jakby spuszczone z niego nie tylko powietrze, ale wszystkie życiowe płyny, łącznie z krwią. Skurczony na twarzy, mętnym wzrokiem wpatruje się w kafle. Niedobrze, traci wolę przetrwania.

- Jak się czujesz? - Marvin stara się brzmieć sympatycznie.

- Jak mam się, kurwa, czuć, kiedy wiem, że i tak zdechnę?

- Dlaczego tak myślisz? - dopytuje pacjenta.

- Torturujesz mnie! Jaki może być koniec?

- Dlaczego nie skupiasz się na tym, co mówię? - docieka Cross. - Słyszysz, ale nie słuchasz.

Pacjent milczy. Marvin podpowiada mu:

- Co było w kwiatku, Jerry? Pamiętasz komunikaty?

- Nie, nie pamiętam.

- Jerry, to nie gra - przekonuje. - To twoje życie. Podejź do niego na serio. Co wyczytałeś w kwiatku? - naciska.

- Że jestem chory! Że możesz mnie wyleczyć - wylicza Jerry, by przerwać wojnę nerwów. - Pytałeś, czy zgadzam się na terapię. Byłem przerażony, co miałem powiedzieć?!

- A teraz nie jesteś? - zaciekawia się Marvin.

- Mam to w dupie.

- Swoje życie?

- Ciebie. - Savage uderza pięściami o łóżko.

- Chcesz umrzeć, Jerry? Właśnie teraz? - pyta Marvin z chłodem w głosie.

- Nie myśl, że podam ci zastrzyk i zaśniesz, to nie działa tak łatwo.

Chciałem cię nakarmić i pokazać pewien film, ale dobrze, skoro się upierasz, posmakuj umierania. - Nakłada rękawiczki i rozkłada na stoliku chirurgiczny arsenał. Błyszczą pięknie nawet w mizernym oświetleniu. - To co, zaczniemy od palca? Tego na przekłutej nodze? - zastanawia się głośno. - Poczujesz wstęp do bólu towarzyszącego rozpadowi ciała. Potem zmiążdżę ci kolana, dla wzmocnienia efektu. Bolało, jak nadziałeś je na szkło. Pomyśl, jak odczułbyś w nogach dotyk młotka. - Doktor drwiąco zawiesza głos. - Później posuniemy się wyżej... Na pewno chcesz umrzeć?

Jerry wydyma policzki, jakby chciał wymiotować.

- Tak myślałem. - Lekarz wyjmując kartkę z kieszeni chirurgicznej bluzy i umieszcza ją tam gdzie zazwyczaj. Jest na niej napis: WYBÓR. - Skusisz się na potrawkę? - proponuje. - Wybacz, ale nie będę jej odgrzewał.

Savage niepewnie zerka na kwiatek, na Marvinę i na talerz z jedzeniem.

Zgadza się. Głód jest niepotrzebną torturą.

- Czas na twój seans. - Doktor informuje Jerry'ego, gdy ten kończy posiłek. Przed uruchomieniem telewizora wprawia w ruch główkę kwiatka.

Będzie towarzyszył pacjentowi podczas emisji.

Jerry nie wie, czego się spodziewać po nagraniu. Ale z pewnością nie tego, że zobaczy na nim swoją matkę.

Kiedy kobieta rzuca z ekranu niewybredne wyzwiska pod adresem pacjenta, wyśmiewa obgryzanie paznokci i nocne moczenie, ten aż drapie paznokciami materac.

- Nie! Nie! Nie! - Zaprzeczenie to jedyne, co potrafi z siebie wykrzesać.

- Tak, Jerry - potwierdza Marvin. - To twoja matka. Obejrzyj dokładnie nagranie. Wysłuchaj, co Eva Savage ma do powiedzenia na temat potomka. Tym razem nie poratujesz się ucieczką.

- Ty skurwielu! Dlaczego mi to robisz?! Nie jestem żadnym Aniołkiem, rozumiesz?! - Pacjent chrypi od wrzasków. Nie próbuje nawet zadać Marvinowi pytań o Evę, o jej spotkania z doktorem czy nawet zdrowie matki - jest skupiony wyłącznie na sobie.

- Nie nakręcaj się. - Marvin dyscyplinuje Savage'a. - Spójrz na kwiatek, Jerry. Przeczytaj na głos to słowo. Sam sobie to robisz.

- Nieprawda!

Wracają do punktu wyjścia.

- Zła odpowiedź, Jerry. Masz wybór.

- Nie mam wyboru! Nie mam! - Savage dławi się od nadmiaru wdychanego powietrza.

Marvin odmalowuje sobie uśmiech na twarzy, równie szczery, jak ten wyryty na kwiatku-spinaczu.

- Czas, abyś ochłonął, Jerry. - Opuszcza piwnicę w asyście przekleństw obiektu. Po chwili zjawia się z wiadrami wody. Wylewa na pacjenta ich zawartość. Jeden strumień kieruje na głowę, drugi w okolice brzucha.

Jerry natychmiast zastyga.

- Ciesz się, że to nie wrzątek. - Marvin dotyka spinacza. - Zaczynaj myśleć, Savage. Naprawdę nie mamy przed sobą wieczności. Przyjrzyj się sobie dokładnie, całościowo. Ułatwię ci to. - Rozcina na Jerrym koszulkę.

Zostawia pacjenta przemoczonego i nagiego. Niech w tych okolicznościach zacznie robić użytek z szarych komórek. Marvin liczy, że kiedy tu wróci, Jerry wreszcie dokona wyboru. Żeby mu pomóc, dodaje do jego potrawki pewnej specyficznej przyprawy.

Preparat działa błyskawicznie. Po kilku minutach od wyjścia doktora ciałem Jerry'ego wstrząsają dreszcze, zbyt silne, by były efektem wychłodzenia.

To niemożliwe! Na kaflach skrapla się woda!

Jerry nie wierzy oczom: krople układają się w spirale, które po chwili zaczynają wirować. Kręcą się powoli, każda w inną stronę.

Zamyka oczy. O jego powieki uderzają krople z rozpedzonych serpentyn. Jerry trzepie głową jak pies po wyjściu z kąpeli. To nie dzieje się naprawdę! To zmysły go oszukują. Wszystkie, co do jednego!

Jerry'ego obłazi lepkość narastającej wilgoci. Wiraze zmieniają się w wodne tornada. Ich pęd rozrywa krępujące go pasy. Jest wolny! Mimo to mocniej przykleja się do materaca. Nie podejmuje próby ucieczki. To przecież tylko iluzja.

Mózg powołuje do życia najwstrętniejsze koszmary Jerry'ego - te o topieniu się.

Piwnica zaczyna napełniać się wodą. Jej poziom równa się już z łóżkiem. Pacjent rozpaczliwie przyzywa doktora. Na próżno. Woda sięga sufitu, grzebiąc szanse Jerry'ego na oddech. Czuje rozrywający ból w piersiach. Już nie może wstrzymać oddechu.

Ciało zdradza Jerry'ego. Dławiąc się, Savage spostrzega, że na ekranie telewizora pojawia się obraz.

- Aniołku Jerry - przemawia do niego postać z nagrania doktora, trzymająca w pięści różową sukienkę. Jej żółtawe włosy, rozsypane po ramionach, przypominają brudne frędzle od szmaty. - Znowu zaszczałeś łóżko! - Eva wyjmuje nożyczki spod ubrania. Potrząsa nimi w najwyższej pogardzie dla Jerry'ego. - Obetnę ci cholernego kutasa!

Ten wśród skurczów czuje, że jego ciało nadyma się jak balon. Rozkłada ramiona. To już niedługo.

Eva znika z ekranu. Na wizji pojawiają się komunikaty z kwiatka-spinacza: CHOROBA. UCIECZKA. WYBÓR.

Roziskrzzone litery zamieniają się miejscami. Wyłania się z nich nowe słowo: MĘŻCZYŻNA.

Pacjent przestaje oddychać.

Budzi się podpięty pod aparat tlenowy.

- Jerry... Miałeś zapaść, ledwo cię odratowałem.

Słowa doktora z trudem przedzierają się do jego świadomości. Marvin siedzi przy łóżku Jerry'ego, autentycznie zatroskany jego losem. Jest Pierwszym, tym od Naprawy Umysłu. Nie może go stracić w taki sposób.

- Widziałem matkę. - Najwyraźniej Jerry odczuwa silną potrzebę rozmowy. Jest szczelnie przykryty kocem, więc nie dostrzega swojego ubrania. Gdy je zobaczy, z pewnością poczuje odrazę.

- Po dodatku do obiadu mogłeś widzieć i diabła, i Boga, twój mózg wybrał jednak Evę Savage. - Doktor składa dłonie w wieżyczkę. - To, co widziałeś i słyszałeś, to klucz do twojego umysłu. Twoje własne porozumienie pomiędzy warstwami jaźni - tłumaczy. - Czy było coś jeszcze? Inne postacie, jakieś słowa?

- Słowo „mężczyzna”.

- O właśnie. - Marvin uśmiecha się nieco. - Skoro o tym mowa...

Zdejmuje z pacjenta koc. Przebrał Jerry'ego w letnią, ciemnoczerwoną sukienkę, zapinaną od przodu na owalne guziki.

Jerry chce wypuścić stek przekleństw, ale Marvin ubiega go, włączając sesję nienawiści z Evą Savage. Zaprogramował odtwarzacz w ten sposób, aby bez przerwy emitował sekundy nagrania z kluczowym twierdzeniem matki o synu.

- Jerry, ten pierdolony, pedalski Aniołek... Jerry, ten pierdolony, pedalski Aniołek... Jerry, ten pierdolony, pedalski...

- Wciąż chcesz być „pierdolonym, pedalskim Aniołkiem”? - Marvin przedrzeźnia kobietę. Wyważony głos doktora nakłada się na kaskady szaleńczych monologów Ewy. Słowa „pierdolony, pedalski Aniołek” brzmią w uszach pacjenta w koszmarным zwielokrotnieniu.

Jerry podnosi głowę i z przejęciem zagląda w oczy Crossa. Lecz nic w nich nie dostrzega.

- Nie chcę! - krzyczy głośniejszym głosem niż musi, aby zagłuszyć okrucieństwo własnych myśli.

- Nie chcę... czego?

- Nie chcę być pierdolonym, pedalskim Aniołkiem! Nie chcę być pierdolonym, pedalskim Aniołkiem! - W rytm słów uderza potylicą o łóżko, wywrzaskując sprzeciw. - Nie chcę...

- Wystarczy. - Doktor wyłącza nagranie. - Powiedzmy, że zaraz przestaniesz nim być. Fizycznie. Nad umysłem dopiero popracujemy. - Z uśmiechem przykładą do głowy pacjenta urządzenie zasilane niewielkim silniczkiem.

Pierwsze pasmo jasnych, falistych włosów obiektu opada swobodnie na ręcznik. Za nim podążają kolejne.

Po zgoleniu włosów chłopaka do gołej skóry Marvin rozcina na pacjentce sukienkę w odcieniu świeżej krwi, odbierając mu atrybuty niemęskiego Aniołka. Fatalne wzorce osobowe odcisnęły na Jerry'ym paskudne piętno. Postara się je usunąć inwazyjnymi metodami Inżyniera Naprawy.

- Dobrze wyglądasz, Jerry - stwierdza, spoglądając na zaczerwienioną twarz pacjenta, mimo dwudziestu ośmiu lat niemal pozbawioną zarostu, o rysach, które mogłyby uchodzić za atrakcyjne u kobiety: drobnych ustach, niedużym nosie i wielkich oczach wypełnionych niebieskawą zielenią, okolonych grubymi rzęsami. Brak włosów na głowie rzeczywiście dodaje Savage'owi powagi. - Teraz wypoczywaj. Nie rozpamiętuj za mocno, bo utkniesz w przeszłości. Postaraj się usunąć z niej emocje. - Z tą radą Marvin zostawia go w ciemności na cztery doby, celowo bez wody i pokarmu. Post oczyści ciało i umysł pacjenta. Wyklaruje myśli Jerry'ego, przygotowuje go.

Zmiana zawsze ma źródło w umyśle. Wygląd to tylko kosmetyka.

## 19

Finalny dzień Naprawy obiektu budzi mnie na kanapie ze zdrętwiałą ręką pod głową. Dłoń zaciska się na bursztynowej kostce do gry. Jej oczka wypełnia emalia. Środek więzi ciało zalanego żywicą owada.

Jeden z pacjentów kliniki zmarł w trakcie transplantacji, w dodatku pod moim skalpelem. Chory był zapalonym hazardzistą. Wszystkie kości, których używał, wykonano z bursztynu, ale tylko jedna miała zatopionego we wnętrzu niewielkiego chrząszcza. Owada również zaskoczyła śmierć. Zachowałem tę kostkę dla siebie, aby przypominała mi o pokorze wobec życia. Wykorzystam sześcian przy terapii Jerry'ego.

Biorę prysznic. Bez pośpiechu zjadam omlet i sałatkę z pomidorów, zapijając je wodą. Gaszę podstawowe pragnienie, myśląc o tym wciąż niezaspokojonym, dotyczącym Naprawy Umysłu pacjenta. Wschodzące słońce barwi kuchnię na złoto.

Pracę nad chorym zaczynam od nakarmienia Savage'a jajkiem ugotowanym na twardo. Nie chodzi tylko o wzmocnienie pacjenta. Podczas procesu takiego jak Naprawa Umysłu warto odwołać się do czytelnych symboli.

Jerry tradycyjnie wpatruje się w sufit. Na szcęk zamka pochyla głowę we właściwym kierunku. Zawsze męczy go niepokój i czekająca loteria: przyjdę do niego w rękawiczkach czy bez nich, w chirurgicznym fartuchu czy w sportowej koszulce, z jedzeniem czy innym, mało przyjemnym przedmiotem.

Wyglądam zwyczajnie, w ciemnej koszulce i dżinsach. Witam Jerry'ego uśmiechem.



- Jerry, przyniosłem ci jajko. Zjedz je.

- Nie lubię jajek.

Przewracam oczami.

- Wyobraź sobie, że jajko jest twoim umysłem. Białko to ograniczenia, które sobie narzucasz w życiu jako Aniołek. Żółtko to prawdziwy ty. Mężczyzna. Nie Aniołek. - Wbijam łyżkę w jajko. - Żeby dostać się do żółtka, trzeba przeciąć białkową osłonę. Sforsować ją. I tym się właśnie zajmiemy. Jedz.

Savage krzywi się, gdy przeżuwa pokarm.

- Nie, Jerry... Nie wypluwaj.

Pacjent dokańcza z niechęcią.

Wpinam w kwiatek kartkę z pytaniem: **Z CZEGO MÓGLBYŚ ZREZYGNOWAĆ W ŻYCIU?**

- Zapytam cię o to, gdy wrócę - oznajmiam Jerry'emu.

W łazience ponownie biorę prysznic, tak gorący, że parzy mi skórę. Chcę być tak czysty, jak to tylko możliwe podczas rytuału przejścia obiektu w człowieka. Świeża chirurgiczna bluza, zestaw rękawiczek i masek czekają w fabrycznych, szczelnych opakowaniach. Ostatni atrybut terapii, kostkę, umieszczam w kieszeni na samym końcu przygotowań.

Zjawiam się u Jerry'ego po kilku godzinach. Najpierw rozbieram obiekt, następnie przykrywam go kocem.

Wyłuskuję sześcianik z kieszeni i unoszę go niczym kapłan hostię podczas ofiarowania. Kostka pobłyskuje w świetle żarówki jak miniaturowe słoneczko.

- Jerry, ta kostka symbolizuje życie. Ono nieustannie zsyła na nas sytuacje, w których trzeba dokonać wyboru. Masz przed sobą sześć opcji, po jednej dla każdej ze ścianek. Twoim zadaniem będzie, jak domyślasz się po hasłach przyczepianych do kwiatka, dokonanie wyboru. Jeżeli nie zdecydujesz się na żadną z opcji, fatum w postaci kawałka bursztynu wybierze za ciebie. Kostka zostanie rzucona.

Jerry patrzy na mnie w niemej zgrozie.

- Ludzki mózg zawiera od trzystu do pięciuset miliardów neuronów. Zaraz wytyczę ci nowe ścieżki pomiędzy nimi. Będziesz mógł do nich wrócić, kiedy utworzą trwałą ślad w pamięci, i czerpać z zebranych doświadczeń... - upraszczam, aby Jerry dobrze mnie zrozumiał. Podnoszę kostkę na wysokość własnej głowy. - Zobaczmy, jak pilnym jesteś uczniem. Pierwszy komunikat w kwiatku dotyczył twojego głównego defektu. Choroby, która ma wiele nazw: tchórzostwo, niezdecydowanie, bierność. Powiedz mi, z czego mógłbyś zrezygnować w życiu?

- Ze strachu - odpowiada Jerry żalobnym tonem. Pewnie niejednokrotnie myślał w ostatnich tygodniach o śmierci.

- Zaraz udowodnisz, czy jesteś prawdomówny. - Turlam kostkę po dłoni. Zatrzymuję ją, gdy na wierzchu pojawia się ścianka z jednym oczkiem. - Pierwsza opcja odnosi się do twojej komunikacji z innymi. Nie zastanawiasz się nad treścią słów. Emocjonalnym jazgotem zapełniasz pustkę w twoim opanowanym przez lęk życiu. Milczenie jest złotem, Jerry. Dlatego z początku komunikowałem się z tobą przez kwiatek, abyś docenił potęgę ciszy. Skoro trwonisz słowa, nie zastanawiasz się nad ich znaczeniem, lepiej zamilcz na zawsze. Pojedyncze oczko w kostce oznacza odcięcie języka. To powinno nauczyć cię odpowiedzialności za słowa. - Uśmiecham się. - To pierwsza opcja, Jerry. Pamiętaj o tym, nie musisz jej wybierać. Nie zamienię się w inkwizytora, jeżeli zdecydujesz się na coś innego.

Podrzucam kostkę pod sufit. Łapię ją drugą ręką. Wypadają cztery oczka. Pod czwórką kryje się coś naprawdę specjalnego.

Pokazuję pacjentowi dwie plamki na mieniącej się powierzchni kostki.

- Dogłębnie poznałem życiorys twój i twojej matki. Prócz was istniał w rodzinie John, twój ojciec. A ty, Jerry, jak traktowałeś tatusia? John Savage kochał cię tak bardzo, że usprawiedliwiał twoje słabości charakteru przed Evą. To on uratował cię przed utonięciem. Rzucił się bez namysłu do jeziora, by ratować swojego dzieciaka. A ty jak odnosiłeś się do życzliwej ci

istoty? Byłeś bierny, gdy zaniemógł, gdy stał się kaleką, gdy umierał. Nie wspierałeś go nawet słowem! Skoro odwracałeś oczy od cierpienia Johna, trwale uwolnię cię od przymusu patrzenia na świat. To właśnie kryje się pod dwójką. Oślepienie, Jerry. Chirurgicznie usunę ci oczy.

Savage głośno przełyka ślinę. Milczy. Czy dopiero pod wpływem moich słów pomyślał o ojcu...?

Po wypadku Johna Savage'a, którego kłoda przygniotła podczas pracy w tartaku, Eva była zdana wyłącznie na siebie. Mąż leżał sparaliżowany od szyi w dół, bez szans na samodzielną egzystencję. Eva popadła w alkoholizm. Już wcześniej miała problemy z trunkami; tragedia nasiliła skłonności. Z czasem zaczęła sprzedawać ciało, by utrzymać rodzinę. Pieniądze z odszkodowania i renty nie wystarczyły na rosnące potrzeby Savage'ów, głównie te w płynie. Pretensje do losu i nienawiść do niesprawnego małżonka Eva całkiem świadomie przenosiła na Jerry'ego. Czasem ci, którzy czynią zło, później oczekują litości - z cynizmu czy wyrachowania, lecz najczęściej przez słabość.

Trzy oczka w kostce osobiście uznaję za nudny wybór. Jest powiązany z pierwszym i dotyczy obcięcia małżowin usznych za nieumiejętność słuchania. Ale to i tak niewiele w porównaniu z kolejnym.

- Doszliśmy do półmetka, Jerry. Wiem, że na chwilę obecną żadna z opcji ci się nie podoba. Ale poczekaj, aż przedstawię wszystkie. - Wyginam palce, aż trzeszczą w stawach. - Zgadnij, jakim słowem, prócz Aniołka, określała cię matka podczas rozmów o tobie? - Znacząco unoszę brwi. - „Dziewucha”.

Pacjent zmienia kolor twarzy na bordowy.

- Cztery oczka na kostce są propozycją pozostania takim, jakim jesteś. Pozostania Aniołkiem, dziewczuchą. - Rozciągam wargi w nieprzyjemnym uśmiechu. - Streszczę się: czwórka oznacza kastrację. Pełną kastrację, obejmującą penisa i jądra. Co ty na to? Nie tylko nie zaznasz seksu, lecz będziesz oddawać mocz na siedząco, jak kobieta. Pisuar stanie się

wspomnieniem. Będziesz musiał dożywotnio przyjmować hormony. Oto co się stanie, jeżeli dokonasz tego wyboru. - Kładę sześcian z czterema oczkami na wierzchu koca Jerry'ego.

Savage na próżno próbuje oddalić się od diabelskiego przedmiotu. Wolałby być ślepym czy bezuchym mężczyzną. Ale nadal mężczyzną.

Piątka i szóstka dotyczą kończyn: górnych oraz dolnych - obu. Pacjent z zamkniętymi oczami przyjmuje moje ostatnie prezentacje. Zostawiam go sam na sam z własnymi demonami.

\*\*\*

Rozsuwam w łóżku podpórki na ręce i zdejmuję z Jerry'ego koc. Nagie ciało obiektu przybiera kształt krzyża.

Zawiązuję na szyi troczki od maski.

- Skup się na tym, co mówię. Niech nic innego cię nie rozprasza - rozkazuję.

Pacjent zachlapuje tors i część łóżka wodnistą mazią. Sprawnie usuwam nieczystości do specjalnie przystosowanych worków na wymioty.

- Musimy spotkać się z Mężczyzną - mówię do Jerry'ego.

Podnoszę oparcie łóżka na maksymalną, pionową wysokość i układam ciało Jerry'ego w siedzącej pozycji. Zapewnię mu znaczną swobodę poruszania się. Ten wykorzysta ją, aby się uwolnić, choć nie w sposób, w jaki by sobie tego życzył. To ja poprowadzę go drogą do wolności, do stania się Mężczyzną.

Drogą po trupie Aniołka.

Rozkładałam narzędzia na sterylnym płótnie. Są wśród nich kleszcze, piłki do kości, różnych kształtów obcęgi, nawet młotek z hakiem i oczywiście igły. Jerry nie musi dokładnie orientować się, do czego służą poszczególne jednostki. Pomogę mu w ich wyborze. Gdy zajdzie potrzeba, poprowadzę jego dłoń jak dłoń studenta podczas pierwszej styczności z sekcją. Będę

kontrolować, aby nie nadużył instrumentów. Obiekt musi przejść przez przemianę bez śmiertelnych uszkodzeń na ciele.

Przesuwam stół w pobliże łóżka. Na półce leżą opatrunki: chusty, opaski uciskowe, a także metalowe klamry i zestawy do szycia. Na najniższej znajduje się komplet wyjątkowych narzędzi, w specjalnym pojemniku chroniącym zawartość przed wilgocią i światłem. Dotarły do mnie aż z Ameryki Południowej. Dołożyłem wielu starań, aby wejść w ich posiadanie.

- Jerry, spójrz na mnie - proszę pacjenta.

Brak reakcji.

- Jerry? - Klepię go po policzku. Po fizjologii chłopaka widzę, że odczuwa pobudzenie. Oddycha głęboko i mruży oczy, jakby mdła żarówka z sufitu rozbłysła niczym supernowa. - Jerry? - Wciąż nic.

Próbuję dotrzeć do pacjenta w inny sposób.

- Jeremy? - ponawiam próbę kontaktu.

Twarz Savage'a przepoławia szeroki uśmiech. Wybuchą śmiechem, donośnym i okrutnym w odbiorze, jakby jego myśli przemieszały się i ułożyły, niczym szkła w kalejdoskopie, w nowe wzory. Nie jest to śmiech Jerry'ego - Aniołka. Śmieje się ten drugi Savage - Jeremy-Mężczyzna.

## 20

- Trzeba ukarać pieprzonego Aniołka! - Głos Jerry'ego brzmi pełniej. Ten głos ma w sobie odwagę.

Doktor pokazuje mu kostkę z jednym oczkiem na ściance. Dla próby odbezpiecza Jerry'emu rękę. Pacjent natychmiast wyciąga ją w kierunku stolika.

- Mam ci pomóc? - Marvin podnosi niewielki skalpel z owalnym ostrzem. Podaje go Savage'owi.

Jerry wyrywa mu instrument.

- Pokażę Aniołkowi, co to odpowiedzialność za słowa! - Rozchyła wargi i nacina własny język.

Usta pacjenta wypełniają się krwią. Jerry zaplucza nią brodę. Nie wydaje jednak dźwięków poza świszczącym oddechem.

Marvin musi pilnować, aby obiekt nie zemdleł. Zaciska rękę na dłoni Jerry'ego. Lekko drga, ale to nic nadzwyczajnego u osoby, która nie jest obeznana z chirurgią.

- Jestem, kujwa, odpowiedzialny za sjowa! - sepleni pacjent. - Rozumiesz, doktorze! Odpowiedzajny!

- Jeremy. - Marvin wywołuje Jerry'ego. Wyjmuje mu lancet z dłoni i wkłada tampon do ust, aby zastopować krwawienie. Zastanawia się, czy Jeremy-Mężczyzna zmusi go do przejścia przez wszystkie kostkowe etapy?

Podrzuca sześcianik. Wypada sześć oczek. Na ich widok Savage tężeje. Zachłannie zerka na stół z narzędziami.

- Nie będziesz więcej uciekać - mruczy. Spogląda na swoje stopy. - Przed nikim! Przed wyborami i matką, ty pochrzaniony Aniołku! - Gdy doktor

wypuszcza jego dłoń, Savage się policzkuje.

Pacjent podkurcza palce u nóg. Po chwili je wygina, choć z wyraźnym oporem. Jeremy-Mężczyzna nie daje względów Aniołkowi.

- Nie pozwolę mu więcej uciekać - mówi groźnie. - Pomóż mi to zrobić, doktorze.

Marvin odpina pasy przytrzymujące klatkę piersiową obiektu. Jerry dosięga swoich stóp.

Przez moment przygląda się wytypowanemu palcowi, czwartemu u lewej stopy. Nie wiadomo, co planuje z nim zrobić: złamać, zmiażdżyć czy potraktować nieco łagodniej. Dotyka palca, sprawdza jego ruchliwość. Milczy.

Wpatrzony w kończynę wyciąga rękę po instrument. Przez czaszkę Marvina przelatują dziesiątki alternatyw. Zaplata dłonie za plecami, zamyślony jak Napoleon przed bitwą. Pod maską czuje ciepło swojego oddechu.

Ostatecznie podaje pacjentowi szczypczyki. Jerry ogląda je, niezdeterminowany co do możliwości ich użycia. Czy liczył na grubszy kaliber, jak przecinak do kości?

Savage przykłada instrument do palca. Waha się; nie robi nim nic prócz zerwania paznokcia.

Wypuszcza narzędzie z dłoni. Spogląda na doktora złęczonym wzrokiem Aniołka.

Niestety. Aniołek Jerry i Jeremy-Mężczyzna równoważą się niebezpiecznie. Pacjent musi pójść krok dalej.

- Jeremy. - Marvin doskonale wie, jak bardzo Jerry chce zasłużyć na swoje pełne, męskie imię. - Jeremy - powtarza.

Jerry znów wystawia otwartą dłoń po narzędzie.

Cross nie zabiera tamtego z podłogi. Podaje mu solidniejsze. Savage odbiera je i przykłada do nieszczęsnego paznokcia. Zaciska obciążki i szarpnięciem zrywa płytkę.

Miejsce po ekstrakcji wypełnia się intensywną czerwienią. Dłoń Savage'a drży, lecz nie wypuszcza metalowej szpony. Ściśnięta krtań nie pozwala mu krzyknąć. Ekspresja bólu przyczyniłaby się do częściowego rozładowania go, ale teraz Jeremy przejął kontrolę nad Jerry'm. A on nie ulży pierwszemu.

Jerry nagle rezygnuje z zakatowania palca. Chwyta cęgi za rączkę i wymachuje nimi na wysokości genitaliów.

- Aniołek Jerry, Aniołek Jerry... - Przymyka oczy i nuci w takt nieznanej doktorowi, dziecięcej piosenki.

Marvina czeka decyzja na miarę Salomona: jeżeli nie powstrzyma pacjenta, ten bezpowrotnie się okaleczy. Jeżeli zainterweniuje, przerwie proces przemiany.

Trzyma rękę na pulsie, ale na razie ogranicza się do obserwacji.

Jerry próbuje objąć obcęgami penisa. Nie pasuje mu kaliber narzędzia.

- Daj coś lepszego, doktorze - mówi tonem, jakby prosił o nowe pigułki.

Marvin poprawia maskę. Nie powinien teraz nic mówić.

Podaje Jerry'emu skalpel. Savage chwyta go z wdzięcznością.

Odkłada narzędzie na brzuch. Jest roztrzęsiony i doktor wcale mu się nie dziwi, gdy rezygnuje z okrutnego pomysłu. Wciąż jednak trzyma dłoń w pobliżu męskości.

- Aniołek Jerry, Aniołek Jerry... - Znow podnosi lancet. Dotyka nim przyrodzenia, nie naruszając ciągłości skóry.

Spogląda na Marvina rozpalonymi oczami.

- ANIOŁEK JERRY! - Spluwa na własny brzuch.

To zapowiedź ataku, nie klęski.

Ostrze zostawia na penisie Jerry'ego kilkucentymetrową pionową kreskę, tuż nad żołądźką. Cięcie rozwarstwa się i momentalnie wypełnia krwią, która spływa stróżką na materac. Czerwona plama miesza się z żółcią uryny. Savage popuszcza.

Pacjent kieruje skalpel w stronę twarzy, zatrzymując go milimetr przed okiem.



- Aniołek Jerry... - Jego głos się rwie. Ręka z ostrzem trzęsie się, jakby była podłączona do prądu.

- Jeremy. - Marvin nie mówi nic więcej. Myśli o własnym pragnieniu. I o tym, jakie wypełnia pacjenta.

- ZDYCHAJ, PEDALSKI SKURWYSYNU!!! - Jego jęk rozrasta się w krzyk. Jerry rozcina sobie twarz na całej długości policzka, od ucha aż po oko. - Zdychaj!

Bierze zamach, aby poderżnąć sobie gardło.

Marvin sprawnie rozbija go z narzędzia. Prędko wyjmuje z pojemnika skórzaną rękawicę roboczą, silnie zaciśniętą taśmą u nasady. Rozcina ją i zdecydowanym ruchem nakłada na dłoń Jerry'ego.

Na powrót owija ją ciasno dla ochrony przed zsunięciem się z kończyny Savage'a. Pacjent będzie usiłował strząsnąć tę diabelską skórzaną sakiewkę, wypełnioną rozdrażnionymi osobnikami gatunku *Paraponera clavata*.

Ból po ugryzieniu dwucentymetrowego, rudawo-czarnego owada ma siłę porównywalną z postrzałem i utrzymuje się przez dobę.

Pojedyncze ukłucie.

Marvin umieścił w rękawicy kilka wygłodniałych osobników.

- Jeremy - mówi, spokojnie obserwując, jak twarz pacjenta zmienia kolor na bordowy, a ciało nabrzmiewa w podskórnej erupcji bólu. - Musisz dokonać wyboru, kim chcesz być. Wystarczy słowo, a uwolnię cię od przemiany w Mężczyznę. - Wskazuje na rękawicę. - Masz wybór.

Ciało Jerry'ego, jakby w odpowiedzi, wyrzuca z siebie nieczystości. Intensywność odoru zmusza Marvina do założenia nowej maski - z filtrem. Zostawia na niej pieczętkę z krwi Jerry'ego. Nie jest pewien, czy pacjent zdaje sobie sprawę, co dla niego w istocie oznaczałaby decyzja pozostania Aniołkiem... Sprawdzi go, tak czy inaczej, po terapii. Wybór pacjenta nie może być wyborem wymuszonym - ani słowami Marvina, ani bólem.

- Jestem Jeremym! JEREMYM!!!... - Jerry podskakuje w drgawkach. - Mężczyznę!!! - wrzeszczy, wpatrzony w nieistniejącą postać za głową

doktora.

Potrząsa rękawicą wypełnioną mrówkami. Ekspozycja na ich długotrwały atak i mnogość ukłuc spowodowała w dłoni przejściowy paraliż.

Zwycięsko próbuje unieść kciuk. W tym momencie jego ciało wreszcie się poddaje.

\*\*\*

Budzi się, zamroczony snem, zdziwiony, że leży na warstwie śniegu, różowiejącego we wschodzącym słońcu, otoczony gęstym, sosnowym lasem. Jest ubrany, łącznie z butami, w swoją odzież: dżinsy, białą koszulę i czarną kurtkę, wszystko wyprane. Strój z metką aniołkowej przeszłości.

- Jeremy. - Doktor nachyla się nad Savage'em ze strzykawką. Jerry patrzy na drobne krople pryskające z cienkiej igły. - Morfina.

Środek działa szybciej, niż Jerry się spodziewa. Marvin pomaga mu wstać. Asekuruje pacjenta, dopóki ten gestem nie da znać, że nie upadnie. Jerry oszczędza słowa; nie czuje powodu, żeby wypełniać las ich świergotem.

Marvin również milczy. Cofa się od obiektu kilka kroków i wyjmuje spod płaszcza rewolwer. Celuje w splot słoneczny pacjenta.

Przez długą chwilę Jerry spogląda na broń, na doktora i na swoje bandaże na dłoni. Czuje raptowne mrowienie w nogach, między udami i na języku. Jego ogoloną głowę otula zimowy chłód. Zaczyna śnieżyć.

Z czego mógłbyś zrezygnować w życiu?

Jego ręce zwisają swobodnie. Zdrowa dłoń nie zaciska się emocjonalnie w pięść.

Marvin przekłada rewolwer do drugiej ręki. Kieruje rękojeść w stronę Savage'a. Nad ich głowami spłoszony ptak podrywa się niespokojnie do lotu.

Z czego mógłbyś zrezygnować w życiu?

Jerry z rozmysłem kręci głową. Cofa się o krok i wykonuje dłońmi gest odsuwania od siebie rewolweru. Patrzy doktorowi w ciemne oczy, po brzegi wypełnione spokojem. Za tym spojrzeniem nie kryje się opanowanie buddysty. To coś mrocznego.

Marvin opuszcza broń, odchyła bębenek i pokazuje go pacjentowi.

Rewolwer od początku był pełny.

Patrzą na siebie z Jerryem w znaczącym milczeniu.

- Jeżeli pójdziesz tą drogą - doktor wskazuje na ścieżkę - za trzy, cztery godziny natrafisz na szosę. Zdasz złapać okazję przed zmrokiem.

Savage potakuje.

- Pójdę już - stwierdza.

- Idź, Jeremy. - Wokół powiek doktora pojawia się zarys uśmiechu. - Powodzenia - dodaje.

- Poradzę sobie. - Pacjent dotyka okaleczonej ręki, myśląc o tym, kim jest.  
- Poradzę.

Rozpocznie drugie życie od wizyty u matki. Razem spojrzą do grobu Aniołka.

Odwraca się od Marvina i odchodzi sprężystym krokiem.

Doktor czeka, aż pacjent zniknie mu z pola widzenia. Rozpina płaszcz i gładzi kamizelkę. W Bibliotece oznacza czerwony wolumin z danymi o Obiekcie Numer Jeden złocistą obwolutą. Nie będzie do niego zaglądać zbyt często. Brak pokory może każdego doprowadzić do upadku.

Eva Savage nie doczekuje wizyty potomka. W placówce wybucha pożar, w tym samym czasie, w którym Jerry przechodzi terapię Marvina. Ogień w lewym skrzydle budynku zapraszają sanitariusze. Znudzeni dziewczynką do bicia pozbywają się balastu, aby w jego miejsce znaleźć sobie kolejny obiekt do dręczenia.



## 21

Darren rozstaje się z Jeremym i Holly przy najbliższym przyuważonym motelu. Budynek dysponuje dziesięcioma pokojami dla gości. Do każdego prowadzą czerwone, ustawione szeregowo drzwi. Mężczyzna zamawia do pokoju szkocką i krwisty befsztyk. Teraz pragnie jedynie wypełnić żołądek i odpłynąć w sen.

Rozsiada się w wysiedzianym fotelu i łapczywie pochłania posiłek. Obserwuje zgrabny tyłek meksykańskiej pokojówki, która krząta się przy łóżku. Obsługa nie zdążyła sprzątnąć po poprzednim kliencie, ale Darrenowi odpowiada towarzystwo. Próbuje przypomnieć sobie, kiedy ostatnio zaznał kobiety. Dawno temu, zbyt dawno.

Przed snem rozmyśla o filmie Salo, czyli 120 dni Sodomy. Zna dzieło Pasoliniego na pamięć. Teraz masturbuje się, fantazjując o wianuszkach idealnie posłusznych, gotowych na wszystko młodych kobiet. Jedynym towarzyszącym mu mężczyzną jest nie kto inny, jak Mistrz. Wymieniają się partnerkami i szczytują jednocześnie w tej samej dziewczynie.

Udaje się do najbliższej agencji o poranku. Dom płatnej miłości jest jednopiętrowym budynkiem z krzykliwą fasadą.

Czarnoskóra dziewczyna z fantazyjnie zaplecionymi warkoczami na głowie zagaduje klienta, jak zazwyczaj. Nie doczeka odpowiedzi. Niezrażona, zaczyna ocierać się biustem o tors Darrena. Potrząsa szerokimi biodrami jak afrykańska bogini płodności, ustrojona kwiatami i przepasana czerwonym szalem. Palcami muska piersi Darrena, pokryte gęstymi włosami niczym splątana sierścią.

\*\*\*

Mężczyzna podgryza jej płatek ucha, przebity złotym kolczykiem.

- Suka - syczy do niej. - Suka. - Głęboko wciąga nozdrzami zapach kobiety.

Murzynka pachnie słodko jak samica w porze rui. Jądra Darrena zmieniają się z podniecenia w ciężkie kule. Nadziewa usta dziewczyny na swój członek i porusza się w nich rytmicznie, z myślami pełnymi czerwonej lepkości. Czuje mrowienie w kręgosłupie, jakby przebiegały po nim olbrzymie szczypawki. Na jego twarzy wybuchają gorące rozbłyski. Zaciska szal na szyi Murzynki, żeby trzymać ją ciasno na uwięzi, ludzką sukę.

- Suka... - Przyciska ją do materaca i wpycha się w nią, jednocześnie silniej zaciskając końcówki szala. Dziewczyna, łapiąc oddech, wydaje krótkie szczeknięcia. Darren, podniecony odgłosami, oblizuje zęby i blade dziąsła. Dziwka, próbując rozluźnić dławiący zacisk, chwytą klienta za ręce, pechowo w okolicach blizn po wkrętach.

- Ty pierdolona suko, nie dotykaj ich! - warczy Darren. Oblapia kobietę za krtań i przygniata ją kciukami. Jego tętno szybuje do góry. Porusza się szybciej i szybciej, aż do momentu eksplozji.

Wychodzi z niej wciąż twardy, obolały od intensywności stosunku. Dotyka gorących blizn na podbrzuszu z cichym jękiem. Rozsmarowuje nasienie po brzuchu dziwki, zastanawiając się, jak Terapeuta traktuje kobiety podczas zbliżeń.

Dziewczyna ze wstrętem patrzy na klienta. Jest tak pokryty bliznami, że nie wie, czy bać się go, czy żałować. Ślady po nacięciach na brzuchu są precyzyjne. Musiały zostać zadane celowo. Ich właściciel z pewnością doświadczył piekła. Pewnie dlatego zachowuje się jak dzikus.

- Przestań się na mnie tak gapić! - Darren ze złością popycha ją na łóżko. Idzie do przyległej łazienki opłukać ciało.

Kobieta schyla się po kartkę, która wypadła mężczyźnie ze spodni, kiedy zrywał je z siebie w porywie żądy. Rozprostowuje ją i zerka na zawartość.

Podskakuje jak dźgnięta igłą. By zdusić krzyk, gryzie własny kciuk. Kojarzy faceta z portretu! Bywał w agencji nie raz. Za nic jednak nie zdradzi się klientowi z tą wiedzą. Obaj muszą się znać. Osobnik ze szkicu też nie był zbyt przyjemny dla dziewczyn; skarżyły się, choć nie szczędził im gotówki.

Pólnagi Darren wychodzi spod prysznic; widząc dziwkę z portretem Mistrza w dłoniach, dopada jej i boleśnie chwyta za nadgarstki.

- Oddawaj to! - Wrywa z rąk dziewczyny cenny arkusz. - Głupia suka...  
- Intensywnie głaska portret, jakby chciał go oczyścić ze śladu dotyku niepowołanych rąk. Prędko ubiera się i wychodzi z burdelu, walcząc z myślami o zmiżdżeniu tej czarnej kurwie palców za pohańbienie nimi portretu Terapeuty.

Z zalem musi sprzedać strzelbę, aby mieć za co opłacić motel. Środków wystarczy mu na jeden, góra dwa skromne noclegi. Jedyłą osobą, do której może się zwrócić o finansowe wsparcie, jest na obecną chwilę David Trier. Przez wzgląd na dawne czasy poprosi też hodowcę o nocleg - chociażby na parę dób. Trier posiada letniskowy domek dla gości.

Kontaktuje się z Trierem telefonicznie, prosząc o spotkanie. Ten zgadza się podejrzanie chętnie, nawet nie pytając Darrena o powód wizyty. Od kiedy tamten sprzedał lecznicę i wyjechał z miasta, hodowca zdążył zatrudnić nowego lekarza dla psów. Tym razem jednak spotkanie z Westonem jest mu bardzo na rękę.

Darren nie zauważa, że głos Triera jest rozedrgany i niepokojący w odbiorze, jakby mężczyzna ostatkiem woli trzymał w ryzach wymykające się mu emocje.

Trier czeka na niego pod bramą wjazdową na teren psiej hodowli, obwarowanej ciężkim, betonowym murem. Oparty o ogrodzenie, ma

trudności z utrzymaniem się na nogach. Jego twarz nieprzyjemnie zszarzała, brązowe worki pod oczami zdradzają dotkliwy brak snu.

Nie pozwala Darrenowi zacząć rozmowy.

- Dobrze się składa, że jesteś. Myślałem o tobie. - Podaje rozmówcy zimną dłoń. - Nie chciałbym innego weterynarza do tej roboty. - Nerwowo dotyka skroni. Wytatuowana dłoń silnie drga na skutek postępującej choroby Parkinsona.

- Któryś z psów zachorował? Jest ranny?

- Nie - odpowiada Trier.

- To czego ode mnie oczekujesz?

David patrzy na weterynarza z niemą groźbą.

- Chodź za mną. Sam zobaczysz. Miejmy to za sobą.

Idą w kierunku licznych boksów rozstawionych na kształt litery L. Darren na odległość wyczuwa bijący od nich krwisty zapach mięsa. Zwierzęta niedawno były karmione.

Wokół kojców wciąż krzątają się dozorcy. Na widok Triera z asystą bez słowa opuszczają podopiecznych. Był to ostatni posiłek czworonogów. Niczym skazańców przed egzekucją uspokojono je jedzeniem.

David podchodzi do pierwszego z boksów. Wyciąga spod marynarki pistolet. Oddaje wyważony, celny strzał w głowę psa. Zwierzę, dopiero co wężące za pokarmem w pobliżu miski, upada bez pisku.

Hodowca zaciska dłoń na ramieniu osłupiałego Westona.

- Nic nie mów, Darrenie. Po prostu nic nie mów.

Trier przesuwa się między boksami, w milczeniu wykonując wyroki śmierci na zwierzętach. Gdy kończą się naboje w magazynku, przeładowuje go i kontynuuje czystki. Opiekunowie psów nie reagują na rzeź. Znają powody decyzji szefa, zostali o niej uprzedzeni. Rozumieją ją także - w pewnym sensie.

Przy każdym strzale serce Darrena zamiera. Dźwięk strzałów przypomina mu zwiłokrotniony trzask łamanego kociego kręgosłupa dokonany rękami



Mistrza. Myśli o zawartości torby, z którą z przyzwyczajenia przyszedł do Triera. Zaciśka dłoń na jej skórzanym pasie. Nie zapomni hodowcy rzezi czworonogów, nawet gdy pozna jej przyczyny i uzna je - co wątpliwe - za racjonalne.

Pada ostatni z psów. David zwraca się do Darrena:

- Masz ze sobą torbę? Bardzo dobrze. Sprawdzisz, czy wszystkie psy są martwe.

Weston bez sprzeciwu wyjmuje stetoskop. Bada każde z ciał, oddychając surową wonią śmierci. Nie rozpoznaje wśród nich Ajaxa, co przyjmuje z ulgą. Nie znosi bezsensownie uśmiercać pacjentów, których leczył.

Dwa osobniki wykazują funkcje życiowe. Trier po raz kolejny wymienia magazynek i strzałem między oczy dobija wskazane zwierzęta. Po egzekucji dziękuje Darrenowi kopertą. Spora suma. Wystarczy, aby przetrwał miesiąc, nocując i stołując się w motelu.

Usilnie chce dopytać Davida o przyczyny zagłady psów, ale tamten z naciskiem go wyprasza.

- Idź już. - Wskazuje rozmówcy bramę. - Pogadamy innym razem... - Przyciska dłoń do klatki piersiowej i ciężko osuwa się na trawnik. Zgina się wół i pięściami uderza w piersi, walcząc o oddech.

- Serce? - Darren przykuca nad Trierem. Wielokrotnie opatrywał Davidowi rany powstałe podczas asyst w psich walkach. Widział tajemnicze blizny mężczyzny wskazujące na poważną operację klatki piersiowej.

- Tak. - David podnosi się po chwili słabości. - Już lepiej, dziękuję ci. - Przez chwilę opiera się o ramię Westona. - Jestem po przeszczepie. Czasem serce daje o sobie znać. Szamocze się w klatce z żeber, jakby nie było moje. - Parska nerwowym śmiechem. - W sumie to prawda.

- Rozumiem. - Darren kiwa głową. - Istnieje ryzyko odrzutu.

- Biorę leki. - Trier wykrzywia usta. - Zresztą operowano mnie w dobrej klinice. - Bierze weterynarza pod rękę i idzie z nim w kierunku wyjścia. - Świat jest mały, Darrenie. - Wzdycha głębiej, niż musi. Wstrętny sekret,

jaki dzieli z doktorem Crossem, wciąż uwiera go niczym drzazga wbita w psyche, która w dodatku zaczyna ropieć. - Znasz jej właściciela. To Marvin Cross. Leczyłeś jego kota - uściśla. - Uratowałeś zwierzę? - dopytuje, wklepując kod automatycznego rozsuwania masywnej bryły ogrodzenia.

Darren chwyta się za kieszeń, w której ukrywa portret Mistrza. Jego krew na moment zastyga, potem puszcza się zwiększonym ciśnieniem, szarpiąc naczynia krwionośne.

Doktor Marvin Cross.

Marvin, mój Mistrz.

- Jasne, że tak.

Rozstaje się z hodowcą, nie poznając rozwiązania zagadki dotyczącej rzezi psów.

Następnego popołudnia, gdy wraca z zakupami spożywczymi do motelu, natyka się na zator spowodowany konduktem limuzyn. Dzięki wypłacie od Triera stać go na najem samochodu. Obserwuje, jak z pierwszego auta wysiada hodowca wraz z żoną skrywającą twarz za woalką. Słaniająca się kobieta przyciska do piersi niewielkiego misia.

To wiele wyjaśnia. W zasadzie wszystko. David uśmiercił psy, aby okiełznać ból i gniew po stracie dziecka - nawet jeżeli tylko jeden czworonóg był winny jego zagryzienia.

Śmierć wzbudza tak wiele niezdrowych emocji. Jej nie da się obłaskawić. Trzeba nauczyć się żyć obok.

- Policja, proszę otworzyć. - Młoda funkcjonariuszka w drucianych oprawkach na nosie stuka latarką o okno wozu Darrena. Zatrzymuje go do rutynowej kontroli, gdy wciąż tkwi w pogrzebowej blokadzie. Jej partner czatuje w radiowozie oddalonym o dziesięć metrów od pojazdu weterynarza.

Darren powoli opuszcza szybę.

- Porucznik Skye Mallory. - Kobieta pokazuje odznakę. Świetlny snop wdziera się do wnętrza samochodu. Policjantka omiata je, potem kieruje

wiązkę na twarz kierowcy. - Poproszę dokumenty pojazdu i pańskie prawo jazdy.

Darren zaciska palce na kierownicy, ale natychmiast je rozluźnia. Bez pośpiechu wyjmuje papiery ze schowka.

Kobieta wertuje je, przyświecając sobie latarką. Przegląda dokumenty skrupulatnie, ze zmarszczonym czołem.

- Mallory! Co tam robisz tak długo? - Jej krótkofalówka zaczyna trzeszczeć. - Wszystko w porządku?

Policjantka spogląda przeciągle na Darrena. Nad czymś się zastanawia.

Sześć sekund. Tyle wynosi bezpieczna granica spojrzenia pozbawionego drgnięcia powiek. Przekroczenie limitu mózg odczytuje jako zachętę do seksu lub popełnienia morderstwa.

- Mallory! - Partner kobiety wychyla głowę z radiowozu. - Potrzebujesz wsparcia?

Bruzda na czole kobiety się pogłębia. Prosi Darrena o otworenie bagażnika. Chce bliżej przyjrzeć się temu kierowcy. Sprawdza stan apteczki, koło zapasowe, nawet trójkąt i gaśnicę. Wszystkie sprzęty są nowe i w pełni zdadne do użytku.

Sam bagażnik jest obszerny, zmieści ciało dorosłego, nie mówiąc o dziecku. Policjantka zastanawia się, czy jechała wtedy w podobnym, jako mała uśpiona dziewczynka.

Spogląda na kierowcę: atletycznego brodacza, przewyższającego ją wzrostem o ponad głowę, w niedbale rozpiętej kurtce w barwach khaki. Spokojnie czeka na koniec przeszukania z rękami włożonymi w kieszenie szerokich spodni. Kciuki ma wysunięte. Stoi w rozkroku, ze stopami nieznacznie zwróconymi na zewnątrz. Uśmiecha się pod nosem, obserwując ją z nienachalną uwagą. Wygląda na jednego z zadufanych w sobie dupków, którzy sądzą, że wszystko im wolno, szczególnie wobec kobiet.

Zęby mężczyzny, w odcieniu kości słoniowej, są szerokie i proste.

Mimo upływu lat, zapamiętała tamte bardzo dokładnie. Były charakterystyczne - choć ludzkie, przypominały jej zwierzęce, były ostro zakończone i drobne. Należały do nastoletniego, jasnookiego chłopaka. Dziś miałby ze trzydzieści kilka lat.

- Proszę jechać, panie Weston. - Kobieta oddaje Darrenowi prawo jazdy. - Wszystko w porządku. Miłego dnia. - Wypuszcza kierowcę, zła na siebie, że przez moment dopatrywała się w tym niebieskookim, trzydziestosześcioletnim facecie nigdy nieodnalezionego współsprawcy jej koszmaru z dzieciństwa - tylko dlatego, że pochodzi, podobnie jak ona, z Cleveland.

\*\*\*

Darren krąży po mieście rozświetlonym krzykliwymi neonami. Mija słupy oblepione słowiałyymi plakatami z Johnem Rambo, przepuszcza zgrabny tyłek opięty dżinsową spódniczką. Za nim biegną czerwone adidas, obok nich podskakują brudne łapy niewielkiego psa. Ludzie gonią za własnymi celami, podobnie jak on.

W centrum handlowym kupuje czarne spodnie, koszulę i elegancką lnianą marynarkę na jutrzejsze spotkanie z Terapeutą. Potem odwiedza prywatną „strefę zero”, w której po raz pierwszy stanęli twarzą w twarz.

Nie znajduje śladu po lecznicy. W miejscu logotypu Amicusa wisi różowy neon z paskudnym pudlem. Pasuje raczej do burdelu niż zakładu pielęgnacyjnego dla zwierząt. Psisko gapi się na Darrena ślepiami z żółtych żarówek. To jak bluźnierstwo rzucone mu prosto w twarz.

Darren odsłania zęby. Wreszcie pozbywa się dentystycznych nakładek. Były na tyle wygodne, że na śmierć zapomniał o ich istnieniu. Przesuwa językiem po ostro zakończonych kłach i siekaczach. Palcami nastrasza włosy, optycznie dodając do swoich stu dziewięćdziesięciu jeden centymetrów trzy dodatkowe.

Jedzie pod klinikę doktora Crossa, usytuowaną na niewielkim wzniesieniu w północnej części Bostonu. Budynek, z elewacją z przyciemnianego szkła, jest rzęście rozświetlony od wewnątrz. Weterynarz obserwuje go w zamyśleniu. Niejednokrotnie obok niego przejeżdżał.

Już jutro spotka się z Mistrzem.

Jutro.

W tym jednym punkcie zbiegną się ścieżki jego życiowych podróży - te wydeptane, zaorane, oraz te, które dopiero wytyczy po wizycie u Marvina.

Spotka się z nim prywatnie, w domu doktora. Bez problemu znajdzie adres.

Darren zostawia zakupy w motelu i wybiera się na długi spacer nabrzeżem rzeki Charles. W bezgwiezdny wieczór jej niezmacone wody są czarne. Zarysy pobliskich drzew i krzewów wyglądają jak olbrzymie pajęczaki.

Darren dostrzega pomiędzy nimi jakiś ruch. Opiera się o najbliższe drzewo i zastyga w pozycji obserwatora. Pod palcami czuje twardą chropowatość kory. Przykuca, oddychając głęboko, jak po ciężkim biegu. Koncentruje się na uporczywym tykaniu pod czaszką; na rytmicznym odgłosie pracy zegara bomby, którą ktoś umieścił z niewiadomych powodów w jego potylicy. Postanawia podążyć tropem tego ruchu.

Zegar nieuniknione przyśpiesza swój bieg. Darren czuje to każdą komórką ciała, każdym nerwem i myślą. Mistrz zatrzyma ten zegar, odłączy go, przetnie przewody od ładunku i tykanie nigdy nie aktywuje się ponownie.

Tej nocy śni mu się Szczęściarz, który przegryza kręgosłup rozwścieczonemu szczurowi. Kocur wyszczerza zęby, czerwone od krwi, na Darrena, po czym zagłębia je w brzuchu schwytanego gryzonia i ze smakiem wyjada mu wnętrzności.

## 22

Droga z kliniki do dzielnicy Back Bay, w której mieszkam, upływa mi w korkach. Z powodu dzisiejszego maratonu podróżuję, jak większość, objazdami. Obserwuję wymijających mnie użytkowników drogi nerwowo przylepionych do kierownic. To kwestia czasu, aż któryś z nich wpadnie w drogowy szal.

Na przykład czerstwy pięćdziesięciolatek w zielonym pikapie, który pokazuje wszystkim środkowy palec przez otwartą szybę, a oprócz niego dziesiątki innych kierowców. Napierają na siebie z obu stron, jadą po trawnikach, na skrót, na trzeciego. Kto ma większy pojazd, próbuje się wcisnąć, wepchnąć choć pół zderzaka, aby zyskać przewagę. W każdej chwili może dojść do bójek, do kopania w samochody przeciwników. Zacznie się pandemonium, jak co roku w trzeci poniedziałek kwietnia, szczególnie późnym popołudniem. Uroczyście obiecuję sobie, że za rok pojedę do pracy metrem.

Podkręcam klimatyzację. Przy dźwiękach Nebraski Bruce'a Springsteena przeglądam w Bibliotece Umysłu wolumin z danymi o Obieckie Numer Dwa. Minęły trzy miesiące od zakończenia jego terapii. Nie ukrywam, oczekuję Darrena.

Znam ludzi i kierujące nimi imperatywy. Simon Weston zapłacił głową za krzywdy wyrządzone synowi. W tej chwili stuprocentowo jest martwy. Duma nie pozwalała Darrenowi zaangażować policji w ukaranie ojca. Uczynił to osobiście. Usunął ze świata złego człowieka, to wielki plus. Niemniej potencjalne zapatrzenie Darrena na moją osobę może stanowić problem, dla nas obu. Fanatycy zawsze są niebezpieczni.

Po nużącej podróży docieram do swojego apartamentu na trzecim piętrze zabytkowej kamienicy z palonej cegły, z widokiem na rzekę Charles. Zapełniam pustkę w żołądku jabłkiem; zmieniam dwurzędowy garnitur i koszulę na dżinsy i szarą bluzę. Zabieram się za czyszczenie zabawek z czerwonej kasetki, które urozmaicają mi schadzki z Zoe, w tym składanego noża z ząbkowanym ostrzem.

Gdy zapoznawałem kochankę z nim po raz pierwszy, wraz z napojem podałem Zoe leki obniżające próg strachu. Pierwsze doświadczenie z nową sytuacją rzutuje na późniejszy stosunek do niej.

Byłem, jak zawsze, ostrożny. Delikatnie prowadziłem ostrze po zewnętrznej stronie uda kobiety, leżąc przytulony do jej pleców. Czują ciepło mojego ciała, spokojny oddech i tętno. Ufała mi i to zaufanie przelała na samą siebie. Prosiłem, aby opisywała wrażenia.

Przyjemne drapanie. Lekkie mrowienie. Ekscytacja.

Dbiałem, aby nie pojawiła się krew. Mam piętnastoletnią wprawę w obcowaniu z ostrzami.

Wsunąłem dłoń między uda kochanki. Była wilgotna. Pozwoliłem więc sobie na więcej, myśląc o anegdocie o chirurgach: nosimy maseczki, aby nie oblizywać skalpela.

Bez oporu otarłem ostrze z sokami kochanki o własny język.

\*\*\*

Przyglądam się powierzchni noża. Wydaje się czysta, jednak wciąż mam wątpliwości co do stanu drewnianej rękojeści.

Zabiegi higieniczne przerywa pukanie. Składam nóż, chowam go do kieszeni bluzy i zdecydowanym ruchem otwieram drzwi.

Moje wnętrze wypełnia się diabelnym chichotem.

Stajemy z Obiektem Numer Dwa twarzą w twarz - równi sobie, jak kiedyś w lecznicy. Weterynarz ma świeżo przycięty zarost, niezłą koszulę i

świetnie skrojoną marynarkę.

Przyjmuje postawę zwycięzcy. Nie czuje się w niej naturalnie, jest zbyt usztywniony i spięty. Wiem, że bardzo się boi, że nienawidzi w sobie tego strachu, tej niepewności i braku kontroli nade mną. Stara się być czujny, ale wzmożona uwaga to za mało. Nie oszuka Inżyniera Naprawy. Jego ręka drga, jakby do powitania, ale ostatecznie nie podaje mi dłoni.

- Czekałem na ciebie, Darrenie. - Odsuwam się od drzwi i gestem zapraszam go do środka. Moje ruchy są spokojne i płynne. Nie chcę prowokować. To więcej niż pewne, że jest uzbrojony. - Bądź moim gościem. - Wskazuję jeden z dwóch skórzanych foteli w salonie. - Spokojnie porozmawiamy, mamy czas - kłamię mu w oczy. Tak naprawdę nie posiadamy go więcej niż godzinę, góra dwie, pod warunkiem, że Darren poskromi swoje nerwy.

Pacjent przesadnie rozpiera się na siedzisku.

- Napijesz się? - proponuję taktownie szklankę wody. Oczywiście, że odmawia. Nie może stracić mnie z oczu. Zresztą... na własnej skórze poznał działanie moich rozluźniających koktajli.

Presja rozsadza go od środka. Jeszcze kilka sekund milczenia i zaatakuje mnie lub zacznie krzyczeć. Zrobi cokolwiek, aby zmniejszyć napięcie.

Oto siedzi naprzeciw człowieka, który użył przeciw niemu chirurgicznej wiertarki i skalpela, który zna jego najpaskudniejsze tajemnice. To normalne, że odczuwa dyskomfort. Jednak ryzykuje i zjawia się tu z własnej woli. Potrzeba rozmowy i wsparcia okazuje się silniejsza niż strach.

- Mów, proszę - zachęcam go. - Opowiedz o swoim wyborze. Nie krępuj się. Po to do mnie przyszedłeś. Mój czas należy do ciebie.

Mężczyzna dociska plecy do oparcia. Przymyka oczy. Marszczy czoło. Bierze wdech.

Jeden.

Drugi.

Trzeci.



Pozwalam mu przygotować się do wyznań. Gra w zaufanie jest trudna.

Nie będzie kłamać. Mówienie nieprawdy mijałoby się z celem starań, jakie poczynił, by mnie odnaleźć.

- Ukaralem je. - Darren przeczesuje włosy palcami. - Ukaralem Zwierzę.

- Bardzo dobrze, Darrenie. Zasługiwało na to - potakuję. Moja mimika nigdy nie ujawnia treści tego, o czym myślę.

W przeciwieństwie do Westona. Poci się mimo klimatyzacji. Nie może jednak zdjąć marynarki. Ujawniłby swój arsenał.

Co pod nią trzyma? Pistolet? Może nóż?

- Więcej nikogo nie skrzywdzi - dopowiada.

- Rozumiem. I jak się z nim czujesz, Darrenie? Z wyborem?

Pacjent ociera czoło. Milczy.

- To, czemu się opierasz, trwa w tobie najmocniej - przywołuję nauki z jego Naprawy.

- Jest... inaczej po ukaraniu Zwierzęcia.

- Lepiej? Gorzej? - wspomagam go pytaniami. - Mów, Darrenie, słucham.

- Jest źle - kwituje.

- Z powodu twojej decyzji? Uważasz, że była niewłaściwa?

- Była najlepszą z możliwych. - Przekrzywia głowę. W jasnych oczach dostrzegam przelotny błysk.

- Więc dlaczego czujesz się źle? Wyjaśnij.

- Nie mam pojęcia.

Zakładam nogę na nogę. Dobrze wiem, co mu dolega.

- Podpowiem ci. Słowo-klucz brzmi: EMOCJE.

Darren zagryza policzki.

- Emocje, które nie budują, tylko niszczą. Usunąłeś z życia przedmiot nienawiści, czyli Zwierzę. Nie zmieniłeś jednak samego siebie.

Weston zaciska palce. Hamuje się ze znacznym trudem.

- Wolność wyboru jest darem. Nie korzystasz z niego właściwie.

- Zrobiłem, co było słuszne! - Pacjent uderza dłońmi o poręczę fotela.

- Darrenie. Nie krzycz. - Upominam go. - Dorośli nie powinni komunikować się krzykiem. Czy kiedykolwiek podniosłem na ciebie głos? - pytam. - Podczas terapii? Choć raz? - Unoszę brwi. - Gniew jest najgorszym doradcą.

- Przepraszam. - Pacjent dotyka skroni. - Czuję się paskudnie. Odczuwam napięcie w potylicy. I słyszę tykanie w głowie. Nie potrafię go wyciszyć. Przybiera na sile nocami. Albo kiedy... - Zwleka z odpowiedzią. Unika mojego spojrzenia.

- Kontynuuj. Nie jestem na ciebie zły - zapewniam.

- To trudne.

- Wiem. Zmiany właśnie są takie, jak mówisz. Trudne. Co z twoim tykaniem?

- Pojawia się zawsze, kiedy... - Darren nie chce kończyć myśli.

- ...kiedy czujesz popęd - dopowiadam za niego. - On napędza cię, karmi. Tak właśnie jest, prawda, doktorze Weston?

Darren nerwowo spogląda na wyjściowe drzwi. Odrywa plecy od oparcia.

- Darrenie. - Pochyliam się w stronę rozmówcy. Przestrzeń dzieląca nasze fotele jest pusta. - Poznałem cię lepiej, niż myślisz. Kara, jaką wymierzyłeś ojcu, mogła być tylko jedna. Nie wnikam w szczegóły. Sądzę, że rozegrałeś tę sprawę jak trzeba. - Odkasłuję. - Zwierzę należy do przeszłości. W zasadzie mogłoby do niej należeć, gdybyś ty aktem woli odważył się je umieścić w tym miejscu.

Weston zrywa się z fotela. Rozpina marynarkę, ale nie wazy się wyjąć spod niej żadnej broni.

- Spokojnie, Darrenie. Usiądź. Nie chcę być dla ciebie niemiły - oświadczam.

Weston siada z przekleństwem na ustach. Wie, na co mnie stać.

Wstaję i powoli podchodzę do okna. Podnoszę żaluzje i spoglądam na zimne światła bijące z okien budynków i dalej, na wody Charles. Blask

fajerwerków z okazji Dnia Patriotów barwi akwen na czerwono, zielono i żółto.

- Odpowiedz mi na jedno pytanie, Darrenie. Z czego zrezygnowałeś w życiu?

Darren wykrzywia twarz. Nie podoba mu się kierunek, w jakim zmierza rozmowa.

- Z człowieczeństwa, Darrenie - mówię za niego. - Niestety, postanowiłeś pozostać Zwierzęciem.

- Przestań do mnie mówić w ten sposób! - Weston podnosi głos. Jest zniekształcony od nerwów.

- Pozostałeś Zwierzęciem - powtarzam ze spokojem.

- Mówisz nieprawdę, Marvinie - szepcze Darren. Gdy wypowiada moje imię, łamie mu się głos.

- Okłamujesz sam siebie. - Uśmiecham się bez emocji. - To najgorszy rodzaj oszustwa.

## 23

Darren zastyga, gdy dostrzega, że klamka od drzwi pokoju połączonego z salonem zaczyna lekko drgać. Sądził, że jesteśmy sami.

Wychodzi zza nich zaspana brunetka.

Wstrząs wypłukuje z Darrena rosnącą złość. Bezwiednie otwiera i zamyka usta niczym ryba złapana w sieć. Ze spirali zdarzeń, w jaką wpadł, nie sposób się wydostać. Choćby nawet próbował, jest dla niego za późno.

Mięśnie Zoe sztywnieją na widok mojego gościa. Odczuwam to w dłoni, którą kochanka zaciska na mojej. To nie strach. To reakcja na zimny gniew wypierający z jej umysłu wszystko inne. Emocja jest wszechogarniająca i czysta. Nie rozporządza nią chaos, jak u Darrena. Stoi za nią pierwotny imperatyw, który podpowiada Zoe, że winowajca musi zostać ukarany.

- To on... - syczy jak żmija. - Ten skurwiel! Rozumiesz, Marvinie?! To on! Zgwałcił mnie! - Wypuszcza moją rękę. Drugą błędzi po szklanym stole, szukając na nim potencjalnej broni.

W pierwszych sekundach Zoe nie myśli, co jej oprawca robi w moim mieszkaniu. To pytanie zakiełkuje w niej z czasem. Na razie mózg przełącza się na tryb przetrwania - algorytm ucieczki lub walki z niedawnym katem.

Zoe wybierze to drugie. Jest groźniejsza niż Darren może sądzić. Po ataku z determinacją zniosła wstyd i ból. Przyszła na schadzke ze mną jak zazwyczaj. Odrzuciła słabość.

Przybyła na dzisiejsze spotkanie przed czasem, nim zdążyłem się do niego przygotować. Nie przywitała się ze mną jak zazwyczaj - dotykając wargami moich policzków czy ust. Jej włosy w nieładzie opadały na policzki. Dłonie

skrywała w kieszeniach obszernej niebieskiej bluzy, zapiętej po szyję. Przez ramię miała przewieszoną pakowną torbę.

Wyminęła mnie jakbym był duchem. Usiadła skulona w fotelu w salonie. Wzrok uparcie wbijała w czubki wysłużonych adidasów.

Kucnąłem przed kochanką zapadniętą w siedzeniu.

- Zoe, widzę, że źle się czujesz. Co się stało? Opowiedz - poprosiłem. - Pomogę ci.

Kobieta zaciskała usta. Intensywnie kręciła głową.

- Zoe, posłuchaj - naciskałem dalej. - Zaufaj mi.

„Zaufanie” to jedno z moich ulubionych słów, podobnie jak „wdzięczność”. Te kody dostępu do umysłów, wdrażane we właściwym momencie, otwierają je na moją osobę, czasem przy nie do końca świadomym udziale rozmówców.

Uważnie przypatrzyłem się Zoe. Ciało przemawia zgoła innym językiem niż słowa. Nieskomplikowanym i szczerym. Zadałem kochance kilka pytań. Odpowiedziała, choć musiałem dołożyć starań, by uzyskać odpowiedzi - niewymijające i szczerze. Mam jednak wprawę w prowadzeniu przesłuchań. Wnioski z rozmowy zachowałem dla siebie.

Dokładnie obejrzałem jej ciało. Naskórek na dłoniach pokrywały liczne zadrapania. Mały palec u lewej ręki był spuchnięty. Paznokcie - obłamane. Na skroni wykwitł pokaźny, fioletowy guz. Plecy i pośladki szpeciły liczne otarcia. Skórę na piersiach i brzuchu kobiety napastnik furiacko przeorał paznokciami, podobnie jak wnętrze jej ud. Napadł Zoe wczoraj, podczas jej późnowieczornej przebieżki leśną ścieżką w pobliżu nabrzeża Charles. Nie poszła na policję. Nie zniosłaby presji składania zeznań i wstydu obdukcji. Mi na nią pozwoliła. Odczuwała znaczną bolesność pochwy i podbrzusza, ale po zbadaniu ich nie stwierdziłem poważnych obrażeń wewnętrznych.

Przyszykowałem kąpiel, do której zaserwowałem Zoe kieliszek wina, z dodatkami z mojej walizki anestezjologa. Rozluźniona, w detalach opisała napastnika. Rysopis się zgadzał. Tożsamość sprawcy potwierdził głęboki

odcisk po jego zębach na karku Zoe. Układ uzębienia jest niczym odcisk palca, indywidualny dla każdej jednostki. Po kąpieli kochanka udała się do sypialni. Potrzebowała odpoczynku bardziej niż czegokolwiek innego. Godzinę później w moich progach zjawił się Darren i nasza sytuacja diametralnie uległa zmianie.

Zoe chwyta ze stołu masywny przycisk do papieru.

- Nie! - Przytrzymuję ją, nim zrobi choć krok. Szarpnięciem przyciągam kobietę do siebie. - To szaleniec. Przyszedł, by zabić. Ma broń - szepczę kochance do ucha. Zaskoczona usiłuje się wyrwać. - Zaufaj mi. Później ci wyjaśnię.

Darren zaatakuje nas, to pewne. Właśnie posypał mu się karciany domek założeń, które poczynił, by stabilnie funkcjonować po terapii. Obiecywał sobie wiele po ponownym spotkaniu ze mną. Pewnie nie przygotował alternatyw dla fiaska komunikacji. Rozporządzają nim teraz dwie emocje: niewypowiedziana rozpacz i gniew.

Stoi jednak za daleko, by nas dosięgnąć fizycznie. Użyje broni dystansowej. Pistolet, który skrywa pod marynarką, musi być niewielki. Chyba że...

Weston wyciąga zawiniątko spod klapy marynarki. Wstrzymuję oddech i padam na podłogę. Sekundę wcześniej popycham w dół Zoe. Gdy nad naszymi głowami zawisa żółtawa mgiełka, już wiem, że Darren popełnił błąd. Substancja, którą rozpylił, nie powstrzyma nas długo. Jest drażniąca, lecz nie wyrządza w organizmie śmiertelnych szkód.

Udaję jednak, że jest inaczej.

Jestem gotowy na wszystko, także na śmierć. To właśnie czyni mnie niebezpiecznym.

Leżę bez ruchu twarzą do ziemi. Zoe głośno kaszle i trze powieki. Z przejęciem szturcha mnie w ramię. Myśli, że zemdlałem albo gorzej.

Gazowy obłok powoli rzednie. Słyszę ciężkie kroki Darrena. Nie ma przy sobie broni palnej. Inaczej użyłby jej teraz wobec Zoe. Ja zostałbym

oszczędzony.

Na razie.

Mężczyzna rozpyła w kierunku Zoe resztę zawartości pojemnika. To ponad jej siły. Kobieta dusi się. Wyraźnie słyszę rżenie. Może przejściowo stracić wzrok i poparzyć drogi oddechowe, jeżeli nie wypelźnie z chmury strutego powietrza. Próbuje pochwycić mnie za nogi i przeciągnąć ze sobą do sypialni. Osłabiona moim koktajlem i potraktowana gazem, nie daje jednak rady ruszyć bezwładnego ciała. Wypuszcza je i samotnie przeczołguje się do sypialni. Wśród kaszlu wypluwa pod moim adresem słowo „przepraszam”.

Darren natychmiast blokuje drzwi. Nie wiem, czym to robi. Zdaję się wyłącznie na słuch.

Wywleka mnie, bezwładnego jak worek, z salonu do kuchni. Cierpliwie znoszę jego poczynania. Udawana słabość stanie się moją siłą.

Leżę na wznak na zimnych kaflach podłogi. Intensywne światło lejące się z sufitu wystawia moje opanowanie na próbę. Nie mogę zmarszczyć powiek. Poruszyć pod nimi oczami. Odetchnąć głębiej, niż bym chciał. Nie wolno mi zareagować na ból.

- Wstawaj! Rusz się! - Darren dwukrotnie kopie mnie w zębra. Czuję w ciele mocny chrzęst.

Mam szczęście. Pęknięte żebro nie przebiło płuca.

Wewnętrzne odliczanie łagodzi ból. Ani drgnę, choć w Bibliotece intensywnie przeglądam wolumin dotyczący Westona. Staram się przewidzieć jego ruchy i w oparciu o nie zaplanować własne. Pamiętam także o Zoe. Kobieta jeszcze może mi się przydać...

- Skurwysynu! - piekli się pacjent. - Nie udawaj trupa! Przecież żyjesz! - Nachyla się nade mną. Czuję jego oddech - gorący, z naleciałościami alkoholu. - ŻYJESZ!!! - Opryskuje moje policzki śliną.

Wreszcie decyduje się zbadać puls. Lepkie paluchy naciskają mi na tętnicę.

Zwijam się i wyszarpuję nóż z kieszeni bluzy. Wbijam go w dłoń napastnika. Nie natrafiam na kość. Ostrze gładko przechodzi przez tkanki, dziurawiąc kończynę na wylot.

Nim Weston zdąży krzyknąć, wyszarpuję je z rany. Pacjent odskakuje od wroga.

Nadziewa się na kant blatu. Impet zderzenia przewraca pojemnik ze sztućcami, które rozsypują się z niemiłym szczękiem. Darren nie zwraca uwagi na prześwietny oręż widelców i noży. Przesłupuje z nogi na nogę jak w nagłej potrzebie opróżnienia pęcherza. Tuli do siebie broczącą kończynę.

- KURWA! Kurwa! - zawodzi, bez reszty skupiony na sobie. Wyrzut adrenaliny nie uodpornił go na taki wstrząs. W naszym starciu traci sekundy.

Mimo bólu przewracam się na brzuch. Unoszę się na czworaka, by dopaść nogi przeciwnika. Przetnę mu ścięgno Achillesa. Darren upadnie. Nie będzie mógł biec ani iść. Pozostanie mu czołganie. Przytrzymam go i rozplątam drugą nogę...

- Pieprzony sukinsynu! - Weston odzyskuje pewność siebie. Nim dosięgnę nożem jego kończyny, kopniak Darrena łamie mi nos.

Tracę ostrość widzenia. Białe rozbłyski przed oczami rozmazują się, przechodząc w gęstą czerń. Uraz powoduje przesilenie. Czuję, że mdleję. Z licznych półek Biblioteki wypadają tomy wypełnione danymi o Naprawach. Widzę słowa zapisywane w kwiatku-spinaczu. Szaro-zielone obrazy zbryzgane krwią. Dostrzegam sceny z ostatniej terapii: przebite kończyny, skalpel, wiertarkę, ciemnoczerwony, wyrżnięty lancetem napis na brzuchu Westona - ZŁY.

Utrata świadomości oznacza mój koniec. Nie opuszczę żywy mieszkania. Mój pacjent na to nie pozwoli. Po mnie przyjdzie czas na Zoe. Zwierzę jej nie popuści. Zabawi się z nią tak, że będzie błagała o śmierć.

Dziś życie drwi z nas wszystkich. Ze mnie, z Zoe, z Darrena...



## 24

Zoe, zamknięta w sypialni, nie trwoni czasu. Brak telefonu w pomieszczeniu nie przekreśla jej szans na udzielenie wsparcia Marvinowi. Zna jego upodobania do ostrych zabawek. Każda z nich może posłużyć za broń. Każda może przydać się do sforsowania drzwi.

Dogłębnie przeszukuje sypialnię. Potrzebuje czerwonej kasetki z akcesoriami doktora. Prócz erotycznych gadżetów mężczyzna przechowuje w niej zaciski. Krępują lepiej niż pasy czy sznur. Nie można się z nich uwolnić bez pomocy z zewnątrz. Z pewnością się przydadzą.

Kobieta nie zraża się fiaskiem poszukiwań. Wczołguje się pod łóżko. Nie znajduje tam niczego, nawet kurzu.

To niemożliwe! Musi istnieć jakiś schowek na tę skrzynkę!

Zoe kładzie się na łóżku od strony, po której zazwyczaj sypia kochanek. Wsuwa dłoń pod materac.

Wyciąga ją, ściskając rewolwer. Bębenek zawiera cztery naboje. Dobre i to. Owija lufę poduszką, aby wytłumić huk.

Dwa strzały wystarczają. Blokada drzwi ustępuje.

Darren, zajęty rozprawą z Marvinem, nie zwraca uwagi na dźwięki w drugiej części mieszkania. Nie myśli o Zoe. Nie docenia jej. Redukuje kochankę Mistrza do roli suki podległej samcowi - jak każdą kobietę, z którą miał styczność.

Zoe zaczaja się przy wejściu do kuchni. Słyszy, jak Weston głośno rozkoszuje się zemstą na Marvinie:

- Kastracja to najłatwiejszy z zabiegów. Uczą go na pierwszym roku weterynarii. - Darren wodzi palcami po podbrzuszu zemdlonego doktora.

Drugą, wciąż krwawiącą dłoń, trzyma na własnym. Myśli o ranach zadanych ręką Terapeuty. - Nie pozwolę, byś się wykrwawił. Opatrzę cię, a potem ocucę. Wywlokę tę zdziwę i wepchnę jej twojego kutasa do buźki. - Uśmiecha się, oblizując zęby. - Nie chciała przyjąć mojego. - Przekrzywia głowę. - Potem się z nią zabawię. - Owija dłoń warstwą papierowych ręczników. - Tobą zajmę się na końcu.

Zoe ostrożnie wychyla się zza framugi. Widzi plecy Darrena stojącego nad ciałem ofiary.

Istnieje tylko jeden cel: on, ten kurewski facet, jej kat. Osobnik, który śmiał skrzywdzić ją, a teraz chce zabić Marvina.

Piekielne obrazy z wczorajszej przebieżki ozywają, choć Zoe wypiera je z umysłu - bezskutecznie. Pulsują w niej feerią wściekłych barw i najczystszy obłędem.

Napastnik wyskoczył zza drzew i powalił ją z nóg własnym ciężarem. Ugniatał jej gardło, ciężko dyszał i wyszczerzał na nią ostre, drobne zęby, warcząc jak zwierzę w ostatnich stadiach wścieklizny. Rozerwał jej dresy i bieliznę. Krzyczała i wierzgała; usiłowała go bić i zrzucić z siebie. Uderzył ją w skroń z taką siłą, że na czarnym niebie naraz wybuchły gwiazdy, całe pieprzone konstelacje. Wbił palce głęboko w jej krtań, aż poczuła, że oczy wychodzą jej z powiek. Zacharczała i zemdląła pod wpływem ciosu w podbródek. Kiedy się ocknęła, czuła w sobie jego członek. Plecy i pośladki Zoe boleśnie ocierały się o drobny żwir, jakim wysypano ścieżkę; czuła, że zaczyna krwawić. Znów była na granicy omdlenia. Agresor zniknął tak, jak się pojawił: bezszelestnie i szybko. Zataczając się, dotarła do siebie, z modlitwą na ustach, by po drodze nikt jej nie zatrzymał.

Modlitwa została wysłuchana. Ugryzienie w kark Zoe zauważyła - i poczuła - dopiero kilka godzin później, pod prysznicem...

Na palcach, w absolutnej ciszy, Zoe zachodzi oprawcę od tyłu.

Weston wstrzymuje oddech. Wyczuwa zapach gazu, jaki wsiąkł w ubrania kobiety. Z sykiem zaciska przekłutą dłoń. Drugą kieruje pod klapę

marynarki, do kabury z myśliwskim nożem.

Usta Zoe stają się cienką kreską. Powieki, poczerwieniałe i napuchłe od gazu, są rozwarłe. Białka oczu pokrywa gęsta sieć krwawych żyłek.

Ręka kobiety trzymająca broń drży.

Strzał wystarcza na chwilową pacyfikację Westona. Kula roztrzaskuje jego obojczyk. Darren mimowolnie wypuszcza nóż. Ciężki brzęk rozchodzi się po kuchni jak grzmot zwiastujący nawałnicę.

Zoe ponownie naciska spust.

Ostatni pocisk okazuje się niewypałem, choć o skończeniu amunicji wie wyłącznie ona. „Należy grać z innymi, szczególnie z wrogami. Zawsze” - tak mogłaby brzmieć dla Zoe jedna z lekcji udzielona jej przez kochanka.

Zamiast tego kobieta zamierza się na wroga kolbą rewolweru. Ujawnia tajemnicę o pustym bębenu broni.

W Darrenie wzbiera bezbrzeżna furia. Wyrwie piździe ten pieprzony pistolecik i rozniesie ją gołymi rękami! Potem zniszczy to, co ona kocha najbardziej: Marvina. Wepchnie mu nos prosto w mózg. Szanse na przeżycie takiego uderzenia są żadne.

Nim oprawca zrealizuje zamiary wobec Zoe, Marvin, oprzytomniony niedawnym hukiem, wbija pacjentowi nóż w łydkę. Wciąż leżał pod ręką doktora. Agresor, zaślepiiony emocjami, nie zadbał o oczyszczenie terenu.

Darren z wyciem wyrywa ostrze z ciała. W szoku odrzuca nóż jak najdalej od siebie, pozbawiając się broni. Stoi oniemiały pośrodku kuchni, na szeroko rozstawionych nogach, z zaciśniętymi pięściami, dyszący i skąpany potem.

Coś przestawia się w jego umyśle, jakaś zapadka, która aktywuje w mężczyźnie poczucie strachu, pierwotne i obezwładniające jak strach zwierzęcia, które wyczuwa wokół siebie krążącą śmierć.

Czego najbardziej boją się szaleńcy?

Osób podobnych do nich samych...

Weston w niedowierzaniu patrzy na doktora.

Marvin chwycił rewolwer, trzymany przez Zoe, za kolbę i ruchem oczu wskazał mu drogę ucieczki - przez balkon. Pozwolił mu zbiec...!

Darren zbiera resztki sił i dopada schodów pożarowych. Kulejąc, zbiega po nich i roztapia się w nocy miasta. Nie jest w stanie przejrzeć zamysłów Mistrza. Marvin nie zamierza jednak mu popuścić, w żadnym razie. Teraz musi jak najszybciej zająć się Zoe i przekonać ją do swojej prawdy. Łatwo jest posiąść ciało. Trudniej zawłaszczyć umysł, chyba że zna się odpowiednie reguły gry.

- On uciekł, Marvinie! - Zoe ledwie wierzy w to, czego była świadkiem. - Pozwoliłeś mu?!

- Spokojnie, Zoe. - Doktor przytrzymuje ją w miejscu. - Bez pośpiechu. Nie wywinie się. Obiecuję. - Marvin zbywa kobietę ledwo widocznym uśmiechem. - Teraz chodź ze mną do łazienki. Porozmawiamy bez nerwów. Emocje są decydujące dla błędnych ocen. One zastępują pytania o fakty.

Marvin jak gdyby nic przemywa twarz, pozbywając się zakrzepłej maski krwi. Przez dłuższą chwilę patrzy na swoje odbicie w lustrze. Ku przerażeniu Zoe nagłym szarpnięciem nastawia sobie nos. Zdejmuje bluzę i ciasno owija tors bandażem, stabilizując pęknięte żebro.

- Marvinie... - W Zoe narastają sprzeczności. Musi wybrać między przywiązaniem do kochanka a poczuciem głębokiej krzywdy. - Zawiozę cię do szpitala. Ale wcześniej zawiadomię służby. Ta sprawa zaczyna śmierdzieć.

- Masz rację, cuchnie. - Marvin aplikuje sobie zastrzyk i łyka kilka pigułek z solidnie wyposażonej apteczki. - Powiedz mi, nie chcesz osobiście ukarać skurwiela? - dopytuje.

Zoe zastyga, słysząc to pytanie. Jakaś część jej umysłu wręcz się tego domaga: najpierwotniejszej, ostatecznej sprawiedliwości.

- Weston jest większym zwyrodnialcem, niż sądzisz. - Doktor przepłukuje usta dla zniwelowania w nich posmaku krwi. - Nie pokaże się w żadnym szpitalu, wierz mi - dawkuje słowa. - Zaczekaj, aż się przebiorę i załaduję

broń. Potem ruszymy na łowy. - Marvin uśmiecha się do kochanki, jakby proponował jej kino albo spacer w zoo. - Opowiem ci o tym skurwysynu po drodze. Dowiesz się, dlaczego chciał mnie zlikwidować - a ciebie przy okazji. Zgadzasz się?

Zoe przytrzymuje chłodną dłoń Marvina na swoim policzku. Patrzy w oczy doktora, które błyszczą na złoto, potem stygną i brązowieją. Na końcu robią się czarne, pozbawione iskierek. Są zgasłe i zimne. Jak śmierć.

Kobieta podejmuje decyzję, nie uciekając się do słów.

## 25

Proszę Zoe, by zmieniła przesiąknięte gazem ubranie, jak ja.

W tym czasie przygotowuję ją do rozprawy z Darrenem. Obiecuję, że po wszystkim przedstawię dowody świeżo ujawnionej jej prawdy o Westonie. Zdeponowałem je w bankowej skrytce: zdjęcia, kopie dokumentów ze szpitala. Udam się też na policję. Trupa można oskarżyć o wszystko.

Prowadzę chryslera bez pośpiechu, obmyślając strategię. Niebawem czeka mnie rozmowa o kilka poziomów trudniejsza niż ta z Zoe. Sprzedam swoją wersję zdarzeń człowiekowi, który uważa mnie za wroga.

Mijają nas radiowozy na sygnale. Zoe zaciska dłoń na moim udzie. Mimo wewnętrznej woli walki jest spięta. To normalne. Wbrew sobie wpadła w wir krwawych zdarzeń.

Uspokajam ją. Widzę we wstecznym lusterku, jak konwój skręca w przeciwną stronę, do Back Bay. W radio pada informacja o napadzie na stację paliw i wzięciu w niej zakładników.

Obecnie sam przypominam zakapiora. Powieki, spuchnięte od gazu, i nabrzmiały nos nadają mi wygląd czarnego charakteru. Policzki są szare od świeżego zarostu, a wargi spękane do krwi. Pod bluzą skrywam rewolwer i nóż.

Zoe także zaopatruję w składaną broń. Ma jej użyć wyłącznie w samoobronie. Zwierzę i tak nie utrzyma nerwów na wodzy. Nie pozostanie mu nic prócz walki na śmierć.

Dojeżdżamy na miejsce. Posesja tonie w ciemnościach. Otoczenie jest niemal wymarłe. Jedyne wątła, różowa poświata z pokoju pod dachem zdradza, że w środku tli się jakieś życie. Zastanawiam się, czy nie chybiłem

z wyborem miejsca. Darren przecież mógł zbiec do lasu czy nawet zaszyć się w kanałach.

Bezwzględnie sprawdzę mój wybór. Wahanie jest ułomnością słabych.

- Zaczekaj w aucie - instruuję Zoe. - Przyjdiesz, gdy cię zawołam. Tymczasem obserwuj okolicę. - Zostawiam kochance kluczyki. - W razie kłopotów uciekaj. Nie próbuj mnie ratować, rozumiesz? - rozkazuję.

Zoe łapie mnie za rękę. Za ścianą gniewu i żądry zemsty na Darrenie dostrzegam w niej strach o moje życie.

Dzwonię do bramy. Właściciel posesji zjawia się po krótkiej chwili.

David Trier przezornie staje za wejściem. Nieznacznie odchyła furtkę. Jego ręce są brudne od krwi.

- Wpuść mnie do Westona - mówię wprost.

- Nie - sprzeciwia się David. - Dzwonię po gliny. - Robi głęboki wdech. - Chciałeś zabić człowieka, doktorze.

- Było odwrotnie. Zaufaj mi.

Trier patrzy na mnie przenikliwie. Niechęć, jaką manifestował przy ostatnim spotkaniu przed lecznicą, jest już jawna.

- Opowiesz to śledczym. - Próbuje zatrzęsnąć bramę.

Przytrzymuję ją nogą.

- Davidzie, twój wybór jest zły. Posłuchaj mnie.

- Nie zamierzam. - Szarpie się z furtką. - Zmiażdżę ci nogę. Zabierz ją! - wykrzykuje.

Moje ciało dysocjuje się od bólu.

- Doceniasz życie, prawda? Bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Szczególnie od ostatnich trzech lat.

- Ty skurwielu!

- Jesteś niewdzięczny, Davidzie. - Kręcę głową. - Podarowałem ci nowe serce. Żyjesz dzięki mojej dobroci - przekonuję.

- Sprzedałeś je! - syczy.

- Podarowałem. Nie wypłaciłbyś się za przeszczep - przypominam mu. -  
Wybór twojej żony był dobrowolny, jeżeli ten aspekt cię dręczy.

- Ty draniu! - Trier sapie ze złości. - Nie wydam ci Westona! Odejdź albo  
użyj broni! - grozi, jednak nie widzę, by miał jakąś przy sobie.

- Przestań pierdolić!

Ledwie dowierzam w to, co widzę. Trier ociera oczy ubrudzoną dłonią,  
pozostawiając na skórze czerwony ślad.

- Cofnij cholerną nogę, doktorze Cross - warczy.

- To twój wybór, Davidzie? - Trwam bez ruchu. Nie wierzę, że nie zatrąły  
go moje słowa. - Weterynarz, któremu powierzasz swoje psy, w młodości  
był zamknięty w szpitalu psychiatrycznym. Przejawia chore popędy, nie  
kontroluje sam siebie.

- Tyle o nim wiesz i niczego z tą wiedzą nie zrobiłeś? - prycha.

- Ustaliłem fakty i sprawdziłem ich wiarygodność. Przedstawię ci dowody,  
Davidzie. Obiecuję. Zaufałeś mi, gdy obiecałem ci nowe serce. Zaufaj mi  
także dziś.

Ściera się ze mną wzrokiem. Mimo życiowych doświadczeń Trier nie stał  
się prawdziwą bestią. W tym momencie śmiem sądzić, że zaczyna się ona w  
nim budzić.

- Zaczekaj przed bramą - oznajmia.

- Bez obaw - przytakuję. - Jeszcze jedno, przyjacielu...

*Szarpie się z płaczem ludzka dzidzia mała,  
Bo w łapy sprytnego Zwierzęcia się dostała!*

To Pieśń Godowa Zwierzęcia. Zapamiętaj ją - recytuję z udanym  
obrzydzeniem. Słowa nigdy nie kaleczą języka, który je wypowiada.

- Kurwa! - Trier spluwa na trawnik, ususzony na wiór. - Dosyć! -  
Zatrzaskuje bramę. Przedtem jednak sprawdza, czy zabrałem stopę z  
prześwitu.

- Tylko nie przesadz z przesłuchaniem... - dopowiadam, ale najemnik  
mnie nie słyszy. Wzburzony pędzi w kierunku domostwa. Choroba



Parkinsona coraz mocniej atakuje mężczyzną. Choć biegnie, jego ruchy są spowolnione. Rosła sylwetka zaczyna na skutek napięcia mięśniowego pochylać się ku przodowi - zauważyłem to podczas rozmowy. Choroba zamienia perfekcyjnego zabójcę w jego wrak, i to w ledwie czterdziestym piątym roku życia.

Wracam do Zoe. Kobieta siedzi w kabinie w ciszy, jest zdeterminowana i czujna.

- Na pewno tego chcesz? Odwetu? - pytam. Stłumiony huk fajerwerków szyderczo wzmacnia brzmienie moich słów. Miasto nadal świętuje. - Będiesz z nim żyła do śmierci - mówię. - Z tym wyborem.

- Wiem, Marvinie. - Zoe patrzy w dal. Podążam za jej wzrokiem. Dostrzegam słabe zarysy drzew, a nad nimi niebo pełne postrzępionych, mrocznych chmur. Nie doznaję katharsis ani objawienia.

- W porządku. - Gestem przypominam Zoe o nożu, który skrywa pod kurtką. - Uważaj na emocje - ostrzegam.

Kiedy po dłuższej chwili podchodzimy pod bramę, ta z trzaskiem otwiera się. Trier już przesłuchał Darrena.

Czym słowem uwierzył najemnik?

Darrena?

Czy moim?

## 26

David oczekuje nas na wybrukowanym placu przed posesją, skąpanym w brudnym świetle latarni. Zoe bacznie obserwuje mężczyznę pokrytego tatuażami i bliznami, odzianego w dobrze znany mi strój w barwach khaki.

Trier trzyma w dłoniach paralizator. Niebieskie iskry rytmicznie przeskakują między elektrodami.

- To właśnie Zoe - przedstawiam Davidowi kochankę. - Kolejna ofiara Westona.

Kobieta nieznacznie kiwa głową. Zapięła się w gniewie na dobre.

- Zapraszam. - Trier wskazuje boczne schodki prowadzące do piwnicy.

Schodzimy do niej w milczeniu. Idę pierwszy, za mną podąża Zoe. Za moment kochanka na dobre wkroczy w przestrzeń cierpienia, destrukcji i krwi. Czuję na karku jej oddech, niestabilny i nieznośnie krótki. Podskórnie odczuwa strach.

Trier zamyka skromny pochód. Odwracam głowę, by na niego zerknąć. Przekłada paralizator z ręki do ręki. Kiedy napotyka mój wzrok, daje głową znak, żebym się nie zatrzymywał.

Z przekąsem zastanawiam się, kto z nas doczeka świtu...

Oświetlenie piwnicy zmusza mnie, bym zmrużył oczy. Pomieszczenie jest mocno zagracone. Obszerne, ustawione rzędami klatki na bojowe psy są puste. Na ścianach pokrytych różowym tynkiem wiszą kolczatki, kagańce i grube sznury. Dostrzegam rozrzucone kije z pętlami do poskramiania czworonogów. W powietrzu unosi się gryzący zapach ich wydzielin i sierści. Trier na dniach musiał zlikwidować hodowlę.

David zamyka za nami drzwi wzmocnione blachą. Klucze chowa do wewnętrznej kieszeni kurtki. Zaniepokojona Zoe rozpiną własną, aby odruchowo dotknąć noża. Kręcę głową i lekko ściskam jej dłoń. Kochanka słucha mnie; przynajmniej na razie.

Nigdzie nie widzę Darrena. To zły znak.

Najemnik kładzie rękę na moim ramieniu.

- Zwierzę - szepcze. - Zwierzę.

Milczę, choć rozumiem podtekst.

Trier podchodzi do wysokiej sterty kartonów po psich karmach i rozsuwa ją. Prowizoryczna ściana rozstępuje się, odsłaniając zleżały materac. Leżący na nim mężczyzna ciężko łapie powietrze. Doraźne opatrunki na barku i dłoni przesiąkły krwią.

Ranny popija wodę i przykłada do czoła mokry ręcznik. Gorączkuje.

- Spójrz, Zoe. - Trier zwraca się do mojej kochanki. - Oto Zwierzę. - Wskazuje na Darrena.

Zoe zagryza usta.

Niedobrze. Facet szarpie za najłabsze ogniwo.

- Jeżeli to prawda, że nim jest, to widzisz tu jedno z dwóch - ironizuje. Nie wierzy w historię o Zwierzęciu. Dla niego ja jestem tym złym, nie Weston. - Drugie stoi przy tobie. - Wskazuje na mnie. Jego źrenice zwężają się do rozmiaru kropek. Nie reaguję na to, co mówi. - Zoe, przyjrzyj się jego dziełu - proponuje. - Wstań. - Trier podnosi Darrena z posłania. - Powiedz raz jeszcze, publicznie, czy zrobił ci to doktor Cross? - Wskazuje na jego brzuch.

Zaplatam dłonie na piersiach. Ciekawi mnie, co mój pacjent teraz powie. Każdy jego argument przeciwstawię własnym.

- No dalej! Co z tobą? - Najemnik ponagla Westona. W głosie mężczyzny słychać zacięcie i rosnącą groźbę.

Darren niechętnie odsłania podbrzusze pokryte sinymi bliznami po nacięciach skalpela, układającymi się w lustrzany zapis słowa ZŁY.

Cięcia zagoiły się poprawnie.

Zoe uśmiecha się w nerwach. Widziała te szramy aż za dobrze.

- Spójrz na to! - Odslania kark ze śladem po ugryzieniu. - Widzisz?! - pyta Davida. - Tak, to cholerne Zwierzę! - Wystawia na światło lamp podrapane dłonie. - To wszystko jego dzieło! - Wytyka palcem Westona. - A szramy tego dupka?! - prycha. Jej poziom agresji wzrasta o kilka gorących stopni. - Sam sobie to zrobił. Pociął się. Okaleczył! - Ociera czoło. - Wiesz, dlaczego? Bo w pewnym momencie nie mógł znieść tego, kim jest. Zwyrrodnialec, pedofil i gwałciciel! - Spluwa. - Chciał się zabić, ale zabrakło mu jaj!

Z uwagą śledzę wywód kochanki. Jest pilną uczennicą.

- Czy zrobił ci to doktor Cross? - Trier z uporem ponawia pytanie do Darrena. Niewdzięcznik usiłuje znaleźć na mnie jakiś hak. W błędnej ocenie najemnika skrzywdziłem mu żonę.

Ignoruje przemowę Zoe. Nie jest głupi. Wie, że mogę ją zmanipulować. Domyśla się, że łączy nas łóżko. Kochanka naturalnie opowie się po mojej stronie.

- Nie powtórzysz jej tego, co mi mówiłeś? Boisz się go?! - pyta Trier Darrena, ale chyba sam nie wierzy w taką możliwość. - Mów, do cholery!

Weston zaciska zęby. Oczami wyobraźni widzę, jak wizualizuje sobie słowo WYBÓR.

- Ta kobieta ma rację, Davidzie. - Osuwa się na materac, z plecami opartymi o ścianę. - Sam się pociąłem. Wyrznąłem sobie ten cholerny napis na brzuchu. - Obejmuje tułów rękami. Drży. Możliwe, że wspomina swoją Naprawę. - Zrobiłem to, aby pamiętać o przeszłości. Nie mogłem się z nią uporać. Była zła. Bardzo zła. - Unosi głowę i patrzy wprost na mnie. - Nie skrzywdziłem żadnej dziewczynki. Doktor Cross o tym wie. - Zastyga w oczekiwaniu na mój aplauz. Nie otrzymuje żadnego. Obaj wiemy, że mówi nieprawdę.

W bibliotecznym woluminie analizuję rozdział z profilem psychologicznym Darrena.

Darren S. Weston. Osobowość typu borderline. Niestabilny obraz siebie. Skrajne wahania nastroju. Napadowa agresja. Silny lęk przed odrzuceniem.

Ja wciąż jestem tym, który zna go najlepiej wśród ludzi. Jako jedyny pochylilem się nad jego traumą, opiekowałem się nim po terapii w jego mieszkaniu, by po długim unieruchomieniu jak najszybciej mógł stanąć na nogi. Trier to co innego. Może kryć Westona. Ale może też na niego donieść. Na swoje nieszczęście właśnie poniżył Darrena, każąc mu odsłonić naprawcze blizny. Pacjent zniszczy każdego, kto zechce wydrzeć mu tajemnice przebytej terapii.

Domyślam się, co za moment nastąpi: Darren zmieni sojusznika.

## 27

Zoe w niebezpiecznym tempie traci nad sobą panowanie. Dostrzegam to w ściągniętych rysach kochanki i w jej pogłębionym oddechu pełnią klatki piersiowej. Jeżeli da się ponieść emocjom, poniesie tego gorzkie konsekwencje.

Trier także robi się nerwowy. Macha paralizatorem przed oczami Westona. Grozi mu. Liczył, że weterynarz oskarży mnie o okaleczenie. Nic z tego. Decyzja pacjenta była inna.

Napięcie w Zoe się przesila. Usiłuje wyciągnąć mi rewolwer spod bluzy. Zatrzymuję jej dłoń, nim chwyci za kolbę.

Spoglądam karcąco na kochankę.

- Nie teraz - szepczę. - Zaczekaj.

Zoe ze złością wycofuje rękę. Poziom zaufania kobiety wobec mnie topnieje jak lód oblany wrzątkiem.

Nasze szepty odwracają uwagę Triera od Darrena. Najemnik ustawia paralizator na najwyższą, potencjalnie śmiertelną moc. Zaczyna tracić kontrolę nad naszą trójką. Wreszcie dostrzegł, że interesy osób zgromadzonych w piwnicy są sprzeczne.

Porozumiewam się wzrokiem z weterynarzem ponad głową najemnika, gdy ten w końcu postanawia sięgnąć po ostateczne środki posłuszeństwa.

Wzrok Triera wędruje w stronę skrzynki ustawionej naprzeciw materaca Darrena, stojącej dwadzieścia metrów od najemnika. Musi trzymać w niej broń, najpewniej długą. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, o czym myślał Trier, gdy sądził, że spotkanie przebiegnie bezkrwawo. Czy neurodegradacyjna choroba Parkinsona tak silnie zajęła jego mózg...?

Komunikat pomiędzy mną a obiektem jest oczywisty. Jego przekazanie trwa mniej niż sekundę. Jasne oczy Zwierzęcia błyszczą w żarliwej ekstazie, w dziękczynnej modlitwie na moją cześć.

Wszystko zostaje przebaczone! Rozgrzeszam Darrena! Przyzwalam, by rozprawił się z Trierem! Ze skurwielem, który śmiał obnażyć na jego ciele święte symbole łączącej nas terapii!

Rozpracowałem najemnika. Zwietrzył okazję do odpłaty za żonę. Raczej nie miał zamiaru wypuścić mnie żywego z piwnicy. Być może zlikwidowałby też świadka egzekucji, czyli Zoe. Rozmowa pod bramą obudziła w Trierze bestię lata temu ukołysaną do snu. Ta podniosła rogaty łeb z wytatuowanym na czole czerwonym napisem ZEMSTA. Trier nie ustąpi, aż jej nie dopełni.

Podobnie jak Darren.

Jak Zoe.

Moja Biblioteka wypełni się dziś cierpieniem i śmiercią...

Pamiętam, że Zwierzę jest drapieżne. Teraz jednak przechodzi samo siebie.

Nie rozgrywa się między tą dwójką, Darrenem i Trierem, najmniejsza walka. Zgon Davida następuje w okamgnieniu, mimo fizycznej przewagi najemnika nad rannym weterynarzem.

Zwierzę atakuje Triera od tyłu; zaciska pazury na krtani i zatapia szczęki w szyi najemnika aż po blade, bezkrwiste dziąsła, z czystą furią, jakby wyrównywał z nim jakieś własne, nieznane mi porachunki.

Nie słyszę krzyku. Nie widzę wierzgania ofiary. Nie dostrzegam kaskad jasnoczerwonej krwi. Jest cicho i wręcz sterylnie czysto.

Do przerwanej tętnicy w szyi Triera musiał dostać się tlen. W starciu z zatorem powietrznym ofiara nie ma szans. Opada na ramiona Darrena niczym kukła z podciętymi sznurkami. Wypuszczony przez nią paralizator toczy się weterynarzowi do nóg. Broń dwukrotnie rozbłyska z trzaskiem - i zamiera.

Darren oblizuje zęby z krwi najemnika. Dokłada nową zwrotkę do z dawna ułożonej rymowanki:

*Zwierzę zostało wezwane na łowy,  
Zwierzę było dla żeru koszmarem,  
Zwierzę z rozkoszą Triera zagryzło,  
Potężne Zwierzę imieniem Darren!*

Zoe bezrozumnie naciera z nożem na Westona. Ten sprawnie blokuje przedramieniem jej cios. Kobieta usiłowała zadać go z góry, co było błędem.

Darren ogłusza ją nasadą paralizatora. Kochanka pada nieprzytomna obok zwłok najemnika.

Wyczerpany pacjent ponownie opada na materac. Męczy go gorączka i ból promieniujący z ran.

- Brawo, Darrenie! Brawo! - Klaskam. Owacja rozchodzi się po piwnicy diabelnym echem, jakby z dna piekła. - Świetny wybór! - Myślę o darowaniu życia kobiecie, przez którą popadł w kłopoty.

Weterynarz jak na komendę zaczyna się tłumaczyć. Wspaniale, niech mówi. Niech uspokoją go własne słowa.

- Wystarczy, Darrenie. Przestań. Nic jej nie będzie. - Przerywam mu. Wiem, że bardzo chce mnie teraz zadowolić. Dlatego oszczędził Zoe. - Zaczekaj. Zajmę się nią.

Bez pośpiechu podchodzę do zemdłonej kochanki. Odciągam ją od martwego Triera i układam pod ścianą obok klatek. Sprawdzam ogólny stan. Jest dobrze.

Umieszczam kobietę w psiej klatce. Bez problemu mieści ciało zwinięte w kłębek. Blokuję drzwiczki drągiem do poskramiania zwierząt. Kamufluję tę celę kartonami. Potem wytłumaczę kochance, że ukryłem ją przed natarciem Zwierzęcia. Darren ze swojej perspektywy nie widzi, co robię z jej ciałem.

W połowie drogi powrotnej do pacjenta zaskakuje mnie rumor dobywający się znad naszych głów. Niewielki właz w piwnicznym suficie się



otwiera.

Wysuwa się z niego drewniana, składana drabina.

## 28

- Davidzie? Co się tu dzieje? Miałeś pozbyć się psów!

Słyszę zaspany, niezadowolony żeński głos. Wymieniamy z Darrenem spojrzenia. Ukazuje się nam mniej więcej trzydziestoletnia kobieta w niebieskiej koszuli nocnej.

Jest gorzej niż źle. To Ashley Trier. Nie ma w niej śladu atrakcyjnej dziewczyny, która mi się oddała, by ratować zdrowie męża. Wygląda teraz jak straszdyło o kredowej, pokrytej czerwonymi plamami cerze i bladych tęczęwkach otoczonych zażółconymi białkami. Jasne włosy, zbite i pozlepiane, przypominają szcurze gniazdo. Coś musiało się jej przytrafić, całkiem niedawno. Jakaś tragedia, która marnuje jej życie.

Kobieta spogląda na mnie i na leżące obok twarzą do ziemi ciało Triera. Sparaliżowana widokiem, zastyga na szczeblach. Pamięta mnie, to pewne. Jej oczy rozszerzają się tak mocno, że jestem w stanie dostrzec, jak pękają w nich żyłki. Kompletnie nie zwraca uwagi na Westona.

Ten siedzi przyczajony na materacu. Przekrzywia głowę i nerwowo oblizuje zęby, wpatrując się w nią.

- Ty skurwielu! - Ciszę piwnicy rozrywa jej wrzask. - Zabiłeś go...

Nim kobieta zrobi choć krok w stronę ucieczki, Darren z warkotem zrywa się z posłania, zrzuca ją z drabiny i uderza nasadą paralizatora w potylicę z taką siłą, że broń wgniata jej czaszkę.

Ashley upada. Słyszę syk, jaki wydaje mózg wyciekający ze szczeliny w jej głowie.

- Zdychaj, kurwo! Zdychaj! - wyje Zwierzę, broniąc swojego Przewodnika. Z nosa puszcza mu się krew.

Wciąż masakruje tył głowy żony Triera, kierowany wewnętrzną naturą, która napędza mu tętnice, uciska serce i paraliżuje mózg. Słyszę najpierw tępe, potem mokre odgłosy ciosów. Skóra wreszcie oddziela się od kości. Skłębione, lepkie od krwi włosy przyczepiają się do obudowy.

- Nie skrzywdzisz Mistrza! - Agresja Zwierzęcia stale rośnie. Kontrolki w umyśle, jeżeli je posiadał, przeciążają się i w tym momencie eksplodują.

Jego szarża jest w jakiś sposób piękna. Obrona istot, które są dla nas ważne, to najwyższe prawo natury.

- Zdychaj, jak twój bachor! - Darren wręcz eksploduje gniewem.

Stracili z Davidem dziecko. Teraz rozumiem wściekłość najemnika i jego łązy, gdy mówiłem o preferencjach Zwierzęcia.

Mój pacjent opada na kolana. Odrywa z broni brunatny zlepek włosów, skóry i krwi, i odrzuca go za siebie. Uderza paralizatorem w otwartą dłoń. Zastanawia się, jak zakończyć rozprawę ze wstrętną suką, która śmiała wyzwać jego Mistrza. Jeżeli nim jestem dla Darrena, to wstyd mi za tak marnego ucznia.

Czy podczas rozprawy z Simonem zaszło między nimi coś, co zdestabilizowało psychikę Darrena...?

Paralizator zniecka się włącza. Darren wpycha go w usta Ashley z głośnym chrzęstem. Trzyma urządzenie w jej wnętrzu do czasu, aż ciało nie zaczyna gotować się i skwierczeć.

Swąd palonych tkanek wsiąka w moje nozdrza i drażni je.

- Wystarczy, Darrenie! Nie żyje! - przywołuję Zwierzę do porządku. Posłusznie porzuca zmalretowane ciało. - Już po wszystkim. Uratowałeś mnie. Jestem ci wdzięczny. - Podchodzę do niego i ściskam mu dłoń. - Dziękuję ci. -Kiwam głową. Darren musi opuścić swoją, aby napotkać mój wzrok.

Jego spojrzenie zdaje się jaśnieć od wewnątrz; wyraża najsilniejsze z ludzkich uczuć - obok gniewu - miłość. Darren obejmuje mnie ramieniem jak przyjaciela, którego nigdy nie posiadał; jak starszego brata, który

zapewnił opiekę i wsparcie; jak rozumiejącego Mistrza, który, choć surowy w osądach, zrozumiał pacjenta i nie odrzucił go, gdy wszyscy inni z miejsca spisali go na straty.

- Co dalej? - pyta, ocierając krew spod nosa. - Co teraz, Marvinie?

- Narozrabiałeś, ale coś wymyślimy - zapewniam.

Podchodzę do zwłok Triera. Zdejmuję z nich kurtkę, przeszukuję ją i wyjmuję klucze od piwnicy. Ubranie oddaję Westonowi.

- Załóż ją. A potem uciekaj drabiną, przez dom - sugeruję. - Uciekaj jak najdalej. Po prostu zniknij. Wyemigruj do Europy...

Nie takiej odpowiedzi po mnie oczekiwał. Jego wzrok gaśnie i napełnia się smutkiem.

- Nie martw się o gliny - dodaję. - Jestem przekonujący, wierz mi. - Znów dotykam jego ręki. - A to dla ciebie. Przydadzą się. - Daję pacjentowi pieniądze z własnego portfela. Zabiera je z wahaniem. - Przeszukaj spodnie Triera - instruuję.

Darren bez namysłu okrada zwłoki. Krzywi się, gdy zahacza przebitą dłonią o sztywny materiał odzieży. Zdejmuje zakrwawioną koszulę i nakłada kurtkę Triera na gołe ciało, zapinając ją po szyję.

- Pośpiesz się - ponaglami. - Zoe zaraz się ocknie. Nie może cię tu wtedy być. - Wskazuję na drabinę.

Weston zaciska szczęki. Nerwowo pociera palcami sztywne włosy, brudząc je krwią.

Kątem oka dostrzegam poruszenie w kartonach, pod którymi ukryłem klatkę Zoe. Ocknęła się.

Już czas.

Przytykam czoło Darrena do własnego. Płonie. Źle opatrzone rany opanowuje infekcja.

- Poradzisz sobie - mówię do pacjenta.

Ten przymyka powieki.

Gdy je otwiera, w osłupieniu wytrzeszcza na mnie oczy.

Czy dostrzegł w nich czerwone ogniki...?

- Jesteś MORDERCĄ! - Mój głos nabiera przedtem niesłyszalnych dla Darrena, wibrujących, ostrych brzmień. - Zabiłeś Ashley Trier! Zabiłeś Triera! Kuzynkę Ally! I swojego ojca! - Wbijam kciuki w oczy obiektu i odchylam w tył jego głowę. Ból paraliżuje go. Nie jest w stanie się ruszyć. - Latami krzywdziłeś dziewczynki! Zgwałciłeś Zoe! Chciałeś zabić mnie! To się musi wreszcie skończyć! - Wraz ze słowami serwuję Darrenowi cios łokciem w podbródek. Potem uderzam go w splot nerwowy. I w krocze.

Darren ciężko przewraca się na plecy. Jest w skrajnym szoku. Kartony otaczające celę Zoe intensywnie drgają. Kobieta desperacko stara się uwolnić z klatki. Słyszy moje oskarżenia wobec Zwierzęcia. Wierzy w nie.

Wyciągam z bluzy nóż. Rewolwer byłby pewniejszy, lecz mi zależy na rytuale towarzyszącym śmierci zadawanej obiektowi; rytuale destrukcji w miejsce kreacji i naprawy. Nieudany twór, w jaki przeobraził się pacjent po terapii, musi zostać zniszczony. W jego Naprawie Umysłu poniosłem klęskę. Muszę po sobie posprzątać.

Siadam okrakiem na Darrenie.

- Mistrzu, nie! Marvinie, błagam! - krzyczy.

Nie nabierze mnie na cudowną przemianę.

Kieruję ostrze w stronę jego gardła. Pacjent wreszcie zaczyna walczyć.

Blokuje dłońmi mój nóż. Krew ścieka mu z rąk i zachlapuje twarz.

Po raz kolejny napędza go poczucie zdrady. I furia, ślepy gniew.

W ferworze walki udaje mu się kopnąć mnie w pęknięte zebro. W eksplozji bólu nie jestem w stanie utrzymać przy sobie noża. Pacjent wykorzystuje to i uderza własnym czołem w moje.

Przez parę zdradliwych sekund jestem zamroczony. Tyle wystarcza Zwierzęciu.

Zrzuca mnie z siebie na podłogę, zabiera nóż i przydusza ciałem. Nie wyszarpnę rewolweru spod jego cielska, w którym napiął wszystkie mięśnie jak struny.

Wysapuje mi w twarz obłądną rymowanekę:

*Zwierzę będzie dla Mistrza koszmarem,  
Zdradzone Zwierzę imieniem Darren!*

Z kącików ust ciągną mu się pasma śliny podbarwionej krwią. Zwężone źrenice płoną nienawiścią. Drobne, ostre zęby są czerwone od posoki, podobnie jak dolna część silnie zarośniętego pyska, pozlepiana w krwawe kudły.

Chłopiec, którego przed chwilą dostrzegłem w Zwierzęciu, jest już martwy.

Za plecami Darrena dostrzegam Zoe, wyswobodzoną z psiej klatki. Kobieta trzyma nad głową gaśnicę. Musiała znaleźć ją zawieszoną obok psiej celi.

Mija pół sekundy.

Zoe stoi jak urzeczona za plecami wspólnego kata.

Zabij go - popędzam ją myślami.

Nie krzyczę. Zwierzę trzeba wziąć z zaskoczenia.

Darren zatapia nóż w moim brzuchu. Twardy chłód stali brutalnie przenika do tkanek.

Zabij!

Zoe nadal wzbrania się przed atakiem na faceta, który ją zgwałcił i później chciał ukatrupić.

Darren wyszarpuje ze mnie ostrze z furią, która aż zapiera mi dech.

- Oprawię cię na żywca, skurwielu - charczy, zamachując się nożem nad moją głową.

Impet zderzenia głowy Darrena z gaśnicą zmiata ze mnie agresora.

W ostatniej chwili.

Zoe odskakuje od nieprzytomnego Darrena i przywiera do mnie.

Ze zgrozą patrzy na plamę czerwieni wykwitłej na mojej bluzie niczym dojrzały mak.

- Źle wycelował. - Uciskam ranę. - Przeżyję, ale muszę być operowany. Znajdź telefon w domu Triera. - Podaję numer alarmowy do kliniki. - Wezwij helikopter. O resztę się nie martw, okej? Tylko szybko! - poganiam Zoe, choć rana nie jest tak poważna, jak mówię.

Gdy kochanka znika we włazie, podnoszę się na czworaka. Muszę dokończyć, co zacząłem. Turlam przed sobą gaśnicę pod ciało ogłuszonego Darrena.

Wybornie. Zwierzę oddycha. Z wysiłkiem obracam je na wznak.

Podnoszę balast z czerwonej stali i uderzam nim w twarz Obiektu Numer Dwa metodycznie, cios za ciosem, w stałym rytmie, jak naukowiec anihilujący felerny projekt. Pole widzenia zachlapuje mi ciepły krwawy deszcz tryskający na mnie z głowy pacjenta niczym gejzer.

Zdaje mi się, że między pierwszym a trzecim ciosem Darren odzyskuje świadomość, na sekundę, ćwierć, a może mniej, i widzi - lub może widzieć - jak klęczę nad nim i miażdżę mu twarz.

O czym myśli? Czy w ogóle myśli?

Jaki obraz zabiera ze sobą do piekła...?

Ocieram twarz naznaczoną licznymi cętkami Darrenowej krwi. Paradoksalnie anihilacja tego Zwierzęcia prezentuje się intensywniej, niż miałem okazję podziwiać na szkicach w kalendarzu.

Twarz Darrena zapadła się do środka głowy. Kości są skruszone na miazgę. Zęby, chrząstka nosa i popękane gałki oczne zmieszały się bezwładnie w szarawą masę w tym ciemnoczerwonym zagłębieniu wnętrza głowy. Żuchwa oderwała się od czaszki. Zwisa smętnie na cienkim skrawku skóry. Przez kanały słuchowe Darrena sączy się różowa maź. Na wybetonowanej podłodze piwnicy rozlewa się jego mózg.

- Dzwoniłam do kliniki i na policję... - Na widok strzępów głowy Darrena Zoe zastyga w połowie drabiny, jak przedtem Ashley Trier. Jest przerażona widokiem trupa - a może tego, kto nad nim klęczy.

- Już po wszystkim, Zoe. Facet nie żyje. Ocknął się i zaatakował mnie, gdy cię nie było. - Odsuwam od siebie narzędzie kaźni na Zwierzęciu. Obudowa niewiele ucierpiała na skutek starcia z jego łbem. - Dobrze, zaczekamy na pomoc... - Z grymasem kulę się i chwytam za brzuch.

Zoe pomaga mi usiąść i oprzeć się o ścianę. Okrywa swoją kurtką i troskliwie przekonuje, że wszystko skończy się dobrze. Kłamstwo stare jak świat.

Siada przy mnie ze skrzyżowanymi nogami. Z obrzydzeniem patrzy na ciała Darrena i żony Triera. Wyglądają, jakby ich głowy zaatakowała ta sama bestia.

- Co cię powstrzymało przed zabiciem Darrena? - pytam Zoe. - Jeszcze sekunda i to ja leżałbym martwy, nie on - mówię z wyrzutem.

- Marvinie - szepcze Zoe, nerwowo ściskając mi dłoń. Czuję, jak drżą jej palce. - Może to nie była do końca jego wina, ta psychoza, upodobania i popędy - zastanawia się. - Ogłuszyłam go z litości, po ludzku... Chorych umysłowo trzeba leczyć. Teraz mamy lepsze ośrodki, skuteczniejsze leki, terapie. A ty nie dałeś mu szansy.

Mam ochotę się roześmiać, ale tylko kręcę głową.

- Powstrzymało cię to, kim jesteś, Zoe - mówię twardo. - Wahaniem pokazałaś, że jesteś słaba, a życie nie wybacza słabym ludziom. - Odkładam dłoń kobiety na jej własne kolano. - Ja także tego nie zrobię.

- Marvinie! - Odsuwa się ode mnie. Zdecydowanie za szybko.

Wyszarpuję spod bluzy broń i strzelam do kochanki, nie wypowiadając nawet sylaby.

Pierwszy strzał, w serce, zostawia na zaróżowionych ustach Zoe wykwitły pączek przestרחu.

Kolejny, w przestrzeń między oczami, nosem i ustami, bezboleśnie przenosi ją w niebyt.

Ten obszar układa się w literę śmierci: literę T. Celny strzał natychmiast wyłącza ofierze świadomość i odcina bodźce od jej mózgu. Zapamiętałem



lekcję od Triera, gdy ten, leżąc w klinice, wspominał swój fach.

Spoglądałam w zakratowane okna piwnicy. Do moich uszu dociera łoskot lądującego helikoptera.

Maszyna zabiera mnie do kliniki niecałe pięć minut po zgonie Zoe. Unoszę się w niebo wśród rozpalonego świtu.

Za sobą zostawiam cztery trupy.

Widzę, jak kolumna radiowozów ciągnie się pode mną drogą do posesji Triera, ale w huku wirników już jej nie słyszę.

W kieszeni trzymam zmięty szkic Darrena z moim portretem, który znalazłem w kieszeni zwłok. Na odwrocie był zapisany mój adres oraz słowo „Mistrz” i cytat z Naprawy, ten o akceptacji i wyparciu.

\*\*\*

Akta, między innymi te ze szpitala psychiatrycznego, potwierdzają moją wersję prawdy o Darrenie Zwierzęciu Westonie, którego zabiłem, ratując własne życie.

Sąd oczyszcza mnie z podejrzeń o zabójstwo Zoe. Wszystkie śmierci idą na konto mojego obiektu.

Znajduje się także świadek i zarazem przymusowa uczestniczka jego niechlubnej przeszłości, niejaka Skye Mallory.

Prędko wracam do zdrowia i pracy w klinice. Nadal stołuję się, już samotnie, w Białym Charcie. Dowiaduję się, że szef kuchni, Rick Bowman, mój niedoszły Obiekt Numer Trzy, poddał się terapii w renomowanym ośrodku leczenia uzależnień. Trzymam za niego kciuki. W razie fiaska kuracji trafi w moje ręce.

Spośród tysięcy możliwości i życiowych pragnień wybrałem właśnie to, przeprowadzanie Napraw Umysłu.

Pacjenci, którzy przyjmują mój dar, są uleczeni - i wolni.

Pozostali - cóż - umierają.

KONIEC?

Marvin  
Copyright © Iza Korsaj  
Copyright © Wydawnictwo Inanna  
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak  
Copyright © for the cover art by Bernadeta Leśniowska-Gustyn  
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze Bydgoszcz 2018 r.

druk ISBN 978-83-7995-048-5  
epub ISBN 978-83-7995-049-2  
mobi ISBN 978-83-7995-050-8

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski  
Redakcja: Małgorzata Maksymowicz  
Korekta: Aleksandra Sitkiewicz  
Projekt okładki i adiestacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski  
Ilustracja na okładce: Bernadeta Leśniowska-Gustyn  
Skład wersji elektronicznej: proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak  
ul. Kormoranów 126/31  
85-432 Bydgoszcz  
[sekretariat@inanna.pl](mailto:sekretariat@inanna.pl)  
[www.inanna.pl](http://www.inanna.pl)

Książka najtaniej dostępna w księgarniach  
[www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)  
[www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)